



Anna Klejzerowicz  
**Sąd Ostateczny**

Dziennikarz w pojedynku z szalonym naśladowcą  
Hansa Memlinga



Wydawnictwo Dolnośląskie

**Anna Klejzerowicz**

**Sąd Ostateczny**

Dalej powiedział do mnie:

Nie kładź pieczęci na słowa proroctwa tej księgi bo chwila jest bliska.

Kto krzywdzi, niech jeszcze krzywdę wyrządzi, I plugawy niech się jeszcze splugawi,  
A sprawiedliwy niech jeszcze wypełni sprawiedliwość, a święty niechaj się jeszcze uświęci!

Oto przyjdę niebawem, A moja zapłata jest ze mną, by tak każdemu odpłacić, jaka jest jego praca.

Jam jest Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, Początek i Koniec.

Błogosławieni, którzy płuczą swe szaty, Aby władza nad drzewem życia do nich należała i aby bramami wchodzili do Miasta.

Na zewnątrz są psy, kuglarze, rozpustnicy, Zabójcy i bałwochwalcy i każdy, kto kłamstwo kocha i nim żyje.

Ja, Jezus, posłałem mego anioła, by wam zaświadczyć o tym...

Apokalipsa św. Jana, 22, 10-15

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób lub zdarzeń jest przypadkowe.

Nawet miejsca są tu tylko niedoskonałym odbiciem miejsc rzeczywiście istniejących,  
a czas - odbiciem Czasu...

# PROLOG 1

Ponad sześćdziesiąt lat wcześniej

Morze ognia falowało w ciemnościach nocy.

Wszędzie wokół było czuć smród spalenizny i gryzący zapach dymu. Od płonących budynków bił żar, któremu nawet nocny chłód nie dawał rady, tak jak siąpiący nieustannie deszcz nie zdołał zdławić płomieni pożerających miasto.

Zewsząd dobiegały rozpaczliwe krzyki ludzi i poszczekiwanie psów. Armagedon. Sąd Ostateczny. Koniec świata. Tamtego świata...

W blasku ognia sylwetki oprawców, rzucające długie, rozchybotane cienie na wałące się dookoła mury, wyglądały upiornie niczym postaci diabłów z malowideł dawnych mistrzów. Nawet ich twarze były istic piekielne - czarne od sadzy i popiołów, wykrzywione w grymasie pełnego uciechy okrucieństwa. Oprawcy rabowali, wynosili, co tylko się dało z ocalałych jeszcze domów, z których wcześniej wywlekli przerażonych ludzi, tak jak stali, prosto na zalaną deszczem ulicę, popychając ich brutalnie kolbami karabinów. Co jakiś czas dobiegały z bliska przesywające powietrze pojedyncze odgłosy wystrzałów i już nie było wiadomo, czy czerwień bruku to dzieło łuny, padającej od ognia, czy też spływającej krwi. Ludzie uciekali w panice, kryjąc się w zakamarkach ruin, a płacz dzieci oraz zawodzenie kobiet tłumione były przez huk ognia i wałące się ściany. Tylko wiosenny deszcz wciąż padał jednostajnie i obojętnie, jakby chciał swą mglistą kurtyną wstydliwie przysłonić całe to koszmarnie ludzkie pandemonium.

Jeden z oprawców pchnął na bruk starego człowieka i jednym strzałem w głowę pozbawił go życia. Rozległ się przeraźliwy krzyk dwunastoletniej dziewczynki, która rzuciła się na ciało starca. Oprawca podniósł dziewczynkę szarpnięciem za włosy, po czym przyparł do porzuconego wraku wojskowego łazika i zgwałcił. Następnie poderżnął dziecku gardło i rzucił ciało na zwłoki starca jak starą, zużytą szmatę. Przedtem jednak zdarł z jej szyi srebrny wisiołek. Słysząc było śmiech okrutnika.

Druga, nieco starsza, patrzyła na to wszystko ukryta za stertą porzuconych skrzyń. Serce podeszło jej do gardła, a z oczu bezgłośnie popłynęły łzy. Nie mogła nic zrobić, mimo że tamta dziewczynka była jej młodszą siostrą, a stary człowiek dziadkiem i jedynym opiekunem, odkąd zabrakło rodziców. Ojca zabrała wojna, a matkę - wraz z najmłodszym rodzeństwem - pochłonęło morze. Teraz została zupełnie sama. Wepchnęła sobie wszystkie

palce w usta, by powstrzymać narastający krzyk. Oprawcy zajęli się plądrowaniem kolejnych budynków, ich przerażające wrzaski nieco się oddaliły. Dziewczynka nadal kuliła się w swej niepewnej kryjówce, nie wiedząc, co ze sobą począć. Paraliżował ją strach przed ludzkimi bestiami, nienawidzącymi jej, nie wiadomo dlaczego.

Po chwili ktoś szarpnął ją lekko za ramię. Drgnęła gwałtownie, gotowa bronić się do końca pazurami i zębami - z ulgą rozpoznała jednak znajomą twarz sąsiadki. Kobieta położyła palec na ustach i pociągnęła ją ku zbawczej kępie krzewów, rosnących nieopodal. Stamtąd wycofały się do ocalałej piwnicy jednego ze zrabowanych już domów i przeczekały aż do świtu, by wreszcie dołączyć do pochodu innych niedobitków, pragnących za wszelką cenę wyrwać się z tego piekła. Szlak ucieczki wiódł poprzez znane i ukochane miejsca. Miała ich już nigdy więcej nie zobaczyć.

## PROLOG 2

Dzisiaj

Samochód skręcił raptownie w leśną drogę i zarył kołami w błocie.

Poprzez noc i ulewę widziała tylko niewyraźne zarysy drzew. Kręciło jej się w głowie. Kierowca zaklął, mocując się z silnikiem wozu. Nie rozumiała słów. Zresztą nawet nie próbowała. Rozpaczliwie chwyciła za klamkę, kopnięciem otworzyła sobie drzwiczki i jak szalona wbiegła do lasu. Deszcz smagał ją po twarzy, lecz nawet tego nie poczuła. Uciekała przed siebie, obijając się o pnie drzew, byle szybciej, byle dalej od prześladowcy. Ten las musi się gdzieś kończyć, za nim powinny być przecież jakieś domy, jacyś ludzie. Ile sił w płucach wołała o pomoc, dopóki nie zorientowała się, że krzyk ją zdradza. Słyszała za sobą głuchy, miarowy odgłos jego kroków, a może tak jej się tylko zdawało. Może było to bicie jej własnego serca. Jednak snop światła nie był złudzeniem. Biegł z latarką za nią, widział ją. Nie miała się gdzie ukryć, rosły tu tylko stare drzewa z wysokimi koronami i łysymi pniami, które nie dawały schronienia. Nieco dalej ujrzała pas zarośli. Musi tam dobiec. Jeszcze tylko kilka metrów. To jej jedyna szansa... Nagle usłyszała głuchy huk i w tym samym momencie poczuła obezwładniający ból w łydce. Noga ugięła się pod nią, upadła twarzą w mokre leśne poszycie. Na ułamek sekundy straciła świadomość, ból dosłownie ją ogłuszył. Lecz już po chwili instynkt samozachowawczy popchnął ją do dalszej rozpaczliwej ucieczki. Jakimś przeblyskiem umysłu zrozumiała, że została postrzelona. Ale nadal żyje. Nie poddawać się. Uciekać. Wściekły ból ponownie przeszył całe ciało. Nie ucieknie, nie da rady. Próbowała podnieść się, lecz noga była całkiem bezwładna. Teraz już wyraźnie, coraz bliżej, słyszała kroki mordercy. Mokre liście szeleściły pod jego ciężkimi butami. Rozszerzonymi ze strachu oczami usiłowała przebić ciemności, lecz widziała tylko oślepiające światło latarki. Jest blisko, coraz bliżej. Bawi się z nią w kotka i myszkę. Nagle usłyszała głośniejszy szelest, odgłos jakby uderzenia, kolejne przekleństwo, światło zachybotło się i na moment zgasło. Mężczyzna potknął się o jakiś korzeń. Jak smagnięta biczem zaczęła czołgać się w stronę zbawczej - jak jej się zdawało - linii gęstych zarośli. Tam można się ukryć. Można walczyć. Ranił ją, lecz instynkt życia jest silniejszy od bólu. Może mu wytrącić z ręki latarkę, stłuc ją, choćby gołą ręką, ogłuszyć go nią, wyczołgać się na szosę, wzywać pomocy...

Już, już - pierwsze krzaki. Udało jej się. Wcisnęła się głębiej, nie bacząc na to, że gałęzie kaleczą jej twarz. Skuliła się pod osłoną gęstego listowia. Noga pulsowała tęnym

bólem. Dotknęła jej i poczuła na dłoni coś lepkiego i gorącego. Mdlący, metaliczny zapach krwi. Skuliła się jeszcze bardziej, czując na sobie smugę światła latarki. Szuka jej. Jego ciężkie kroki słyszała tuż obok siebie. Naraz zapadła cisza. Poprzez szum deszczu wciąż jednak słyszała nad sobą - lub raczej wyczuwała - jego oddech.

Nagle powietrze zawibrowało upiornym chichotem. W tym samym momencie latarka znów ją oślepiła, a świat zawirowało, gdy coś szarpnęło ją brutalnie za zranioną nogę i gwałtownie, zanim zdążyła pomyśleć, wywlekło z krzaków. Mężczyzna ciągle się śmiał, stojąc nad nią w rozkroku. Uderzył ją pięścią w twarz. Znieruchomiła, czując na wargach smak krwi. Coś ciepłego spłynęło jej po udach. Cuchnęło. Sparaliżował ją mdlący odór czystego, zwierzęcego strachu.

Człowiek - a może bestia - zawiesił latarkę na gałęziach drzewa. Pochylił się nad nią i - nie przestając śmiać się złowieszczo - zaczął zdzierać z niej ubranie. Nie miała już siły się bronić. Zanim zamknęła oczy, ujrzała jeszcze tuż nad swoją twarzą zimny, metaliczny błysk noża, w którego ostrzu przez ułamek sekundy odbiło się światło latarki.

# CZEŚĆ I

## ROZDZIAŁ 1

Gdańsk - miesiąc później

Natarczywy dzwonek telefonu zbudził go ze snu, jakby na siłę wyciągając z ciężkiej, czarnej magmy. Przytomniejąc z trudem, Emil rzucił okiem na zegar. Zbliżało się południe. Zza zasłony wpadały rozproszone promienie słońca, mimo uchylonego okna mocno nagrzewając mieszkanie i sprawiając, że cały oblewał się potem. Lato zaczęło się w tym roku wyjątkowo wcześnie.

Telefon dzwonił uparcie. Znowu zapomniał włączyć automatyczną sekretarkę, a nie korzystał z poczty głosowej. Już dawno nikt do niego nie dzwonił. Cholera by go - pomyślał ze złością, podnosząc wreszcie słuchawkę.

- No, nareszcie! - Głos, który usłyszał, bynajmniej nie poprawił mu humoru. Należał do jego byłej żony, Emili. - Już myślałam, że nigdy nie odbierzesz. Nie spałeś chyba? Jeśli sądzisz, że uda ci się mnie spławić, to się grubo mylisz.

- Spałem, - mruknął.

- O tej godzinie?! - zawołała z typową dla siebie lekką pogardą w głosie. - Tobie chyba już całkiem odbiło. Zresztą, nie moja sprawa. Chodzi mi o alimenty. Domyślasz się chyba. Wisisz mi już za trzeci miesiąc. Ja nie sram pieniędzmi! Muszę wykarmić dziecko. Sorry, ale jeśli nie doczekam się kasy, to będę musiała iść do sądu.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, przetarł szczypiące oczy i sięgnął po papierosa. W pogniecionej paczce były trzy ostatnie.

- Wiem, wiem... - Zapalił, odgradzając się od jej napastliwego tonu dymną zasłoną. - Posłuchaj. Ciągnę resztkami. Nic na razie nie złapałem, jest sezon urlopowy, bałagan... Wstrzymaj się jeszcze trochę, okej? Mam coś na oku. Jeśli uda mi się wyciągnąć jakąś zaliczkę, to od razu ci przeleję, obiecuję.

- Jak zwykle - sarknęła. - Jesteś zwyczajnym nieudacznikiem. Co się z tobą porobiło?! Jeśli nie masz zleceń, weź się wreszcie za ucziwą robotę! Gdybyś został w policji, może



byliby z ciebie ludzie! Ale nie, wielki indywidualista nie będzie słuchał cudzych rozkazów! Co ty sobie myślisz?! Dziecko ma z głodu umrzeć przez twoje ambicje?! Ważny pan redaktor się znalazł!

- Jaką uczciwą robotę?! - Pomału zaczynał trafiać go szlag. - Mam zostać stróżem?! Albo kelnerem w nocnym klubie?!

- A chociażby!

- Wiesz co, szkoda dyskusji - opanował się. Bez sensu było teraz z nią zadzierać. - Postaram się coś zdobyć. Nic bardziej optymistycznego w tej chwili ode mnie nie usłyszysz. Zadzwoń. A kiedy będę mógł zobaczyć się z małym?

- Jak zapłacisz - odparła zimno. - Bartek i tak ma dość stresów przez ciebie. Czekamy!

- Zadzwoń - burknął i odłożył staroświecką słuchawkę na widełki.

Zgasił papierosa i wypił resztkę wody mineralnej z butelki stojącej obok łóżka. Zwlókł się niechętnie z przepeconej pościeli, niezmienniancj od tygodni. Kolejny parszywy dzień. Najlepiej by było w ogóle się nie obudzić. Bo po cholere? Jego życie dawno straciło już sens. Przed czterdziestką był skończony. Kiedy brakuje napędzającego motoru, maszyna staje się zbędnym gratem. Człowiek też...

Zrzucając po drodze szorty i podkoszulkę, nago poszedł do łazienki. Zimny prysznic splukał z niego nieświeży zapach potu, lecz nie podolał beznadziei, która sączyła się z każdego pora jego skóry. Wycierając się szorstkim ręcznikiem, mimochodem zerknął w lustro. Widok żylastego, nieogolonego faceta o ponurym wyrazie twarzy aż go odrzucił. Zawsze podobał się kobietom, wiedział o tym, choć teraz trudno mu było w to uwierzyć. Bo cóż może się komu podobać w tym długim nosie i wąskiej, lisiej twarzy, w tych posępnych brzdach wokół ust albo sińcach pod zapadniętymi oczami, płonącymi niezdrowym blaskiem?! Niegdyś szczycił się południową męską urodą, teraz jednak przypominał raczej jakiegoś szalonego terrorystę.

Zaczesał do tyłu zbyt długie czarne włosy, zauważając z przykrością pierwsze srebrne nitki na skroniach. Umył zęby. Przez chwilę wahał się, czy nie warto by się w końcu ogolić, machnął jednak na to ręką. Szkoda fatygi. Szybko założył stare dzinsy, zastanawiając się, co będzie dzisiaj robił. Nie może przecież chlać od rana do nocy i wiecznie się nad sobą uzalać. Nawet nie ma już za co chlać. Trzeba coś wreszcie wykombinować. Choćby wcisnąć komuś ten badziew o żeglarstwie morskim. Temat na czasie. Niezłe zdjęcia. Rzucił okiem na niebieską teczkę z tekstem. Musi się udać.

Śniadanie. Co by tu... Obrzucił wzrokiem prawie pustą lodówkę. W żołądku odczuwał ssanie, jednak gorzki smak w ustach odstręczał od jedzenia. Nie mógł się zdecydować, czy

zrobić sobie kawę czy herbatę. W końcu zaparzył kawę, w nadziei, że kubek czarnej jak smoła siekiery szybciej postawi go na nogi. To wystarczy, może na mieście zje jakąś drożdżówkę.

Spojrzał jeszcze na termometr za oknem, niepewny, co na siebie założyć. Słupek rtęci sięgał prawie trzydziestu stopni - wystarczy koszulka bez rękawów. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki w poszukiwaniu prawa jazdy, jednak w porę uświadomił sobie, że nie będzie mu potrzebne. Nie ma na benzynę, jego stary grat będzie mógł odpocząć. Wziął trochę drobnych, okulary przeciwsłoneczne, dwa ostatnie papierosy i teczkę z reportażem. Jeszcze aparat fotograficzny. W drogę -

Upał był nie do zniesienia. Zmierzając ku kolejce, minął niewielką cukiernię „Jutrzenka”, która znajdowała się tutaj chyba od zawsze. Ze środka rozchodziły się miłe zapachy, ale z powodu temperatury stracił apetyt. Do dworca w Oliwie miał spory kawał. Nie spieszył się jednak. Mógł iść na skróty, lecz zadrzewiona ulica Piastowska - ciągnąca się od samego morza

- dawała miłe złudzenie chłodu. Mijał niewielkie wille i domki w ogródkach, z zazdrością obserwując przejawy normalnego życia ich mieszkańców. Kobiety opalające się na tarasach, dzieciaki zabawiające się w gumowych basenikach. Rodzina. Żal ścisnął mu serce, gdy pomyślał, że i to spieprzył. Jego syn wychowuje się bez ojca, a żona - była żona - nienawidzi go i nim gardzi. Ostatni raz widział Bartka parę miesięcy temu. Mimo że wciąż mieszkali na tym samym osiedlu, tak zwanym Przymorzu

- po rozwodzie zostawił żonie ich dawne mieszkanie w bloku przy ulicy Jagiellońskiej, sam zaś wynajął małą kawalerkę z wnątką kuchenną w falowcu przy Piastowskiej - Emila postarała się o to, by ich skutecznie rozdzielić. Starła się nawet sama odbierać Bartka ze szkoły - byle tylko udaremnić małemu wszelki kontakt z ojcem. Inna sprawa, że Emil i tak rzadko bywał uchwytny. Często jeździł w teren, a jeśli nawet był w mieście, to pił, starając się zapomnieć o nieudanym życiu. Bartek pewnie już nie pamięta, jak wygląda jego tata. Emil miał nadzieję, że teraz, gdy zaczęły się wakacje, łatwiej będzie o spotkania z dzieckiem - ale Emila wysłała Bartka do babci na wieś.

Cóż, wszystko się popieprzyło. Niegdyś uznali zbieżność swoich imion za znak. Przeznaczenie. Miłość. Emila i Emil Żądło. Brzmiało fantastycznie. Teraz z tego wszystkiego zostało już tylko żądło.

Droga minęła mu szybko. Zanim się obejrzał, już zbliżał się do starego oliwskiego dworca. Kupił bilet, odczekał parę minut na peronie i wsiadł do kolejki jadącej w kierunku Gdańska. Rodzinne miasto wykarmiło go i ukształtowało, odrzuciło i zniszczyło, to miasto,

które nienawidził i bez którego nie wyobrażał sobie życia. Inna sprawa, że ostatnio własne życie w ogóle wymykało się jego wyobraźni. Jak się wali, to wszystko naraz. Dobrze wiedział, że w stolicy jako dziennikarzowi byłoby mu łatwiej. Tu jest jednak specyficzna atmosfera: handel, interesy, turystyka; gorące, podskórne pulsowanie portowego miasta. Nie jest biznesmenem, a dobry interes zrobił w życiu tylko raz, lecz było to jeszcze w podstawówce i chodziło o znaczki pocztowe. A jednak nigdy nie zdecydował się porzucić tego miejsca.

Dojeżdżając do Wrzeszcza, jak zwykle przykleił twarz do szyby w poszukiwaniu tych samych widoków, przygotowany na znajome piknięcie serca. Kolejka zatrzymała się na stacji, tłum pasażerów kotłował się przy wejściu. Mimo wielu zmian wciąż rozpoznawał znane uliczki i budynki. Tu się urodził. Za każdym razem, przejeżdżając przez Wrzeszcz, czuł zapach dzieciństwa - woń starych kredensów, wysokich mieszkań i ciasnych podwórek, wody kwiatowej o aromacie bzu, której używała mama, konfitur smażonych przez babkę na wielkim piecu kuchennym z innej epoki. Jak to już było dawno... Teraz w ich wielkim i ciemnym mieszkaniu znajduje się biuro jakiejś firmy. Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy był jeszcze dzieckiem, a twarz babki również zacierała się w jego pamięci.

Przez moment zapragnął wsiąść tu i przejść się dawno niewidzianymi ulicami. Małachowskiego, Słowackiego, Partyzantów, potem cienistą Jańską Doliną, gdzie starannie ostatnio odrestaurowane stare dworki i mieszczańskie pałacyki puszą się nowymi elewacjami. Może taki spacer pozwoliłby mu odzyskać równowagę ducha. Podobno nic tak nie pomaga jak dobre wspomnienia. Jednak dziś nie mógł sobie na to pozwolić. Zbliżała się druga, miał do załatwienia ważniejszą sprawę. Jakiś chłopak rzucił mu na kolana plik ulotek oraz bezpłatny biuletyn. Bez oglądania odłożył je na siedzenie obok. Kolejka ruszyła szybko w stronę Gdańska Głównego.

- No nie, stary! - Naczelnny „Życia Wybrzeża” nawet nie otworzył jego plastikowej niebieskiej teczki. - Daj spokój. Żeglarstwo? Mamy tego na pęczki! Ja rozumiem, że morze, że turyści, ale bez przesady, to jest gówno! Gdyby jeszcze jakieś regaty do działu sportowego, ale tak... Kto mi to będzie czytał?!

- Nie rzucisz nawet okiem? - zapytał Emil, czując napływającą falę irytacji. - Choćby na zdjęcia? To całkiem niezły reportaż, gwarantuję ci. Ja nie robię szajsu.

- Nie, szkoda czasu. I tak tego nie wezmę. - Redaktor Kleczko wzruszył obojętnie ramionami. - Przykro mi, stary.

- A może masz coś dla mnie?

- Aleś sobie czas wybrał, Żądło! - roześmiał się. - Są wakacje, sezon urlopowy! Redakcja ma urwanie głowy z bieżącymi atrakcjami dla wczasowiczów, a co do reportaży, to materiał zgromadziliśmy już parę miesięcy do przodu.

- Słuchaj, potrzebuję kasy. - Emil zdecydował się na grę w otwarte karty. - Znajdź mi coś, bądź człowiekiem! Jak nie żeglarstwo, to co cię, do cholery, interesuje?! Wezmę wszystko.

- Nic dla ciebie nie mam, stary. - Kleczko ponownie wzruszył ramionami. - Nie w tej chwili. To nie jest dobry moment. Jakby co, to do ciebie przekręcę. No i gdybyś sam miał jakiś pomysł... Rozumiesz, rewelacyjny pomysł, to daj nam znać. Jesteśmy, jak wiesz, otwarci... A jak ci leci, tak w ogóle?

- Odwal się. - Emil włożył pod pachę swoją teczkę.

- Oj, Żądło, Żądło! - zarechotał Kleczko. - Znowu kłujesz! W ten sposób to ty daleko nie zajedziesz, oj, nie.

- Ty też nie. - Emil odwrócił się od drzwi. - Jeśli będziesz zrażał do siebie reporterów. Dobrze wiesz, że co jak co, ale mam nazwisko w branży, a to by się wam przydało. Więcej ambicji... stary! Ten twój szmatławiec to w końcu żaden cud.

- Masz nazwisko i nic poza tym! - Usta Klęczki rozciągnęły się w uśmiechu złośliwego gнома. - He, he! Ty się już skończyłeś, Żądło. A ja mam dobrą ekipę. Może żadne gwiazdy, ale rzygam gwiazdami. Za drogo mnie kosztują. Jesteś tego najlepszym przykładem. Mam już dość twoich fochów.

Na etacie robić nie chciałeś, zbyt ważny byłeś, wolny strzelec, patrzcie państwo! A teraz co ty mi tu przynosisz? Jakiś reportażyk o żeglarstwie! Wsadź go sobie w dupę, tyle to każdy frajer potrafi zrobić. Daj mi temat, gorący temat! A wtedy, kto wie, może...

- Bywaj, Kleczko. - Emil pospiesznie nacisnął klamkę, by wyjść stąd jak najszybciej i nie dać się ponieść emocjom. Najchętniej strzeliłby Klęczkę w pysk. Może dlatego, że ten częściowo miał rację. Emil doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Czekam, Żądło! - usłyszał jeszcze afektowany głos naczelnego. - Stary wujcio wciąż w ciebie wierzy!

Zatrzasnął drzwi gabinetu, ale w uszach wciąż dźwięczał mu szyderczy chichot Klęczki. Pieprzony drań. A niech go wszyscy diabli!

Zerknął na zegarek. Do trzeciej pozostało jeszcze trochę czasu, może zdąży złapać kogoś w „Echu Gdańska”. W redakcji zastał tylko bladolicą sekretarkę szefa.

- Jest naczelnny? - zapytał, zmuszając się do uwodzicielskiego uśmiechu.

- O, pan Emil! - ucieszyła się. - Niestety, szefa nie ma. Jest na urlopie.

- A Łączkowski jest?

Łączkowski był zastępcą naczelnego, kolegą Emila, kiedyś razem pracowali.

- Też nie ma. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Pracował do drugiej. Ale jutro pewnie będzie, tak od... - Zerknęła na grafik. - Od jedenastej. Bo wcześniej jest na jakiejś imprezie. Widzi pan, nudno tu teraz, wszyscy w terenie. Mnóstwo się dzieje na mieście, jak to w wakacje. Napije się pan kawy?

- Nie, nie. - Emil się spłoszył. Nie miał ochoty na dłuższą rozmowę z tą nadmiernie uprzejmą dziewczyną. Ostatnio raczej unikał zbyt miłych kobiet. - Dzięki, ale nie mam czasu. Wpadnę pewnie jutro.

Nie mam czasu, dobre sobie - zaśmiał się w duchu gorzko. Co za ironia. Miał mnóstwo czasu. Mnóstwo czasu, z którym nie wiedział, co zrobić.

- Trudno. - Zarumieniła się lekko. - Zapraszamy. A pan ma coś do przekazania szefowi, prawda? To jakiś zamówiony tekst, jak rozumiem? Uprzedzić pana Łączkowskiego, że pan przyjdzie?

- Nie trzeba, sam do niego zadzwonię - odparł szybko. - Ale... zostawiłbym może tę teczkę? Do przejrzania. Albo nie. Gdybym nie zdołał wpaść osobiście, to prześlę materiał mailem. Proszę mu nic nie mówić. To do zobaczenia!

- Do widzenia... - szepnęła, trzepocząc zalotnie rzęsami. A więc wygląda na to, że komuś się jeszcze podoba. Chyba że należy to do obowiązków służbowych sekretarki. Ta druga ewentualność wydała mu się w tym wypadku znacznie bardziej prawdopodobna.

Nie miał ochoty pić kawy z sekretarką naczelnego, jednak jej propozycja przypomniała mu, że nie jadł śniadania. Poczul nagły głód. Wyłuskał z kieszeni cienki zwitek banknotów dziesięcio - i dwudziestozłotowych oraz trochę drobnych i przeliczył pospiesznie. Gównno. Nie może pozwolić sobie na żaden obiad. Lepiej kupić papierosy. Żreć nie musi, palić owszem. Ta forsa ma mu wystarczyć na cholera wie jak długo, jedna gazeta wisi mu kasę za artykuł, ale przed wrzeźniem raczej nie zapłaci. Lepiej na to nie liczyć. Nie zanosí się na rychłą poprawę sytuacji. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał nająć się na przykład na sprzątacza plaży.

Dobra, stać go na filiżankę kawy i jakieś ciastko. A potem może na jedno piwo. Snując się po mieście wśród jazgotliwego tłumu różnojęzycznych turystów, trafił wreszcie w którejś z bocznych uliczek na małą piekarnię, w której sprzedawali także ciastka i napoje. Miniaturowe okrągłe stoliczki wystawiono na zewnątrz. Zamówił kawę, pączka i z determinacją przepchnął się między kilkusobową rodziną z dziećmi, by zająć jedyny wolny stolik na niewielkim tarasie. Udało mu się. Tęga matka obrzuciła go nieprzychylnym

spojrzeniem, lecz mało go to w tej chwili obchodziło. Pochłonął pączka błyskawicznie, paroma kęsami i z ulgą zapalił ostatniego papierosa. Pałac i popijając kawę małymi łykami, przyglądał się przechodniom, nasłuchując strzępów ich rozmów. Taki dziennikarski nawyk. Czasem ulica może podsunąć jakiś temat, pomysł. Brakowało mu pomysłów. Czuł się wypalony. „Ty już jesteś skończony, Żądło!”. Głos Kłęzki dudnił mu w głowie. Tak, Kleczko miał rację. Jest skończony.

Do lady podszedł zabawny jegomość, mimo upału ubrany w drogi, szary, prążkowany garnitur. Mężczyzna był nijaki, lecz na jego nosie tkwiły ekstrawaganckie lustrzane okulary, a pod pachą dzierżył teczkę z błyszczącej czarnej skóry. Emil usłyszał, jak dziwną polszczyzną prosi ekspedientkę o ciastko francuskie z serem. Bufon, ocenił Emil. Pospolity, nadęty bufon. Cudzoziemiec albo ma wadę wymowy, skonstatował obojętnie. Za mężczyzną ustawiała się równie snobistycznie wyglądająca para. Opalona na brąz, arogancka baba i bubek w kwiecistych gaciach do kolan. Może by tak napisać reportaż po prostu o ludziach przyjeżdżających w sezonie do Trójmiasta? Materiału jest dość. Każdy z nich ma swoją historię, swoje dziwactwa. Taa... Tylko kto by za to zapłacił?

Postanowił się stąd wynosić. Już i tak spoglądali na niego wrogo. Siedzi sobie i pali, a tu brak miejsc na tarasie.

Leniwie powlókł się uliczkami w poszukiwaniu kiosku, w którym mógłby kupić papierosy i lokalne gazety. Chciał przejrzeć, co ma do zaoferowania aktualna prasa. Czy naprawdę coś lepszego od jego reportażu o żeglarstwie morskim? Przynajmniej będzie miał czym zabić czas wieczorem. Zamiast tępego wpatrywania się w telewizję - wątpliwy kontakt z zawodem.

Skręcił w stronę Ratusza Staromiejskiego, nogi same poniosły go do pubu. Wiedział, że tak naprawdę od początku zmierzał właśnie w tym kierunku. Jedno piwo, nic więcej, obiecywał sobie. Schodząc na dół schodami, jak zwykle odczuwał podniecający dreszczyk. Namiastka życia. W barze panował miły chłód. Rozglądając się po nastrojowym pomieszczeniu, Emil zauważył, że ktoś do niego macha. Długonoga, szeroko uśmiechnięta, lekko rudawa blondynka, tysiąc piegów, dołeczki w policzkach. Poznał ją natychmiast: Dorota. Znał ją od dzieciństwa. Jej dzieciństwa, ma się rozumieć. Była córką sąsiadki jego babki. Pamiętał ją jako małego berbecia. Potem, gdy już pracował w policji, matka dziewczynki miała kłopoty z byłym mężem - alkoholikiem. Pomagał im trochę. Dorota była wówczas sympatyczną, pełną uroku nastolatką. Niewykluczone, że odrobinę się w nim durzyła. On sam już tam wtedy nie mieszkał, razem z Emilem wyprowadzili się na Przymorze. Dziewczyna była od niego młodsza o dobrą dychę. Ponad dychę! Z piętnaście lat, jak w

mordę strzelił.

- Cześć, co za spotkanie! - zawołała radośnie, gdy podszedł do niej ze szklanką piwa w dłoni. Siedziała z chłopakiem. - Poznajcie się. To jest Damian, mój narzeczony. A to nasz sąsiad, Emil.

Damian był przystojnym blondynkiem w okularach, wyglądającym na intelektualistę.

- Były sąsiad - sprostował Emil z uśmiechem. - Co porabiasz, mała? Mama pozwala ci pić piwo?

- No wiesz co! - zaśmiała się. - Nie pochlebiaj mi! Jestem już duża. Wychodzę za męża.

Prawda, Damian?

Chłopak potwierdził z zapalem, obejmując ją dumnie ramieniem.

- Przysiądziesz się do nas? - zapytała, przekrzywiając figlarnie głowę. Miała na sobie dzinsy i koszulkę, włosy zaplotła w dwa sięgające do pasa warkocze.

- Czemu nie...

- No to opowiadaj, co porabiasz! - zażądała. - Jak ci leci? Dalej jesteś dzielnym policjantem?

Emil skrzywił się. Jakieś fatum. Drugie takie pytanie w tym samym dniu to już chyba naprawdę przesada. Dorocie nie mógł jednak odpowiedzieć tak, jak perfidnemu Kleczce.

- Nie, już dawno nie - odparł. - Jestem dziennikarzem.

- To super! - zawołała. - To tak jak Damian! No, prawie... Naprawdę super!

- Nie bardzo - przyznał uczciwie, pociągając duży łyk piwa i zapalając papierosa z nowej paczki. - W zasadzie jestem bez pracy.

- Naprawdę? - Dorota zmieszała się lekko. - Damian, może mógłbyś pomóc? Damian robi... Nie sam, oczywiście, tylko z jeszcze jednym chłopakiem, a ja im też trochę pomagam... Robi taką bezpłatną gazetkę, w założeniu kulturalną. No wiesz, za reklamy. Czasem zdarzają się tam nawet fajne teksty, promujące nasze miasto i region. Rozumiesz, dwie lub trzy strony artykułu, a reszta to reklamy - uśmiechnęła się. - Mamy zamiar ubiegać się o dotację władz miejskich, ale najpierw musimy się wykazać. A o czym ty piszesz?

- O wszystkim. - Pohamował odruch, by nonszalancko podziękować. Nie czas na ambicje. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. - Zwykle reportaże. Wiecie, chyba nawet widziałem dziś tę waszą gazetkę. Dzieciaki rozdawały coś takiego w kolejce.

Wstydliwie nie wspomniał, jak się z nią obszedł.

- Może to znak? - Damian z uśmiechem kiwnął głową. - Możliwe, że to nasza, wynajęliśmy na czas wakacji młodzież do kolportażu. Wpadnij do nas do redakcji. To znaczy, nasza redakcja właściwie znajduje się w prywatnym mieszkaniu kumpla. Ale już niedługo.

Jak na razie, odpukać, idzie nam coraz lepiej. Nie spodziewaj się, że u nas zarobisz, rozumiesz, jeszcze nas na to nie stać, ale jeśli zadowoliliby cię co jakiś czas skromne honorarium, to może coś by się dało zrobić. Chłopak był naprawdę pełen dobrych chęci.

- Jasne, dzięki - odparł Emil. - Mam tu próbkę. To tekst o żeglarstwie morskim. Ze zdjęciami. Mogę ci zostawić.

- Fajnie, przejrzę go sobie w domu i dam ci znać. To co, zamówimy jeszcze po jednym piwie?

Emil zawahał się.

- My stawiamy - szybko powiedziała Dorota. - Jesteśmy szczęśliwi, zakochani, interes nam kwitnie i w związku z tym fundujemy piwo przyjaciołom!

Roześmiała się, a Emil, lekko zawstydzony, przyjął zaproszenie.

Był dość późny wieczór, gdy wreszcie wyszli z pubu. Emil chwiał się trochę na nogach. Cztery szklanki piwa wypite prawie na czczo oraz kilka drinków zdążyły ściąć go z nóg. Damian również był nieco wstawiony. Jedyne Dorota, która wypila tylko dwa piwa, zachowała trzeźwość i przytomność umysłu.

- Poradzisz sobie, Emil? - zatroszczyła się, widząc, jak niepewnie stawia kroki. - Może wsadzić cię do taksówki?

- Z... zwariowałaś? - obruszył się. - Gdz... gdzie moja teczka?!

- Tu ją mam - uspokoiła go. - Zapomniałeś, że dałeś ją Damianowi do przejrzania? Spotkamy się jutro, pamiętaj o nas!

- Masz mój telefon? - przypomniał sobie Damian.

- Nie mam - oznajmił Emil radośnie.

- Czekaj, tu zapisz swój numer. - Dorota podała mu rachunek z pubu. - A tutaj masz wizytówkę Damiana. I trochę forsy. Na taksówkę. No bierz! - Widząc jego wahanie, siłą wcisnęła mu zwitek banknotów do kieszeni. - To tylko pożyczka. Przecież widzę, że jesteś bez kasy. Dziś my tobie, jutro ty nam.

Niezgrabnymi bykami zapisał numer komórki na odwrocie rachunku i wręczył go Dorocie. Przypomniał sobie mgliście, że oba numery jego telefonów są chyba w niebieskiej teczce, na wydruku, lecz nie chciało mu się już tego mówić. Miał ochotę ją uściskać, ale bał się reakcji Damiana. Jeszcze by go źle zrozumiał. Nie bardzo wypada obściskać młode dziewczyny w obecności ich narzeczonych.

- Na pewno sobie poradzisz? - powtórzyła niespokojnie. - Odprowadzilibyśmy cię, ale mamy jeszcze z kimś się spotkać, a jest już późno.

- Chodźmy już, spóźnimy się! - ocknął się nagle Damian. - Gość nie będzie czekał, a



chce wykupić pakiet reklam. Może sfinansuje twoje honorarium. - Wyszczerył komicznie zęby, zwracając się do Emila. - Ważny klient. Czekaj jutro na mój telefon, zadzwonię do ciebie rano. To cześć. Dorota, sływamy!

- Ttt... tylko nn... nie za bardzo rano - zastrzegł Emil.

- Damian, mówiąc „rano”, nie ma na myśli bladego świtu - roześmiała się Dorota. - Bez obaw. Zadzwoni pewnie koło południa. Przecież najpierw musi przeczytać twój artykuł. Cieszę się, żeśmy się spotkali. Trzymaj się!

- Cz... cześć. - Emil zatoczył się w stronę przystanku tramwajowego. Nie był taki głupi, żeby tracić pieniądze na taksówki. - Dzięki!

- Bądź ostrożny! - usłyszał jeszcze za sobą głos Doroty. Pomachał jej ręką, nie odwracając się. Uśmiechał się sam do siebie. Poczul jakby cień wiary w przyszłość. Może to perspektywa pracy tak go optymistycznie nastroiła - jak by nie było: w zawodzie, a nie na przykład w służbach oczyszczania miasta -;i może, i to nawet bardziej prawdopodobne, energia i witalność, płynące od tych sympatycznych młodych ludzi. Nieważne. Grunt, że tej nocy nie będą go dręczyć koszmary.

## ROZDZIAŁ 2

Popijając kawę i przegryzając ją zwietrzałym herbatnikiem, Emil analizował swoje wrażenia. Wczorajszy radosny optymizm ulotnił się, jednak niezupełnie bez śladu. Owszem, propozycja Damiana i Doroty to zawsze jakieś wyjście z totalnej beznadziei. Przynajmniej na pewien czas. W jego aktualnej sytuacji nie warto wybrzydzać. Honor należy schować do kieszeni, i przyda się teraz każdy grosz. Choćby po to, by przeczekać. Żadna praca nie hańbi. O ile wypali.

Właśnie. Dawno minęła pierwsza po południu, a od Damiana nie było żadnej wiadomości. Emil wstał wcześniej tego dnia i od dwunastej czekał na telefon. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, nie był przyzwyczajony do bezczynności. O tej porze zazwyczaj włóczył się po mieście, nawet jeśli akurat nie miał nic do roboty. Nawyk. W dodatku męczył go kac, fizyczny nawet nie tak bardzo, raczej moralny. Naprawdę czuł się nieudacznikiem. Emila ma rację. Nic mu nigdy nie wychodziło, a teraz, niby jakiś pętaś, czeka na ratunek ze strony pary dzieciaków. Zaczął także martwić się o swoją teczkę z reportażem. Niby nic się nie stało, ale pierwszy raz w życiu powierzył tak beztrzesko swoją pracę komuś w zasadzie całkiem obcemu. Co z tego, że zna Dorotę od dziecka? Ale jej chłopaka nie zna. Mógł zgubić teczkę albo dać ją jeszcze komuś trzeciemu!

Mijała druga. Zapalił papierosa i włączył telewizor. Lokalna stacja grzmiała. Główna atrakcja dnia. Kolejne bestialskie morderstwo. Nie, nie - nie miał teraz do tego głowy. Zbrodnie w dzisiejszych czasach przestały już być prawdziwą sensacją. W końcu zdarzają się niemal co dzień. W takich czasach przyszło nam żyć. Koniec świata blisko, jak zapowiadają liczni, co bardziej nawiedzeni wizjonerzy. Jak dla niego mógłby nadejść choćby w tej chwili. Nie ma nic do stracenia.

Roztargniony, nie mogąc skupić się na pełnym niezdrowej ekscytacji medialnym jazgocie, wyłączył telewizję. Przyszło mu jednak do głowy, że Damian być może nie dzwoni, ponieważ pojechał na miejsce zbrodni. Młodzi dziennikarze są ambitni. Reportaż o żeglarstwie morskim mógł w tej sytuacji wylecieć mu z pamięci. Zapalił kolejnego papierosa, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu wizytówki, którą przy pożegnaniu wręczyła mu Dorota. Pamiętał mgliście, że wsadził ją do kieszeni dzinsów. Wymacał coś, wyjął i ujrzał zwitek banknotów. Dopiero teraz przypomniał sobie, że Dorota pożyczyła mu pieniądze, i poczuł się jeszcze gorzej. Spadł chyba na samo dno, skoro wziął tę forszę. Przeliczył je szybko

- trzy stowy. Trochę za dużo jak na taksówkę.

Pomiędzy banknotami tkwił skromny kartonik, wizytówka Damiana, wydrukowana na zwykłej drukarce. Już po trzeciej.

Emil postanowił odezwać się pierwszy. Nawet jeśli współpraca nie wypali, musi przecież odebrać swój tekst i zwrócić pieniądze. Wystukał numer. Już po paru sygnałach ktoś się odezwał.

- Słucham. - Surowy, męski baryton nie był jednak podobny do młodzieńczego głosu Damiana.

- Nie wiem, czy się dobrze dodzwoniłem - zawahał się. - Chciałbym rozmawiać z Damianem...

- Niestety, to niemożliwe - odparł baryton po chwili milczenia. - W jakiej sprawie pan dzwoni? Proszę o podanie swego nazwiska.

- Przepraszam, zadzwonię kiedy indziej. - Rozłączając się, słyszał jeszcze natarczywe „halo, halo!” w słuchawce.

Nie wiadomo dlaczego, ogarnął go jakiś dziwny niepokój, którego nie potrafił określić. Ten głos nie pasował do współnika Damiana. Z wczorajszej rozmowy wynikało, że kolega Damiana jest mniej więcej w jego wieku. Spróbował dodzwonić się jeszcze pod numer telefonu komórkowego, który dopisany był długopisem u dołu kartonika. Odezwała się jedynie poczta głosowa.

Dolał sobie odrobinę zimnej już kawy - z dzbanka od ekspresu starego typu, zakupionego na wyprzedaży - i odruchowo zapalił następnego papierosa. Dziwne. Oboje sprawiali wrażenie konkretnych ludzi. Owszem, byli młodzi, lecz przecież dorośli. Prowadzili własną gazetę. Jego tekst o żeglarstwie morskim może i nie jest szczególnym hitem, lecz z pewnością także nie najgorszą Szmirą. Był przekonany, że pozyskanie dość popularnego dziennikarza - nawet jeśli co niektórzy uważają, że jest skończony - dla nowo powstałej bezpłatnej gazetki to dla nich nie lada gratka. Z pewnością nie do pogardzenia. Damian chciał dzwonić rano. Dorota, o ile dobrze sobie przypominał, sprostowała, że będzie to raczej koło południa. Dochodziła szesnasta.

Niepokój go nie opuszczał. Ponadto nie znosił takiego wyczekiwania. Rzucił okiem na stertę starych książek telefonicznych, leżących na podłodze. Zna przecież nazwisko Doroty.

Zna adres. Nie mówiła nic o przeprowadzce. A nawet jeśli sama już tam nie mieszka, to mieszkanie wciąż zapewne zajmuje jej matka. Numer, przy odrobinie szczęścia, także będzie ten sam, wystarczy tylko dodać kierunkowy. Szybko odszukał właściwą stronę. Jest. Maria Braniewska. Zgadza się.

- Słucham. - Głos słuchawce był słaby, jakby dochodził z oddali. Lecz Emil był przekonany, że dodzwonił się pod właściwy adres.

- Dzień dobry - zaczął niepewnie. - Mówi Emil Żądło. Pamięta mnie pani, pani Mario? Dawny sąsiad...

- Tak...

- Usiłuję złapać Dorotę - powiedział lekkim tonem. - Mam pilną sprawę. Czy pani mogłaby...

Usłyszał dziwny dźwięk, coś jakby stłumione łkanie.

- Halo, pani Mario?

- To pan nic nie wie?! - Kobieta rozplakała się w głos. - Nic pan nie wie? Nie ma już Dorotki! Nie słucha pan telewizji? Pan przecież musi o tym wiedzieć! Boże drogi, o Boże!

- Ale co się stało? - Emil był wstrząśnięty. Łkanie nie milkło, przeciwnie, nasiliło się, przypominało teraz żalorny skowyt śmiertelnie rannego zwierzęcia. - Pani Mario, co się stało Dorocie?!

- Zamordowali ją! - wykrzyczała przez Izy. - Zabili moją córeczkę! Zabili!...

Rozległo się stuknięcie i zaraz potem ostry dźwięk sygnału. Połączenie zostało przerwane. Widocznie zrozpaczona kobieta gwałtownie odłożyła słuchawkę.

Emil stał dłuższą chwilę jak ogłuszony.

Następnie rzucił się do telewizora.

„Podwójne morderstwo w Gdańsku!” - przeczytał na pasku wiadomości telewizji regionalnej. „Rano w oliwskim lesie znaleziono ciała dwojga młodych ludzi. Ze wstępnych oględzin zwłok wynika, że ubiegłej nocy zostali oni brutalnie zamordowani przez nieznaną sprawców. Policja sprawdza wszystkie tropy”.

Zrobiło mu się nagle ciemno przed oczami.

Kiedy wieczorem rozległ się dzwonek u drzwi, Emil wiedział już, kto składa mu niezapowiedzianą wizytę. W zasadzie na nią czekał. Miał zamiar sam zgłosić się na komisariat i zrobiłby to nazajutrz, gdyby dziś zostawiono go w spokoju. Jednak dzwonek był jak na alarm i Emil powłókł się do drzwi. Ryło ich dwóch. Jeden młody, którego nie znał - sierżant. Nieśmiały, barczysty, o twarzy bez wyrazu. I - skonstatował z ulgą - Marek, czyli dawniej aspirant Zebra. Teraz już podkomisarz. Stary kumpel. Jego ruda czupryna, odrobinę posiwiała jedynie na skroniach, i piegowata twarz nie zmieniały się od lat, a i sylwetkę wciąż miał młodzieńczą, wysportowaną. Dawno temu razem rozpoczynali karierę w policji. Emil nie utrzymał się tam długo. Zebra przeciwnie - dał się poznać z jak najlepszej strony, szybko awansował i już wkrótce stał się wschodzącą gwiazdą lokalnego wydziału kryminalnego. W

obecnej chwili jego pozycja była ugruntowana - tam, gdzie trudna sprawa, tam i Zebra...

- Domyślasz się pewnie, dlaczego tu jesteś - zauważył lekko zakłopotany Zebra, podając Emilowi rękę na przywitanie.

- Siadajcie. - Emil przeniósł sterty papierów i książek z krzeseł na łóżko. - Doceniam, że pofatygowaleś się osobiście. Napijcie się czegoś?

- A masz coś zimnego?

Upał nie zelżał, mimo że słońce zaszło już jakiś czas temu. Zapowiadała się kolejna parna noc.

- Może piwo?

Zdażył je kupić wcześniej. Przewidywał, że może mu być potrzebne.

- Nie, daj spokój - zachnął się Zebra. - Jakiś sok, woda mineralna?

- Woda. - Emil wzruszył ramionami i poszedł do kuchni po szklanki, podczas gdy policjanci sadowili się przy małym stoliku. Sobie nalał piwa.

- Dobra, stary, przystąpmy do rzeczy. - Zebra wyjął swój nieodłączny czarny notes z tłoczonym, złotym monogramem.

Zawsze go używał. Nikt nie wiedział, czy to wciąż ten sam notes, czy też kolejne duplikaty. - Żebyśmy mieli to już za sobą. Parszywa sprawa...

- Żebyś wiedział. - Emil pokiwał głową i napił się piwa. Wiedział, że Zebra zauważył jego bladą twarz i podkrążone oczy.

- Mówią ci coś nazwiska Dorota Braniecka i Damian Nurek?

- Mówią - potwierdził Emil. - To znaczy częściowo. Dorotę Braniecką znam od lat, a jej chłopaka, Damiana, poznałem wczoraj, Jego nazwisko słyszę od ciebie pierwszy raz w życiu. Ale domyślam się, że chodzi o tego samego człowieka. Znam sprawę tylko z mediów. Opowiem ci wszystko od razu, żeby nie tracić czasu. Pytania będziesz zadawać później.

- Dobra, wal - zgodził się podkomisarz.

- Od pewnego czasu chodzę za robotą. Kiepsko mi idzie. Mniejsza o to. Wczoraj w Gdańsku, po niezbyt owocnych wizytach w zaprzyjaźnionych redakcjach - Emil uśmiechnął się krzywo - wstąpiłem do pubu w Ratuszu Staromiejskim. Tam przypadkiem spotkałem Dorotę, która przedstawiła mnie swojemu narzeczonemu. Wypiliśmy razem kilka piw. Dorotę znam od dziecka, kiedyś byliśmy sąsiadami. Nie widziałem jej od lat, ale poznałem od razu. Niewiele się zmieniła. W trakcie rozmowy wyszło, że jej chłopak, ten Damian, redaguje z kolegą bezpłatną gazetkę, nazwy nie pamiętam. Zaproponował mi współpracę, na razie nic konkretnego, dziś mieliśmy się spotkać w tej sprawie. Umówiliśmy się na telefon. Ale nie zadzwonił.

- Więc zadzwoniłeś do niego?

- Zgadza się.

- Nic nie wiedziałeś o zabójstwie? Nie słuchałeś radia, telewizji?

- Nie. - Emil wzruszył ramionami. - Czekałem na jego telefon. Coś tam dotarło do mnie z telewizji, ale nie skojarzyłem, nie słuchałem zbyt uważnie. Nawet mi do głowy nie przyszło!

Biedne dzieciaki, cholera... Zniecierpliwiłem się w końcu i zadzwoniłem do Doroty. Odebrała jej matka. Była w szoku. To od niej się dowiedziałem.

- Taak... - Zebra zapisał coś w notesie. - Zgadza się. Znaleźliśmy przy nich rachunek z twoim numerem telefonu na odwrocie. Ile czasu spędziliście razem i gdzie się rozstaliście? Postaraj się ustalić godziny.

- Poszedłem do baru koło piątej po południu - zastanowił się Emil. - A wyszliśmy... gdzieś koło dziewiątej wieczorem, może trochę wcześniej albo później, nie pamiętam dokładnie. Trochę wypilem. Rozstaliśmy się przed pubem. Poszedłem do tramwaju, a oni w przeciwnym kierunku. Twierdzili, że mają się jeszcze z kimś spotkać. Zdaje się, że służbowo.

Emil przerwał, usiłując odtworzyć sobie w myślach szczegóły. Zauważył przy okazji, że tym razem to sierżant coś zapisał.

- O tej porze, służbowo? - zdziwił się Zebra.

- Nie znasz tej branży! - Emil zaśmiał się sucho. - Tu każda pora jest dobra. Jak zrozumiałem, miało to być spotkanie z potencjalnym klientem. Reklamodawcą. Coś w tym stylu.

- Umówili się gdzieś w jakimś biurze? W redakcji?

- Nie sądzę. - Emil ponownie skrzywił usta w pobłażliwym uśmiechu. - Raczej w jakiejś knajpie. Tak się najczęściej załatwia interesy w tym fachu. Nie mam pojęcia gdzie, nie pytałem.

- I nie wiesz też, kto był tym sponsorem? - Nie.

- Ta dziewczyna także była zaangażowana w to pismo?

- Raczej nieformalnie. - Wzruszył ramionami. - Dorota dopiero kończyła studia. Ale angażowała się emocjonalnie, pomagała, identyfikowała się z tą gazetą.

- Rozumiem, że pojechałeś wtedy prosto do domu?

- Tak. Byłem pijany, zmęczony i wypluty. Położyłem się wcześniej i spałem jak niemowlę. Nie przeczułem tego horroru.

Obaj zamilkli na moment. Emil zapalił papierosa. Zebra pisał coś w swoim notesie. Jego towarzysz pustym wzrokiem błędził oczami po ścianach i suficie.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiście w pubie? - zapytał Zebra po chwili.

- Tak jak wspominałem: głównie o pracy. Poza tym wspominaliśmy trochę dawne dzieje. No i oni opowiadali o swoich planach. I o gazecie, i o ślubie. Wyglądali na szczęśliwą parę.

- Tak. - Zebra pokiwał głową ze smutkiem. - Biedne dzieciaki. Wiesz, jak ich znaleziono?

- Nie. - Emil poczuł dreszcz na karku. Nie był pewien, czy chce poznać szczegóły.

- Znalazł ich gość uprawiający jogging w lasach oliwskich. - Zebra starannie omijał wzrokiem jego twarz. - Byli nadzy i związani razem, on tyłem do niej, do góry nogami. Rzucił się w oczy, że widok miał być celowo groteskowy. Zostali poparzeni, tak jakby ktoś naznaczył ich ciała płonąca pochodnią. Ubrania także zostały spalone. Prawdopodobnie odurzono ich najpierw jakimś świństwem i uduszono sznurem. Stało się to przypuszczalnie pomiędzy dziesiątą wieczór a północą. To by się zgadzało z twoją relacją: musiała upłynąć przynajmniej godzina, odkąd opuścili pub. Zapewne dobrowolnie wsiedli do czyjegoś samochodu. Zginęli tam, na miejscu; znaleźliśmy ślady walki. Wygląda na to, że morderca działał w pojedynkę, choć trudno w to uwierzyć. Zabraliśmy ciała do naszego zakładu kryminalistyki, wyniki autopsji będą dopiero jutro, ale tyle już możemy stwierdzić. A właśnie, czy w tym barze oni dużo wypili?

- Mniej ode mnie - Emil z trudem wydobył z siebie głos. - I tylko piwo. Nie byli pijani. On może na lekkim rauszu, ona chyba wcale. Słuchaj... Czy miało miejsce jakieś molestowanie, gwałt? Kto mógł zrobić coś takiego, jakiś czubek?!

- Trudno stwierdzić na tym etapie. - Zebra wzruszył ramionami. - Raczej brak śladów gwałtu. W grę mogły wchodzić porachunki.

- Daj spokój! - Emil machnął ręką. - Bzdura! Masz na myśli porachunki mafijne albo gangsterskie?! Bzdura. To nie tego typu ludzie!

- Tym bardziej mogli się w coś wplątać nieświadomie - stwierdził Zebra. - Badamy wszystkie możliwości.

- Jestem podejrzany?

- Na tym etapie - jesteś. - Zebra uśmiechnął się dobrotliwie. - Przecież wiesz. Nikogo nie możemy na razie wykluczyć.

Emil zapalił nerwowo kolejnego papierosa. Miał wrażenie, że tylko dym może stłumić mdlący zapach śmierci, który czuł dookoła. Było mu niedobrze. Nie dlatego, że należał do przewrażliwionych. Niejedno już w końcu w życiu widział. Ale w tym wypadku świadomość, że ktoś - jakaś pokręcona ludzka kreatura - skrzywdził, pozbawił życia i urządził sobie

urągowisko z tej pary wspaniałych, radosnych dzieciaków, doprowadzała go do szaleństwa. Łaknął krwi. Marzył o tym, żeby dorwać bydlaka w swoje ręce i wypruć z niego flaki. Nie jest już gliną - może sobie pozwolić na takie marzenia. To jego prawo. Dopaść. Zatluc gołymi pięściami. Zniszczyć...

- Nie pal tyle, dobrze ci radzę - powiedział Zebra i wstał. - Palenie także zabija. Dobra, dzięki za pomoc. Będziemy się zbierać. Wpadniesz do nas, żeby podpisać zeznanie. Wygląda na to, że byłeś ostatnią osobą, która widziała te dzieciaki żywe. Poza mordercą, ma się rozumieć. Sporządzimy protokół. Przekręcę do ciebie. Staraj się nigdzie nie wyjeżdżać, przynajmniej bez porozumienia ze mną. I nie muszę ci chyba przypominać, że szczegóły masz zostawić dla siebie. Wiem, że w twoim zawodzie liczy się przede wszystkim informacja, jednak teraz najważniejsze jest dobro śledztwa. A tak w ogóle... Jak ci leci, stary?

- Nie wkurzaj mnie. I lepiej nie pytaj - mruknął Emil. - Jeśli jeszcze raz usłyszę od kogoś to idiotyczne pytanie, mogę nie wytrzymać. Serio mówię.

- To brzmi jak groźba. Ty zawsze ściągałeś sobie kłopoty na głowę. - Zebra pokiwał głową ironicznie, a jednocześnie życzliwie.

- Słuchaj! - przypomniał sobie nagle Emil. - Czy u was jest taka niebieska, plastikowa teczka? Był w niej mój tekst i zdjęcia do reportażu. Chciałbym ją odzyskać. Powinna być przy... przy ciałach. Dałem im to wczoraj, mieli przejrzeć.

- Teczka? - Podkomisarz sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. - Nie było tam żadnej teczki. Na pewno im ją dałeś?

- Na pewno! Cholera jasna, mój reportaż! To ważne! Mam wprowadzić tekst w kompie, zdjęcia też, ale tam była płytka i wydruki. Szlag by to! Wolałbym, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Były tam moje zamiary. Na pewno nic takiego nie znaleźliście, jesteście pewien?

- Mam cię zapewniać w nieskończoność? - zapytał ironicznie Zebra. - Interesujące. Twoja teczka zginęła. Dziwne. Naprawdę dziwne. Wygląda, że wpadła w jak najbardziej niepowołane ręce: w ręce mordercy. -



## ROZDZIAŁ 3

Jadąc prawie pustym tramwajem w stronę Wrzeszcza, usiłował nie dopuszczać do siebie myśli, że zwietrzył trop. Jak pies myśliwski. Bo prawda była taka, że rzeczywiście poczuł go w powietrzu, które gęstniało wokół niego zapachem krwi. Czuł, że ma temat, choć jak na razie nie chciał przyznać się do tego nawet samemu sobie. Żerowanie na cudzej tragedii wydawało mu się rzeczą wstrętną, szczególnie że w tym wypadku dotyczyła ona osób, które znał i lubił. Dotyczyła także jego samego. Jednak reakcję Emila wyznaczał przede wszystkim pewien rodzaj ciekawości - jeśli istniała zagadka, nigdy nie potrafił przejść koło niej obojętnie. Zagadka wymaga wyjaśnienia, pytania - odpowiedzi.

Może dlatego został dziennikarzem. Praca w policji go rozczarowała. Tam zakończenie śledztwa nie zawsze oznaczało rozwiązanie zagadki, a pytania często mnożyły się w nieskończoność. Zamiast odpowiedzi wystarczały dowody, które tak naprawdę nie wyjaśniały istoty rzeczy. A zbytne drażnienie tematu nie zawsze spotykało się z uznaniem.

Emil nie mógł zapomnieć sprawy faceta, który usiłował udusić swoją konkubinę. To było jego ostatnie dochodzenie. Znaleziono niepodważalne dowody, gość dusił, przyznał się, został osądzony, skazany, wszystko pięknie. Tyle że człowiek powiesił się w celi. A już nazajutrz konkubina sprowadziła do jego domu - który przypadł w spadku ich małoletniemu synowi kolejnego konkubenta, znacznie młodszego i przystojniejszego. Dziecko natomiast, podobne jak dwie krople wody do tego przystojniejszego, wylądowało wkrótce w pogotowiu opiekuńczym. Emil znał odpowiedzi na wiele pytań, lecz nikogo one nie zainteresowały. Właśnie wtedy zrezygnował z tej roboty.

Teraz jechał złożyć kondolencje matce Doroty. Specjalnie wsiadł do tramwaju na ulicy Pomorskiej - nie do kolejki - by spokojnie pomyśleć. Tramwaj jechał naokoło, okrążając Oliwę wystarczająco długo, by można było uspokoić wyrzuty sumienia. Obserwując bezmyślnie przez szybę mijane okolice, Emil odzyskiwał równowagę ducha.

Kamienica przy ulicy Małachowskiego - przed wojną zapewne dość zamożna (tak przypuszczał, sądząc po widocznych resztkach dawnej świetności - jego rodzina nie pochodziła z Gdańska, przybyła tu zaraz po wojnie, z Kujaw, by rozpocząć nowe życie na gruzach dawnego Wolnego Miasta) - nie zmieniła się wiele od czasów, gdy tutaj mieszkał, a potem często odwiedzał babkę. Wciąż raczej zaniedbana, wciąż pokryta starym, burym tynkiem, pod którym ginęły eleganckie gzymsy i secesyjne sztukaterie. Podobno dawniej,

nawet jeszcze tuż po wojnie, uliczka miała styl: rosły tu akacje, a bruk lśnił w nastrojowym świetle gazowych latarni. Teraz niewiele pozostało z tego klimatu. Nieco senna atmosfera i biedne, brudne podwórka. Przy masywnych, ciężkich drzwiach wejściowych nie było domofonu. Uchylił je ze wzruszeniem, czując od razu znajomy zapach wyszorowanych kamiennych schodów i drewnianych boazerii. Panowała tu prawie niczym niezmacona cisza - jakże różna od zgiełku falowca, do którego zdążył już dawno przywyknąć. Z biciem serca minął szerokie drzwi dawnego mieszkania babki, wisiała tu teraz inna tabliczka, z całkiem nieznanym nazwiskiem, wygrawerowanym starannymi zawijasami na srebrzystym tle, i wolno ruszył schodami w górę. Po chwili stanął przed drzwiami sąsiadki. Zawahał się. Mógł jeszcze zrezygnować, uciec. Nie stawać oko w oko z żalobą i bólem. Przypomniał sobie jednak szczęśliwą, ufną twarz Doroty i poczuł, że przed nią nie ucieknie. Tu wiódł trop.

Nieśmiało dotknął przycisku dzwonka.

Przez kilkanaście sekund nic się nie działo. Pomyślał nawet z pewną ulgą, że chyba nic dziś nie wyjdzie z tej rozmowy. Zapewne matka dziewczyny wyjechała albo nikomu nie otwiera, pogrążona w swoim żalu. Po dłuższej chwili jednak usłyszał za drzwiami czyjeś kroki. Szczęknął przekręcany zamek, zachrobotał łańcuch i drzwi uchyliły się odrobinę.

- Kto tam? - rozległ się cichy, zachrypnięty od płaczu głos kobiety. - Słucham pana...

- Przepraszam, pani Mario - rzekł niemal szeptem, coraz bardziej speszony. - Przepraszam, że panią nachodzę w tej sytuacji, ale... Dzień dobry. Poznaje mnie pani? To ja, Emil. Emil Żądło.

- Pan Emil - powtórzyła. - Oczywiście, że poznaję. Dzień dobry. Nie szkodzi. Proszę wejść.

Zdjęła staroświecki łańcuch, wpuszczając go do środka. W długim, wąskim przedpokoju panował mrok. Emil ledwie rozróżniał w nim ubraną w czerń sylwetkę kobiety. Tylko jej twarz odcinała się na tym tle swoją bledością. Poprowadziła go w głąb korytarza do równie ciemnego pokoju na jego końcu. Zasłony były zaciągnięte, tak jakby nadmiar światła dziennego razil zapłakane oczy.

- Proszę usiąść. - Gestem wskazała długi stół, majaczący w półmroku. - Zrobić panu kawy, herbaty?

- Wolałbym nie sprawiać kłopotu - odparł zakłopotany. - Chciałem tylko chwilę porozmawiać z panią, złożyć kondolencje. Tak bardzo mi przykro.

- Dziękuję. Ale to nie kłopot. Chętnie napiję się z panem herbaty. Parzę doskonałą herbatę. Dorotka zawsze mówiła, że takiej nikt inny nie potrafi zrobić - głos jej się załamał. - Ale pan może woli kawę?

- Nie, nie, herbata będzie idealna. - Usiadł na brzegu krzesła, wsłuchany w cykanie starego ściennego zegara, podczas gdy gospodyni przygotowywała w kuchni poczęstunek. Czas mu się dłużył, choć już po kilku minutach wniosła do pokoju kryształowe szklanki z aromatycznym, wiśniowobrazowym płynem, parującym na cynowej tacy.

- Ciasteczka? - zaproponowała.

I nie czekając na odpowiedź, wyjęła z kredensu blaszaną puszkę, z której wysypała na talerz herbatniki. Widać było, że rozpaczliwie stara się jakoś trzymać. Przepuszczalnie tylko ta chwiejna równowaga pozwalała jej trwać na powierzchni. Wiele przeszła w życiu, nie poddając się, lecz ten cios był dla niej za silny. W nikłym świetle, wpadającym zza zasłony, mógł przyjrzeć się jej bladej twarzy, wyrazistym kościom policzkowym, aureoli bardzo jasnych włosów, spiętych luźno na karku. Odkąd pamiętał, była dzielną i piękną kobietą. Piękniejszą od córki, choć ta odziedziczyła po niej wdzięk i charakter. Zawsze szczerze podziwiał matkę Doroty. Nadal była piękna - szlachetności rysów nie zatarł ani czas, ani nawet ta straszna tragedia - i nadal starała się być dzielna. Teraz jednak stała się cieniem siebie samej. Wyglądała jak duch, osoba nie z tego świata.

- Pan słodzi? - zapytała, podsuwając mu cukiernicę. - Wie pan, ja rozumiem, że jej już nie ma, ale to do mnie tak do końca nie dociera... - dodała, jakby czytając w jego myślach.

- Wciąż mi się zdaje, że za chwilę tu wejdzie, roześmiana, pełna energii i zacnie opowiadać, jak minął dzień. Buzia jej się nie zamykała, tyle w niej było entuzjazmu. Miałam tylko ją. Nie mogę uwierzyć w to, że już jej więcej nie zobaczę.

- Tak, rozumiem. - Zamieszał herbatę, czując się coraz bardziej nieswojo. Jednak przyszedł tu i musiał brnąć dalej.

- Dorota była wspaniałą dziewczyną. Czasem trudno zrozumieć wyroki losu. Jestem pewien, że policja złapie tego drania, że sprawiedliwość zwycięży.

- To nie zwróci mi córki - zauważyła trzeźwo.

- Nie - przyznał. - Ale może wyjaśni coś, nada jej śmierci jakiś sens?

- Wszystko ma swój sens - powiedziała cicho. - Podobno... Dorotka miała wkrótce wyjść za mąż. Za tego chłopca, który też... Boże! Teraz połączyła ich śmierć! Tak się kochali, tacy byli szczęśliwi. Pokażę panu jej suknię ślubną. Zaraz...

Niczym lunatyczka, potykając się, wyszła do przyległego pokoju. Wróciła po minucie, tuląc w drżących dłoniach białą, tiulową sukienkę. Rozprostowała ją przed jego oczami niemal z dumą.

- Piękna, prawda?

Emil poczuł, jak coś gniecie go w gardle.

- Piękna...

Przytuliła sukienkę do twarzy, po czym ostrożnie powiesiła na oparciu krzesła.

- Proszę mi wybaczyć - rzekła. - To idiotyczne.

- Wcale nie. To ludzkie.

- Właściwie to dla kogo mam dalej żyć?! - wybuchła nagle. - Dawno zapomniałam o własnym szczęściu, pan wie, ale miałam dziecko. A teraz zostałam całkiem sama na świecie! Moje życie całkiem straciło sens.

- Pani Mario, nie wolno pani tak mówić! - zdenerwował się Emil. - Nikomu nie wolno. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Takie myślenie spycha człowieka na samo dno. Życie to nie przyjemność, to obowiązek. Pani jest jeszcze młodą osobą. Nie może pani wiedzieć, co jeszcze się wydarzy.

- Ale po co?

- Choćby po to, żeby pamięć o pani córce pozostała wciąż żywa. Tylko pani jedna wie, jaka ona była naprawdę. Jako niemowlę, dziewczynka, podłotek i młoda kobieta. Dopóki pani żyje, ona będzie żyła w pani.

- Wierzy pan w Boga?

- Nie wiem. - Emil zastanowił się. - Może nie w ogólnie przyjęty sposób. Ale na pewno wierzę w sens życia i śmierci.

Wierzę w coś, co jest ponad nami, w jakąś odwieczną mądrość. A pani?

- Staram się - rzuciła pospiesznie.

Upił łyk herbaty. Rzeczywiście była doskonała. Ciasteczek jednak nie ruszył. Chyba nie zdołałby ich przełknąć.

- Pani nie wie, z kim mieli się spotkać tamtego dnia? - Zdecydował się wreszcie zadać to pytanie.

Spojrzała na niego spłoszona.

- A mieli się z kimś spotkać? Pan coś wie na ten temat?

- Przypadkiem wiem - odparł. - Widziałem się z nimi tego wieczoru. Byli z kimś umówieni, spieszili się na spotkanie. Podobno z klientem, z którym wiązali duże nadzieje. Dorota nic pani przypadkiem nie wspomniała?

- Chyba nie. - Wzruszyła niepewnie ramionami. - Chodziło o klienta związanego z gazetą, prawda? O Boże... Oboje bardzo się zaangażowali w to pisemko. Damian w zeszłym roku skończył dziennikarstwo i założył gazetę razem z kolegą. Dorotka im pomagała, prowadziła sprawy finansowe, księgowość i tak dalej. Na razie tylko dorywczo: we wrześniu miała bronić dyplom, pan wie, że kończyła zarządzanie? Była pełna zapału, ale nie

opowiadała mi o szczegółach. Wiem tylko, że... Tak, rzeczywiście, może to ma jakiś związek? Ostatnio liczyli na wielki sukces. Dzień czy dwa przed... przed śmiercią oznajmiła mi żartobliwie: „Mamusi, będziemy bogaci! Już niedługo staniemy się prawdziwą gazetą!”. Wydawała się taka dumna, jak dziecko. Może dlatego, że... Wie pan, ja nie do końca wierzyłam w tę gazetę. Jak to matka, troszczyłam się o przyszłość córki. Wolałam, żeby znalazła normalną, bezpieczną pracę. A ona chciała czegoś więcej. Miała większe ambicje. Głupia byłam. Pewnie pragnęła mi coś udowodnić.

- Proszę nie robić sobie wyrzutów. To normalny konflikt pokoleń. - Emil uśmiechnął się blade. - Nic więcej nie mówiła na ten temat?

- Nie. Wiedziałam, że opowie mi wszystko we właściwym czasie. Dlatego nawet nie wypytywałam.

- A z kim ostatnio spotykała się Dorota? Poza narzeczoną, oczywiście. Miała jakieś przyjaciółki? Kolegów, koleżanki?

- Nie miała za wiele czasu. Przygotowywała się do magisterki, pracowała w tej gazecie. Nawet w domu była gościem. Najwięcej czasu spędzała z Damianem. Cieszyłam się z tego, to był dobry chłopiec i bardzo ją kochał. Koleżanki, kolegów? Nie wiem, ze studiów może. Ale chyba niespecjalnie bliskich. Przyjaciółkę miała jeszcze z dzieciństwa. Taką Ewę...

- Czy mogłaby pani dać mi jakiś kontakt do niej?

- Ale właściwie dlaczego? - zdziwiła się nagle. - Czy pan prowadzi śledztwo? Policja już mnie przesłuchiwała.

Emil nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Był tu prywatnie. | Jak jej wyjaśnić, że... Że nie odzyska spokoju, dopóki nie znajdzie wyjaśnienia, dopóki nie dowie się, dlaczego zginęli. Sam zrozumiał to tak naprawdę dopiero teraz. Narastała w nim mściwość. Zapragnął dopaść człowieka, który to zrobił. Zdawał sobie sprawę, że nie do niego to należy, lecz mimo to wiedział już, że nie zostawi tej sprawy w spokoju.

- Powiem pani szczerze - odezwał się w końcu. - Chciałbym znaleźć mordercę. Dorota być może zwierzała się przyjaciółce. Liczę na to, że się czegoś od niej dowiem. Nie wierzę, że zamordował ich przypadkowy zbir, wariat albo zboczeniec. Myślę, że znali tego człowieka, nie przypadkiem wsiedli do jego samochodu.

Bez słowa podniosła się i zajrzała do notesu leżącego przy telefonie.

- Podyktuję panu numer telefonu komórkowego - oznajmiła. - Więcej nie mogę podać. Nie wiem, czy życzyłaby sobie tego. Ona też bardzo to wszystko przeżywa. Jeśli zechce, porozmawia z panem.

- Dziękuję pani - odparł, gdy zapisał już numer w książce adresowej. - A ten kolega,

wspólnik? Gdzie mogę go znaleźć?

- Dam panu ostatni egzemplarz gazetki, znajdzie pan wszystko, co trzeba, w stopce redakcyjnej.

- Pójdę już. Dziękuję za poczęstunek. I za pomoc. Herbata była pyszna. Jeszcze jedna sprawa - przypomniał sobie nagle i sięgnął zaraz do kieszonki dzinsów. - Dorota pożyczyła mi pieniądze. Proszę je przyjąć.

- Nie, nie! - Cofnęła się gwałtownie. - Nie ma mowy. Nie chcę. Skoro Dorota je panu pożyczyła, to tylko jej mógłby pan oddać. A ona już ich nie potrzebuje. Wobec tego teraz należą do pana. - Spróbowała się do niego uśmiechnąć, wyszło jednak z tego tylko żalosne skrzywienie warg. - Zresztą to pewnie i tak pieniądze redakcyjne, na wydatki związane z prowadzeniem działalności.

Niezgrabnie podniósł się z krzesła. Nie zwykł całować kobiet w rękę - wiedział, że zazwyczaj wcale tego nie lubią i doskonale je pod tym względem rozumiał - teraz jednak zapragnął to zrobić. Nie oponowała. W milczeniu odprowadziła go do drzwi.

- Oto gazeta. - Sięgnęła do półeczki pod lustrem i podała mu kolorowy prostokąt papieru formatu A3.

Mimo mroku szybko i pobieżnie przerzucił zawartość. Tylko okładka była kolorowa, środki wydrukowano w czerni i bieli. Postanowił, że przejrzy ją dokładniej w tramwaju. Chwytał właśnie za klamkę, gdy kobieta gwałtownie złapała go za ramię. Usłyszał tuż koło siebie jej ciężki oddech i tłumione łkanie.

- Co się stało, pani Mario? - Przestraszył się nie na żarty. - Źle się pani poczuła? Coś pani dolega? Co mam robić?!

- Niech pan go znajdzie - wykrztusiła. - Niech pan złapie potwora, który zrobił to mojemu dziecku. Niech pan przysięgnie, że go pan znajdzie!

- Pani Mario... - zająknął się Emil. - Ja... nie pracuję już w policji.

- A gdzie pan pracuje?

- Jestem dziennikarzem. Dziennikarzem śledczym. Ale przysięgam, że przyszedłem tu prywatnie, z potrzeby serca. Bardzo lubiłem Dorotę. Chciałbym złapać i ukręcić łeb mordercy, lecz nie mogę przysiąc, że mi się to uda.

Bał się, że wyrzuci go za drzwi.

- Wierzę panu - powiedziała jednak, puszczając jego rękaw. - Wiedział pan, że Dorota durzyła się w panu jako nastolatka?

On sam durzył się niegdyś w jej matce, jednak przemilczał teraz ten fakt.

- Zrobię, co tylko będę mógł - obiecał. - Spróbuję.

- Proszę mi to obiecać, proszę dać mi słowo! - zażądała już spokojniej, patrząc mu prosto w oczy.

Zmartwił.

- Obieca mi pan? Była nieugięta.

- Ale naprawdę, od dawna nie jestem już policjantem.

- Nie szkodzi.

Jej uparty wzrok palił mu policzki.

- Dorota zasługiwała na to - dodała twardo, wciąż nie spuszczać oczu z jego twarzy.

Po jej policzkach wolno spływały łzy. - Sam pan tutaj przyszedł.

- Obiecuję - powiedział, czując, że już się nie wykręci. Stało się. Teraz już będzie mógł - będzie musiał - zająć się tą sprawą. Z czystym sumieniem. A raczej czyste sumienie będzie miał dopiero wtedy, gdy zrobi wszystko, co w jego mocy, by odnaleźć mordercę. Choćby nawet miał przy tym zginąć lub zatracić samego siebie.

Zrobi to...

Ledwie skręcił za róg, wyjął telefon komórkowy. Znalazł w gazecie stopkę redakcyjną. Wynikało z niej, że funkcję redaktora naczelnego pełni niejaki Szymon Mader. Damian Nurek był jego zastępcą. Oprócz nich w stopce widniała jeszcze tylko Dorota Braniecka jako „współpraca” i to wszystko. Wystukał podany numer stacjonarny redakcji, lecz włączyła się tylko automatyczna sekretarka:

- Tu redakcja tygodnika „Rozgwiezda”, prosimy o pozostawienie wiadomości. Dziękujemy.

Sygnał. Emil rozłączył się i wybrał numer telefonu komórkowego.

- Halo - odezwał się zdyszany głos.

- Czy rozmawiam z panem Szymonem Maderem?

- Tak.

- Moje nazwisko Żądło. Emil Żądło. Jestem... to znaczy, byłem znajomym Damiana. Zaproponował mi współpracę. Czy moglibyśmy umówić się na spotkanie?

- Ach, Damiana... - rozmówca zawiesił głos. - Rozumiem, że pan wie o tragedii. Znam pańskie nazwisko, czytywałem pana reportaż. Damian zaproponował panu współpracę? I pan jest nią zainteresowany? Czuję się zaszczycony, ale... Wie pan, w tej sytuacji... Nie wiem nawet, czy gazeta będzie dalej istnieć.

- A moglibyśmy się spotkać?

- Tak, oczywiście, tylko... Jutro wyjeżdżam na dwa, trzy dni, służbowo, rozumie pan, staram się ratować, co tylko się da. Czy moglibyśmy spotkać się po moim powrocie?

- Zależy mi na czasie - oświadczył Emil stanowczo. - Wolałbym porozmawiać z panem jeszcze dzisiaj, jeśli to możliwe. Nie zajmę panu dużo czasu.

Wyraźnie wyczuł wahanie po drugiej stronie słuchawki.

- Dobrze - odezwał się w końcu Szymon Mader. - Za mniej więcej godzinę będę u siebie, do wieczora jestem dostępny. To znaczy, w redakcji. Adres jest w stopce. Podyktować panu czy znajdzie go pan sam?

- Znajdę. - Będę na pewno. Do widzenia.

Następnie szybko wystukał numer komórki przyjaciółki Doroty.

- Pani Ewa?

- Słucham, o co chodzi?

- Mówi Emil Żądło, byłem starym przyjacielem Doroty. Dostałem ten numer od jej matki. Bardzo chciałbym z panią porozmawiać.

- Wiem, dzwoniła do mnie. - Głos dziewczyny był nieufny i pełen smutku. - Ale nie bardzo rozumiem. Ja już rozmawiałam z panami z policji. Pan jest dziennikarzem, prawda?

- Dziennikarzem śledczym. - Miał niejasną nadzieję, że ten termin niejako usankcjonuje jego zainteresowanie. - Pani Maria prosiła mnie o pomoc. Chciałbym sprostać tej prośbie. Pani była najbliższą przyjaciółką Doroty. I dlatego mam do pani kilka pytań. Naprawdę, nie zajmę dużo czasu, dosłownie chwilę.

- No dobrze - zgodziła się. - Skoro pani Maria sobie tego życzy. Gdzie pan teraz jest? Możemy spotkać się w Kasztelu, w kawiarni, za pół godziny?

- Świetnie.

- Będę ubrana w zielony t-shirt. Przepraszam, że nie zapraszam pana do domu, ale cenię sobie prywatność. Poza tym nie mieszkam sama.

- Nie ma sprawy. A więc do zobaczenia - rzekł - za pół godziny.

Miał więc dla siebie pół godziny. Postanowił przeznaczyć je na spacer po bliskich sercu okolicach. Tu na przykład, na rogu, stała kiedyś budka z lodami. Tam była cukiernia, gdzie jako mały chłopak biegał co niedzielę po rurki z bitą śmietaną. Babcia, co prawda, piekła co jakiś czas pyszny sernik albo jabłecznik, jednak rurki z prawdziwą, lekko kwaskową śmietaną były ich wspólnym specjalnym przysmakiem, tradycją jego dzieciństwa. Teraz już nikt nie potrafi zrobić takich samych. Nikt nie ubija prawdziwej bitej śmietany. Emila zawsze twierdziła, że Emil jest po prostu zwyczajnym malkontentem. Ale Emila nigdy nie przywiązywała wagi ani do jedzenia, ani właściwie do niczego. Niezbyt chętnie czytała książki, nie rozumiała jego zamiłowania do staroci ani też jego stosunku do pracy. Mrzonki - mawiała - durne ideały, bujanie w obłokach. Liczyły się dla niej pieniądze. Nie, żeby była



szczególnie zachłanna. Jednak istotny był dla niej status materialny i - jak to nazywają - „normalne życie”. Rozwiedli się, gdy rzucił pracę w policji. I nie chodziło o to, że jego życie stało się teraz mniej bezpieczne. Gdy był gliną, także nie mogła liczyć na sielankę. Poszło o tę „normalność”.

- Nie będę żyć jak cyganka - oznajmiła któregoś dnia. - Ani ja, ani tym bardziej moje dziecko! Skoro nie potrafisz zdecydować, co jest dla ciebie naprawdę ważne, to trudno. Tacy jak ty nigdy nie powinni zakładać rodziny!

Nie kłócił się. Może miała rację. Zauważył tylko, że Bartek jest także i jego dzieckiem.

- Doprawdy? - usłyszał szyderczą odpowiedź. - Jakoś dotąd nie zauważyłam, żebyś się tym przejmował...

Od tego czasu konsekwentnie utrudniała mu kontakty z synem. A on czuł się zbyt winny, by za bardzo nalegać lub walczyć z nią w sądzie. Zadowalał się ustalonymi przez nią zasadami.

Emila... Musi zapłacić jej zaległe alimenty. Z pewnością wkrótce znowu się o nie upomni.

Minął stawek, nad który nie wolno mu było w dzieciństwie chodzić samemu, i skierował się w stronę górerek morenowych

- dawniej dość dzikich, teraz zamienionych w park. Leśne ścieżki zastąpiły parkowe alejki. Choć, jak dawniej, bawiły się tu dzieci; wesole piski i poszczekiwania psów wyprowadzanych na spacer przez starszych panów, i młode pary z wózkami uspokoiły nieco jego wzburzone nerwy.

Dziewczyna w zielonej koszulce, siedząca samotnie przy stoliku, od razu rzuciła mu się w oczy. Czytała gazetę nad szklanką mrożonej kawy.

- Dzień dobry. - Podniosła oczy, gdy zbliżył się do stolika.

- Pani Ewa, prawda?

- Tak, to ja.

- Emil Żądło.

Miała bystre oczy za grubymi szklami okularów, zabawnie zadarty nos oraz bujne kasztanowe włosy, opadające na czoło i policzki. Nie była zbyt ładna, za to jej dość jeszcze dziecinna buzia promieniowała powagą i inteligencją. Budziła sympatię.

- Mam nadzieję, że to pana nazwisko, nie pseudonim?

- Dlaczego? - Usiadł naprzeciwko niej.

- Bo pseudonimy zwykle coś znaczą. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie użądli mnie pan?

- Nie mam takiego zamiaru. - Odwzajemnił uśmiech. Dziewczyna wyglądała sympatycznie.

Zamówił wodę mineralną.

- Mogę zapalić? - zapytał.

- Jasne, są tu popielniczki. - Wzruszyła ramionami. - Sama nie palę, ale to mi nie przeszkadza. Lubię nawet zapach dymu. Przejdźmy do rzeczy, nie mam za wiele czasu. Zakuwam. Mam we wrześniu egzamin.

- Studiowała pani razem z Dorotą?

- Nie. Ona była na ekonomii, a ja na pedagogice.

- Czyli zainteresowania miałyście różne?

- W pewnym sensie - odparła. - Dorota miała bardziej ścisły umysł. Za to ja od dawna marzyłam o pracy z dziećmi. Ale zainteresowania... Mogłyśmy przegadać całą noc! Więc chyba jednak coś nas łączyło. Dorota miała wiele pasji, czasem mnie nimi зараżała. Ostatnio jednak całkiem wsiąkła w gazetę, którą robił jej chłopak. Zresztą, wsiąkła w niego - dziewczyna zaśmiała się nerwowo. - Zakochała się do szaleństwa. Ale niech pan nie myśli, że była jakąś naiwną romantyczką. Nigdy nie traciła kontroli nad sobą. Planowała ślub, obronę dyplomu i pracę w redakcji, wierzyła w swoją misję, razem z chłopakami chciała zrobić z tej gazetki poczytne, profesjonalne pismo. Bo wie pan, tak naprawdę to była kompletna partyzantka. Raczej dokładali do tego interesu, niż na nim zarabiali, cała ich prywatna kasa z korków i innych dorywczych fuch szła do drukarni i na kolportaż, szaleństwo! A mimo wszystko zazdrościłam im, mieli cel. Tak, Dorota była bardzo pragmatyczna. Ale pan chciał o coś zapytać?

- Powiedziała pani: razem z chłopakami. Znała pani jej narzeczonego? I tego ich kolegę od gazety?

- Damiana bardzo dobrze. A Szymona widziałam ze dwa razy. Raz na imprezie u Doroty, a raz byłam z nią w redakcji. Redakcja to zresztą za dużo powiedziane. To prywatne mieszkanie Szymona, a Damian wynajmował u niego jeden pokój.

Mieszkali razem od studiów i tam mieści się także redakcja. Oczywiście, plany mieli bardzo poważne, to miało być tak tylko na początek.

Upiła łyk kawy i zapatrzyła się w okno. W czasie ich rozmowy spadł krótki, lecz ulewny deszcz, który właśnie osłabł, a zza chmur znowu przeświecało słońce. Ulica i chodniki parowały, ludzie z ulgą zamykali parasole. Znużone upałem powietrze na powrót stało się czyste i przejrzyste. Na twarzy dziewczyny malowała się zaduma. Emil zapalił kolejnego papierosa.

- A pani wierzyła, że im się uda?

- Jasne - odparła, odwracając wzrok od szyby. - Pomysł był super. A jeśli Dorota brała się za coś, to zawsze jej to wychodziło. Bez niej może i nie daliby sobie rady, ale Dorota miała głowę na karku, tysiące pomysłów i była cholernie uparta.

- Jakie na przykład miała pomysły?

- Nie znam się na tym. Ale wiem, że przede wszystkim chciała znaleźć stałych reklamodawców, a z czasem namówić do współpracy znanych dziennikarzy, profesjonalistów. Mówiłam panu, że była pragmatyczną osobą. Twierdziła, że gazeta to produkt, taki sam jak każdy inny. Do stworzenia dobrego produktu potrzebna jest marka. I forsa.

- No, może to nie takie proste - zaprotestował. - Markę trzeba sobie wyrobić. Ale forsa, owszem.

- Jak dziennikarz ma markę, to i gazeta ją ma, prawda? Pan przecież jest dziennikarzem, to pan to wie.

- No tak. - Uśmiechnął się. - Coś w tym jest. I znalazła tych sponsorów i dziennikarzy? Coś pani wie na ten temat?

- Nie, ale ostatnio byli w bardzo dobrych humorach. Dorota twierdziła, że mają coś, a raczej kogoś, na oku i jeśli to wypali, to będzie sukces.

- Ale nie mówiła, kogo ma na myśli?

- Nie chciała zapeszać. To miała być niespodzianka. Powiedziała, że o wszystkim opowie, jak interes wypali.

W jej oczach za szklami okularów zalśniły łzy.

- A teraz już nic im nie wypali... - powiedziała głuchym głosem. - To takie niesprawiedliwe!

- Właśnie dlatego męczę panią tymi pytaniami - odparł cicho. - Usiłuję coś z tego wszystkiego zrozumieć.

- Mama Doroty powiedziała, że pan znajdzie tego, kto to zrobił. - Spojrzała na niego z ciekawością. - Nie wiem, czy w to wierzyć. Pan przecież nie jest z policji. Choć podobno był pan kiedyś policjantem. Niech się pan przyzna, kim pan jest naprawdę? Dziennikarzem czy detektywem?

Emil zapalił papierosa.

- Trochę jednym, trochę drugim - powiedział. - Czasem to się ze sobą łączy. Teraz jestem bardziej detektywem. Choć moje śledztwo jest nieoficjalne.

- Pani Maria powiedziała, że bardziej wierzy panu niż policji.

- Być może pani Maria mnie przecenia. Ja wierzę policji. Choć nieraz dziennikarz ma więcej możliwości.

- Dlaczego?

- Ponieważ ma większą swobodę działania. Nie dysponuje taką techniką jak policjanci, ale ludzie chętniej rozmawiają z dziennikarzem. A co pani o tym sądzi?

- Ja? Miło się z panem gada. Mniej sztywno.

- No właśnie.

- Niech pan znajdzie tego bydlaka.

- Spróbuję. Nie wie pani, z kim Dorota z Damianem mieli spotkać się tego dnia, kiedy zginęli?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałam się wtedy z Dorotą od dwóch dni. Ale możliwe, że z tym sponsorem. Wiem, że zwykle załatwiali interesy na mieście. Wstydziła się, że nie mają prawdziwego biura. A tak, to wyglądało poważnie, biznesowo: spotkanie w jakiejś restauracji albo kawiarni.

- feśli nie trzeba fundować klientowi drinków - zauważył.

- E, teraz to każdy płaci za siebie - machnęła dłonią. - Takie zasady. Oczywiście, byli na to przygotowani. W razie czego brali na rachunek i szło w koszty. Ale jeśli już, to raczej klienci im stawiali. To z reguły dziani faceci, a tu tacy skromni, młodzi ludzie, studenci... Każdy wiedział, że ta gazeta dopiero raczkuje.

Emil podniósł się.

- Mimo zasad, pozwoli pani, że tym razem to ja zapłacę, dobrze? W ramach podziękowania za rozmowę.

- Jak pan woli. - Uśmiechnęła się. - Jest pan starej daty. Ale ja nie jestem bogata, więc się zgadzam.

Kawa mrożona to nie majątek - pomyślał Emil żałośnie.

- Jeszcze jedno - przypomniał sobie, gdy już zapłacił rachunek i oboje wstali od stolika, zmierzając ku wyjściu. - Jaki jest ten Szymon, wspólnik?

- Chyba pan go nie podejrzewa?!

- Nie, ale mam się z nim spotkać - wyjaśnił. - Chciałbym wiedzieć, czego mogę się spodziewać.

- To ofiara losu - odparła lekceważąco. - Prochu nie wymyśli. Wątpię, żeby zdołał sam pociągnąć tę gazetę. Taka dupa wołowa. Sorry... Ale pocziwina, tak mi się przynajmniej zdaje. Jest całkiem miły, naprawdę. No i z całą pewnością nikogo nie zabił. Pewnie by nawet nie potrafił tego zrobić.

- Dlaczego więc właśnie on był redaktorem naczelnym, skoro to taka dupa, jak pani twierdzi?

- To nieważne. Po prostu losowali. Jakieś nazwisko trzeba było wpisać. Poza tym on wygląda poważniej i włożył trochę więcej kasy, - więc Damian twierdził, że to mu się należało. Tak się podzielili, że Damian z Dorotą jeździli na spotkania, wywiady, robili zdjęcia, no i załatwiali wszystko z ludźmi, a Szymon robił za figuranta: finalizował umowy, pisał wstępniaki, ścisnął dłonie komu trzeba, te rzeczy. Nadaje się do tego, ma prezencję. Przydałam się panu na coś?

- Pewnie. - Emil spojrzął na zegarek, zastanawiając się, czy powinien zaproponować odprowadzenie jej do domu. Panował wciąż biały dzień, słońce stało jeszcze wysoko, a z tego, co wiedział, dziewczyna mieszkała gdzieś w pobliżu. Nie ma co przesadzać i poddawać się paranoi. - Przydadzą mi się wszystkie informacje. Dzięki, że poświęciła mi pani swój czas. Życzę powodzenia na egzaminie.

Ziemia zdążyła wyschnąć, po zbawiennym deszczu pozostało już tylko wspomnienie. Powietrze znów drżało od upału. Redakcja mieściła się w jednym z bloków na Zaspie. Pojechał tam tramwajem, rozmyślając o tym, czego się dzisiaj dowiedział. Bezpieczeństwo Ewy nie dawało mu jednak spokoju. Jeszcze w trakcie jazdy zadzwonił do niej, by upewnić się, że bez przeszkód dotarła do domu.

- Jasne, że tak! - zdziwiła się. - Czy pan trochę nie przesadza? Mieszkam parę kroków od Kasztelu. Wszystko jest okej!

- Może rzeczywiście jestem trochę przewrażliwiony - przyznał z ulgą. - Ale mam swoje powody.

Rozłączając się, stwierdził z goryczą, że pewnie zostanie mu to już na zawsze. Czuł się niczym jakiś przeklęty Anioł Śmierci.

Szymon Mader spojrzął najpierw przez judasza, po czym uchylił lekko drzwi.

- Pan Żądło? - zapytał ostrożnie.

Okazał się nerwowym chłopakiem w wieku Damiana. Był drobny, szczupły, ciemnowłosy i ruchliwy. Miał dużo osobistego uroku, jednak - dokładnie tak, jak wynikało z opinii Ewy - raczej nie grzeszył siłą charakteru.

- Widzi pan, pakuję się. - Ogarnął ręką bałagan panujący w pokoju. Wszędzie dookoła wałały się sterty papierów i części garderoby. - Nie mogę się w tym wszystkim połapać, a muszę pozłatwiać pewne sprawy, zaczęte przez Damiana. Zobowiązania, pan rozumie. Na dodatek jeszcze gliny tu weszły. Proszę mi wybaczyć ten bajzel. Nie wiem, jak sobie poradzę. Szlag by to trafił! Napije się pan czegoś?

- Nie trzeba, dziękuję. - Emil z przerażeniem pomyślał, że szykowanie czegokolwiek przez tego człowieka mogłoby przynieść nieprzewidywalne efekty, straty materialne i znaczne - aczkolwiek bezowocne - przedłużenie czasu wizyty. - Można tu zapalić?

- Tak, gdzieś musi być popielniczka.

Rozgarniając stopy gazet, znalazł w końcu brudną, niemytą zapewne od tygodni, metalową popielniczkę z pojemniczką na niedopałki. Pojemnik był naturalnie pełen petów. Przez chwilę Emil poczuł złośliwą satysfakcję: musiałaby to zobaczyć Emila! W porównaniu z tym lokalem kawalerka Emila stanowiła istny wzorzec ładu i porządku. Prędko jednak zrzędała mu mina, gdyż usłyszał w myślach wyraźny, dobitny i szyderczy komentarz swojej byłej żony: „Porównujesz się ze szczeniakiem?! No tak, to w twoim stylu... Stary, a głupi. Kiedy ty wreszcie dorośniesz, człowieku?!”

Tak, był przekonany, że usłyszałby właśnie coś w tym stylu.

Zapalił, obserwując gospodarza, nerwowo potykającego się o własne rzeczy, rozrzucone po pomieszczeniu. Odniosł wrażenie, że chłopak czegoś się boi. Pewnie wszystkiego.

Dość ciasne mieszkanie składało się z dwóch pokoi z kuchnią.

- Jeden pokój zajmował Damian, drugi ja - objaśnił Szymon. - Pokój Damiana został już przeszukany przez gliniarzy. Raczej niczego ciekawego nie znaleźli. Damian miał mało rzeczy osobistych. Większość trzymał wciąż w domu rodziców, gdzieś pod Malborkiem. Mój pokój służył nam także za pokój dzienny, bo jest większy.

- A redakcja?

- W kuchni - przyznał z zakłopotaniem. - Tam stoją komputery, skaner, drukarka i tam przechowujemy większość dokumentacji. My, wie pan, nie gotujemy. To znaczy... nie gotowaliśmy. Kuchnia nie była nam do niczego potrzebna. Jadaliśmy na mieście, a czajnik elektryczny i kubki trzymam zawsze w przedpokoju.

- Trudne początki?

- Właśnie... - wzruszył ramionami. - A teraz to już w ogóle nie wiadomo, jak będzie. Zdaje się, że zanim się na dobre zaczęło, to już się skończyło. Sam nie dam rady. To Damian był motorem tego pomysłu. Ale pan chciałby współpracować, tak? - Spojrzał na Emila z nadzieją. - Trudno w to uwierzyć, pan przecież jest znanym dziennikarzem. Znał pan Damiana?

- Bardziej Dorotę - odparł. - Ale poznałem także Damiana. Owszem, rozmawialiśmy o współpracy. Ale raczej dorywczej. Zaproponowałem mu swój reportaż, miał się z nim zapoznać.

- Ale nic mi nie mówił o reportażu - spłoszył się Szymon. - Nie ma go tu chyba?

- Raczej nie. - Emil uśmiechnął się krzywo. - Zdaje się, że zaginął. Na miejscu zbrodni. To dziwna historia.

- O rany - jęknął młody człowiek. - To koszmar, ta cała sprawa! A o czym był ten reportaż?

- O żeglarstwie.

- Bardzo chętnie współpracowałbym z panem. Tylko sam pan widzi, jestem w kompletnym dołku. Wszystko mi się wali. Nie wiem, co dalej robić. Mam zamiar zawiesić pismo, przynajmniej na razie. Może kiedyś do tego wrócę, jeśli znajdę kogoś, kto pociągnąłby to ze mną. Na razie muszę pozatławić sprawy i odsapnąć.

Emil przyjrzał mu się ze współczuciem. Biedny chłopak. Przydałoby mu się więcej charakteru. Charakteru chociażby takiej Ewy.

- Zna pan Ewę, przyjaciółkę Doroty? - zapytał z namysłem.

Chłopak zaczerwienił się lekko.

- Ewę? Widzieliśmy się parę razy. Fajna dziewczyna.

- Fajna i ma głowę na karku. I już się trochę orientuje w waszych sprawach. Na pana miejscu wciągnąłbym ją do współpracy.

Szymon spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Nie zechce! - zaoponował. - Ona kończy psychologię albo pedagogikę, nie rozróżniam tego. Na co jej gazeta?

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. W szkolnictwie się dużo nie zarabia. Mogłaby pisać artykuły, tematy szkolne są zawsze na czasie, tyle się teraz dzieje, choćby w takich gimnazjach. I pomogłaby panu w prowadzeniu gazety. Niech pan spróbuje. Szkoda rezygnować z dobrych pomysłów. A ta gazetka to dobry pomysł.

Uśmiechnął się porozumiewawczo. Miał nadzieję, że dał chłopakowi do myślenia.

- Nie wie pan przypadkiem, z kim byli umówieni Damian z Dorotą tamtego wieczoru? - zapytał obojętnie. - Podobno znaleźli jakiegoś supersponsora?

- Tak, z klientem - przytaknął Szymon Mader. - A raczej z reklamodawcą. Ale nie mam pojęcia, kto to miał być. To nie była moja działka. Jakiś biznesmen w każdym razie. Złapali faceta na haczyk jakiś tydzień temu, jak robili sondę uliczną. Dali mu egzemplarz gazety, zagadali i połasił się. Wiem tylko, że umówili się na spotkanie. Byli bardzo podekscytowani, bo gość chciał podobno wykupić całą okładkę i środki. I to nie tylko jednorazowo. Taki fart mógłby uratować naszą gazetkę, zapewnić środki na dalszą działalność. No, ale szlag wszystko trafił.

- Nie wie pan nawet, z jakiej branży był ten biznesmen?

- Niestety. - Znów wzruszył ramionami. - Mieliśmy o tym pogadać później, jak już doszłoby do konkretów. Gliny też mnie o to pytały.

- Ale nie mógł to być ktoś z dotychczasowych reklamodawców?

- Nie, raczej nie. Na pewno nie. Wyraźnie mówili, że złapali go prosto - z ulicy, nic znał przedtem naszej gazety. Chyba że coś źle zrozumiałem. - Chłopak spojrzął na Emila niepewnie.

- A może został tu jakiś terminarz Damiana, notes, kalendarzyk?

- Po co to panu? Pisze pan o tym artykuł?

- Po prostu jestem ciekawy. - Emil zapalił kolejnego papierosa, rozsiadł się wygodniej w zdezelowanym fotelu i powoli wydmuchał dym prosto w sufit. Postanowił zdobyć się na minimum szczerości. - Cholera mnie bierze, bo czuję się bezsilny, a nie znoszę tego uczucia. Lubilem Dorotę. Znałem ją od dziecka. Ktoś przecież załatwił ich akurat tamtej nocy, czyli... nie ma innej opcji! Ten tajemniczy sponsor może okazać się albo mordercą, albo ostatnim świadkiem. Na nim ślad się urywa. Cholera jasna, nawet tego nie wiemy - spotkali się z tym gościem czy nie?

Szymon zastanowił się.

- Wszystkie takie rzeczy jak choćby kalendarzyki zabrała policja. Ale możemy pójść do pokoju Damiana, sam pan zobaczy.

Sypialnia Damiana była pusta i bezosobowa. Rzeczywiście, nie trzymał tu wielu rzeczy. Trochę książek - głównie sensacyjnych - i ubrań, a także model samolotu na szafie. Lampka nocna, odtwarzacz kompaktowy. Kilka płyt z muzyką poważną i jazzem na półce z książkami. Czuło się, że duch lokatora opuścił to miejsce. Nie było tu śladu życia. Ani śladu osobistych czy służbowych zapisków.

- Mówiłem, że wszystko zabrali - powiedział Szymon, zamykając drzwi. - Jakoś ciarki mnie przechodzą, gdy tu zaglądam. Ten wyjazd dobrze mi robi. Muszę dojść do siebie po tym wszystkim, bo inaczej nie będę mógł mieszkać spokojnie we własnym mieszkaniu.

- Pójdę już. - Emil wyciągnął rękę na pożegnanie. - Gdyby pan coś znalazł albo gdyby pan sobie coś przypomniał, niech pan do mnie przekreśli. Ma pan mój numer w komórce, ale mogę go panu jeszcze raz podyktować.

- Nie trzeba. Pomyślę o tym, co mi pan poradził. O Ewce.

- Świetnie. - Uśmiechnął się już w drzwiach. - Do widzenia. Aha, jeszcze jedno. Dorota pożyczyła mi trochę forsy. Trzy stówy. Zabrakło mi gotówki na taksówkę. Jeśli to była firmowa kasa, chętnie ją panu zwrócę.



- Nieważne. - Chłopak zaczerwienił się. - Jeśli nawet, niech pan to potraktuje jako rekompensatę za stratę swojego tekstu.

- W takim razie potraktuję to jako zaliczkę - odparł Emil. - Mam nadzieję, że jednak nie zrezygnuje pan z gazety.

- To znaczy, że w razie czego mogę na pana liczyć?! - zawołał za nim Szymon, gdy Emil zbiegał już po schodach. - Napisałby pan coś dla mnie od czasu do czasu?!

- Nie ma sprawy! - odkrzyknął. - Będziemy w kontakcie!

Wracał do domu pieszo, skosem, klucząc uliczkami najpierw Zasy, potem Przymorza. Oba te osiedla sąsiadują ze sobą, przechodząc jedno w drugie. Spacer bardzo mu się przydał. W głowie miał zamęt, a jednak czuł się jakoś lepiej niż jeszcze tego samego dnia rano. Nie był już bierny, działał. Aktywność była jego naturalnym żywiołem. Wszedł na ścieżkę, którą będzie podążał do celu. Wiedział, że skoro już to zrobił, żadna sita go z niej nie ściągnie. Może błądzić, lecz nie zawrócić. Był jak zaprogramowana elektroniczna mysz w labiryncie. O ile jej nie wyłączą, będzie brnęła naprzód.

Automatyczna sekretarka powitała go wiadomością od Emili. Czeka na pieniądze do końca tygodnia i ani dnia dłużej. Do końca tygodnia zostały trzy dni, łącznie z niedzielą.

## ROZDZIAŁ 4

Rozsmarowując dżem na grzance, Emil myślał o ostatnich zdarzeniach. Na kartce spisał wszystkie informacje, jakie uzyskał poprzedniego dnia, oraz - na wszelki wypadek - firmy, które zamieszczały swoje reklamy w gazetce „Rozgwiezda”. Zastanawiał się, na ile morderstwo mogło mieć związek z gazetą. Nie widział w tym żadnego sensu. Początkujące, biedne piśmko, młodzi dziennikarze. Nie zauważył, by „Rozgwiezda” poruszała jakieś tematy związane z polityką czy biznesem. Komu mogli przeszkadzać?! Doszedł do wniosku, że prędzej w grę mogą wchodzić jakieś osobiste porachunki. Może zdrada? Może morderca był dawnym kochankiem Doroty? Nic na to nie wskazywało, lecz ludzie przecież miewają tajemnice. Facet mógł zobaczyć ją z innym mężczyzną, doszło do burzliwej wymiany zdań i... I co? Z premedytacją podał im obojgu narkotyki, wywiózł, wyprowadził do lasu, udusił, rozebrał, związał razem jak martwe kurczaki na sprzedaż i poprzypalał zwłoki w ataku romantycznej zemsty? Na co by mu była taka inscenizacja? Zazdrosny kochanek strzela w furii albo wali po głowie. No, chyba że to kompletny świr.

Przelykając resztki kawy, wykręcił numer komórki Ewy. Odebrała po pierwszym sygnale.

- O, to znowu pan!

- Mam jedno pytanie. - Nie wiedział, jak je sformułować.

- Bardzo ważne. Czy Dorota przed Damianem... miała kogoś?

- Znaczy, faceta? - zaśmiała się. - Jasne, już w przedszkolu miała powodzenie! Ale tak na serio? W ogólniaku miała chłopaka, a właściwie nawet dwóch. Pierwszy był z naszej klasy

- kompletny niewypał, szybko ze sobą zerwali. Potem taki jeden z matfizu puścił ją kantem dla głupiej laski, którą poznał na dyskotecce. Na studiach przed Damianem na pewno nie miała nikogo. Z początku nie w głowie nam było życie towarzyskie, trzeba było zakuwać, żeby nie odpaść po pierwszej sesji. A w wakacje po pierwszym roku, na jakiejś imprezie, poznała Damiana i wpadła po uszy.

- Tyle lat chodzili ze sobą?

- Najpierw raczej się przyjaźnili - odparła. - Damian był wtedy chyba już na czwartym albo piątym roku filologii, stary wyjadacz! Dorota zadurzyła się z miejsca, ale musiała trochę o niego powalczyć.

- I w międzyczasie z nikim nie była?

- Skąd! - oburzyła się. - Niby z kim? W głowie miała tylko jego jednego. A co? Podejrzewa pan zabójstwo w afekcie? Bzdura! Może pan to sobie wybić z głowy. Dorota nie miała żadnych sekretnych romansów. To była naprawdę twardo stąpająca po ziemi dziewczyna. Z Damianem chodziła parę lat i świata poza sobą nie widzieli!. A wie pan? Dziś rano zadzwonił do mnie ten Szymon. Ten od gazety. Pytał, czy nie zechciałabym mu pomóc w prowadzeniu pisma, o ile zdecydowałby się dalej to ciągnąć. Teraz wyjeżdża, ale mamy się w tej sprawie spotkać po jego powrocie.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się. - To chyba całkiem dobry pomysł. Może powinna się pani poważnie nad tym zastanowić?

- Może to zrobię - odparła z wahaniem. - Dla Doroty.

- Powodzenia.

- A pan niech łapie tego mordercę!

- Do zobaczenia. - Zapalił drugiego tego dnia papierosa.

- Cześć...

Wyplukał kubek po kawie i ponownie sięgnął po komórkę.

- Marek? Muszę z tobą pogadać.

- Masz coś dla nas? - ożywił się Zebra.

- Nic konkretnego - odparł. - Mam propozycję.

- Wiem, o co ci chodzi! - rzucił podkomisarz tryumfalnie. - Nic z tego. Lepiej daj sobie spokój!

- Stary, uspokój się. Chcę się tylko spotkać i porozmawiać.

- Dobra. - W głosie Zebry nie było entuzjazmu. - Ale nieoficjalnie, u mnie w domu. Wieczorem.

Zebra był starym kawalerem. Twierdził zawsze, że to z powodu pracy, lecz Żądło dobrze wiedział, że Zebra po prostu obawiał się związków. Był parę lat starszy od Emila i nigdy tak naprawdę nie miał stałej partnerki. Rzeczywiście, pochłonięty był pracą, a przygody z kobietami - o ile rzeczywiście je miał - zajmowały niewiele miejsca w jego życiu. Dzięki temu mieszkanie na Starówce było idealnym miejscem na wieczorne spotkanie przy piwku. Obszerne, surowe, niemal puste, bez żony i dzieciaków śpiących za ścianą. U Emila ten kłopot wprawdzie także odpadał, lecz jego kawalerka posiadała ściany jak z dykty, zza których słychać było każde chrapnięcie sąsiada.

Zebra postawił na blacie stołu zgrzewkę piwa, a na talerz wysypał paczkę krakersów.

- Nie spodziewałeś się chyba wystawnej kolacji? - zagadnął ironicznie.

- Znam twoje możliwości - odparł Emil z równym sarkazmem, rozlewając piwo do

szklanek. - Krakery to ich szczyt.

- Dobra, wal, z czym przychodzisz. - Zebra z ulgą opadł na krzesło. - Miałem dziś trochę latania, marzę o zimnym piwie. Ten cholerny upał... Chodzi ci o tę sprawę, co? Korci cię? Koniecznie chcesz się wmieszać?

- Jestem wmieszany - stwierdził Emil, wruszając ramionami. - Z woli zabójcy, nie z własnej. Dziwisz się, że nie jest mi to obojętne? Jestem dziennikarzem. Dobrym dziennikarzem, wiesz o tym. Mogę ci się przydać.

- Jesteś dziennikarzem bez pracy - zripostował Zebra. - Złapałeś temat. Chcesz na tym zarobić?

- Może też, przy okazji, ale wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi - odparł Emil spokojnie. - Ten bydlak jakby wyzwał mnie na pojedynek. Nie usiedzę spokojnie. Szlag by mnie trafił. Poza tym, zobowiązała mnie do tego matka Doroty.

- Matka Doroty... Maria Braniecka, tak? Piękna kobieta. - Tak.

- Cóż. - Marek napił się piwa. - I tak cię nie powstrzymam.

- O to właśnie chodzi. Skoro mnie nie powstrzymasz, to lepiej będzie, jeśli zaczniemy współpracować. Przydam się wam.

- Niby na co?

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że ludzie chętniej gadają z dziennikarzem niż z gliną? - odparł Emil, zapalając papierosa. - Nie boją się konsekwencji, mogą pozostać anonimowi, a przy okazji czują się ważni. Przed reporterem otwierają się inne drzwi niż przed policją. Dziennikarz to nie władza, tylko taki sam człowiek jak oni. Mam o wiele szersze pole do działania. Ja pomogę tobie, ty mnie.

- Chcesz informacji, tak?

- Tylko tyle, ile możesz mi dać. Doskonale wiesz, że możesz mi zaufać. Nie napiszę niczego bez twojej zgody i zachowam dla siebie to, co każesz. Pomijając wszystko inne, zależy mi na dobru śledztwa. Znałem przecież Dorotę. Kiedy była dzieckiem, traktowałem ją jak młodszą siostrę.

- Wierzę ci - mruknął Zebra, zapalając fajkę. - Ale to nie zabawa. W grę wchodzi brutalne morderstwo, zabójca to niebezpieczny typ. Jesteś w gorącej wodzie kąpany, a ja nie chcę cię mieć na sumieniu.

- Nie żartuj sobie - obruszył się Emil. - Byłem gliną. To tak jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina! Miło z twojej strony, że tak się o mnie troszczysz, ale naprawdę nie musisz. Nie jestem idiotą.

- Tego nie twierdę.

- Nadal jestem podejrzany?

- A właśnie... - Zebra uśmiechnął się od ucha do ucha

- już nie jesteś. Masz szczęście, ktoś cię widział, jak wracałeś mniej więcej dwadzieścia po dziesiątej do domu, zataczając się i pogwizdując. Czasem dobrze jest mieć wścibskich sąsiadów. Dostarczyli ci alibi. Morderstwa dokonano przed jedenastą w nocy. Nie zdążyłbyś dojechać na miejsce zbrodni, zwłaszcza bez samochodu, a twój gruchot stoi od wielu dni nieużywany na parkingu, sprawdziliśmy.

- Naprawdę mnie podejrzewaliście? A motyw?

- Praca, zazdrość... Może podkochiwałeś się w tej panience, cholera cię wie! - zaśmiał się Marek. - Daj spokój, wiesz dobrze, że to tylko procedura! Musieliśmy wszystko sprawdzić, wyeliminowaliśmy cię i kropka. Teraz mamy na tapecie biznesmenów.

- Słusznie - przytaknął Emil.

- Skoro już mamy współpracować... - zawahał się Zebra.

- Powiem ci coś, ale nie wolno ci nawet pisać na ten temat. To na razie tylko hipoteza. Ale jak masz szukać, to przynajmniej szukaj z sensem. Miesiąc temu, pewnie pamiętasz, w lesie w okolicach Kartuz znaleziono zwłoki dziewczyny. Podejrzewamy związek między tymi zabójstwami. Sam popatrz.

Zebra wyjął z szuflady plik zdjęć i rzucił je na stół. Fotografie pochodziły z obu miejsc zbrodni i pokazywały ofiary w chwili ich znalezienia. Emil z poszarzałą twarzą oglądał makabryczne obrazy. Zarówno zwłoki tamtej dziewczyny, jak i Doroty oraz Damiana były całkowicie obnażone i upozowane w przerażający, groteskowy sposób. Martwe, wybałuszone oczy spoglądały jakby w niemym krzyku. Obie dziewczyny miały długie, rozpuszczone włosy. Emil pamiętał, że Dorota nosiła je tamtego wieczoru zaplecione w warkocze. Teraz zwisały luźno wokół twarzy. Tamta dziewczyna wisiała głową w dół, przywiązana do drzewa i miała poderżnięte gardło. Rozsypane, rudawe loki zamiatały połacie mchu, zwiędłych liści i igliwia. Ciało Doroty i Damiana leżały na ziemi na nieco spadzistym gruncie i były ciasno związane ze sobą - przylegały do siebie; pośladki mężczyzny na piersiach kobiety, jej głowa skierowana ku dołowi, jego natomiast - ku górze. Kończyny zostały ułożone w ten sposób, by osiągnąć efekt lubieżnie splecionych i groteskowo powyginanych. Widać było, że mordercy chodziło o jak największe upodlenie swoich ofiar.

- Mam nadzieję, że matka Doroty nie oglądała jej w tym stanie? - zapytał Emil przez ściśnięte gardło. - Ani nie widziała tych zdjęć?

- Nie. - Obruszył się Marek. - Ty wciąż uważasz nas za jakieś bezduszne potwory?! Osobiście akurat też mam nadzieję, że ta kobieta nigdy się nie dowie, w jakim stanie

znaleziono ciało jej córki. Wiele akurat zależy tu od prasy.

Emil pokiwał głową i wstał. Podeszedł do okna i podciągnął roletę, wpuszczając do pokoju trochę świeżego powietrza. Spojrzał na ulicę. Jak zwykle uderzył go widok z okna: wąska, brukowana uliczka i te kamieniczki w świetle latarni niczym domki z piernika, niemal na wyciągnięcie ręki. Żadnych parkingów, żadnych samochodów. Jak dekoracja teatralna - pomyślał. Nawykły do widoków z własnego okna - wielkich przestrzeni, monumentalnych, szarych i brzydkich brył potężnego blokowiska - czuł się tu prawie nierealnie, jak przypadkowy widz w przedstawieniu operowym. Tyle że dzisiejszy spektakl jest szczególnie, dodał w myśli z goryczą.

- To musiał zrobić wariat - wyrzucił to z siebie z wściekłością. - Masz rację, wygląda na robotę tego samego psychologa. Ale wydawało mi się, że tamto morderstwo miało tło seksualne?

- Tak podejrzewaliśmy. - Marek schował fotografie z powrotem do szuflady. - Ale śladów gwałtu nie było, podobnie jak w przypadku twoich znajomych. Sposób popełnienia zbrodni także jest inny, tu uduszenie, tam... sam widziałeś.

- Może facet ma fantazję - mruknął Emil przez zęby. - Może...

- Co wiecie o tamtej ofierze?

- Kelnerka w barze. Po pracy, późnym wieczorem, była z kimś umówiona. Koleżankom zwierzyła się tylko, że to miły, nadziany facet. Zapewne jakiś klient z tej knajpy, ale dziewczyny nikogo nie kojarzyły. Przypuszczalnie dobrowolnie wsiadła z tym kimś do samochodu. Wozu nikt nie widział, nawet nie mamy śladów opon, bo tej nocy lało jak z cebra, ciało zresztą znaleziono dopiero po kilku dniach. Nafaszerował ją narkotykiem, wywiózł do lasu. Prawdopodobnie próbowała uciekać, bo została postrzelona w nogę z dość dużej odległości. Zakończenie znasz.

Emil zastanowił się. Coś krążyło mu po głowie i nie dawało spokoju.

- Coś mi te zdjęcia przypominają.

- Na litość boską, co takiego?

- Nie wiem. - Pokręcił głową. - Coś mi świta, ale... Muszę pomyśleć. Te” dziwnie upozowane ciała. Z czymś mi się to kojarzy. Jakby z tarota? Nie, to też nie to... Nie wiem, cholera ciężka, jakieś obrazy jakby migają mi w pamięci, ale zaraz uciekają. Pozwolisz mi skopiować kilka tych zdjęć?

- Prześlę ci je mailem. Jak coś skojarzysz, daj znać - poprosił podkomisarz. - Szukamy czegokolwiek, co da nam punkt wyjścia w śledztwie. Czegoś trzeba się złapać. Bo w tej chwili wygląda to na jakiś totalny absurd.

- Wygląda na to, że mamy seryjnego zabójcę?

- Oficjalnie tego nie potwierdzam.

- Jasne - odparł Emil. - Pójdę już, za piętnaście minut mam ostatni tramwaj. Zadzwoń, jeśli tylko przyjdzie mi coś sensownego do głowy.

Tej samej nocy pewien mężczyzna jechał samochodem, nabierając coraz większej szybkości. Wyjechał godzinę później niż zamierzał, bo najpierw musiał jeszcze coś załatwić na poczcie, a tam - jak na złość - była kolejka. Parszywy kraj. Wszystko musieli zepsuć. Włączył radio, z głośników popłynęła relaksująca muzyka. Czuł się odprężony i spokojny. Wszystko było na najlepszej drodze. Misja przebiegała bez zakłóceń. Głosy powiedziały mu wyraźnie, że są z niego zadowolone. Słyszał je od lat, od wielu lat... Właściwie od dziecka. Wstydił się, że dopiero teraz mógł przystąpić do realizacji. Przedtem warunki mu nie sprzyjały. Ale czas nadszedł. Czas Sądu. Nic go już nie powstrzyma.

Zachichotał, przypominając sobie swoje ostatnie dzieło. Tak, to było zabawne. Wszystko było: ciemność, cierpienie i ogień. Chciwa, bezwstydną para gówniarzy. Rozpustnicy i naciągacze. Jacy byli zdziwieni, gdy zamiast w ekskluzywnej restauracji znaleźli się w lesie. Najpierw uraczył ich specjalnym koktajlem ze swojego samochodowego barku - zrobiło to na szczeniakach ogromne wrażenie. Było też co zapalić. He, he!

Ocknęli się dopiero wtedy, gdy dosięgła ich ręka sprawiedliwości. Z gówniarzem poszło mu łatwo, tak łatwo, że prawie pozbawiło go to przyjemności. Czuł lekki niedosyt. Chłopak poszedł do piekła zbyt szybko, zanim jeszcze dotarło do niego cokolwiek z tego, co się z nim działo. Ale dziewczucha dostarczyła mu prawdziwych emocji. Walczyła jak tygrysica! Zmuszony był w końcu użyć paralizatora. Ale i tak zdążyła wcześniej napluć mu w twarz i nieomal przegryzła skórzaną rękawicę. Musi je teraz wymienić na nową parę. Prawdziwa czarownica! Nie spuszczała zeń beczelnego wzroku, gdy wyduszał z niej ostatnie tchnienie. Od razu się na niej poznał, gdy tylko ujrzał ją po raz pierwszy. Te prowokująco długie, rudawe włosy. One wszystkie mają takie włosy. Czeluście piekielne pełne są takich kobiet.

Sprawiedliwości stanie się zadość. Za to piekło, które uczynili mu na ziemi, kara ich nie ominie. A będzie okrutna. Tak okrutna, jak tylko można sobie wyobrazić. Gorsza od samego piekła...

Nastawił radio jeszcze odrobinę głośniej. Szosa umykała prędko w ciemnościach nocy w rytm dźwięków łagodnej, rozkołysanej, instrumentalnej muzyki, która działała na niego w tak kojący sposób jak cudowne wizje, które tworzyła wyobraźnia.

## ROZDZIAŁ 5

Emilowi śniły się skłębione, nagie ciała, wijące się w agonalnych skurczach. Otwarte w bezgłośnym krzyku usta, przerażone oczy. Obudził się zlany potem.

Nie przypuszczałyby, że zdjęcia z miejsca zbrodni zrobią na nim aż takie wrażenie. Ale w tym przypadku chodziło o osoby znajome, a to zawsze zmienia postać rzeczy. No i sposób popełnienia zbrodni. Nie chodziło o to, że nigdy nie widział okrutniej zdeformowanych zwłok. Widział już w życiu niejedno. Ale przerażyły go wyrafinowanie i cynizm, jakimi musiał kierować się morderca.

Spakował do plecaka notes, dyktafon oraz aparat fotograficzny i wybrał się kolejką do Gdańska. Nie miał sprecyzowanych planów. Liczył, że natchnie go ulica. Ludzie zawsze gadają, plotkują - sensacja jest pożywką dla tłumu. Temat podwójnego zabójstwa roztrząsały wszystkie media. Domieszka strachu tak bardzo uatrakcyjnia urlop. Bliskość śmierci - cudzej śmierci - sprawia, że zaczynamy żyć mocniej.

W mieście nie wyczuł paniki, jednak mnóstwo ludzi rozmawiało o morderstwie. Snując się wśród podekscytowanych turystów oraz mieszkańców Trójmiasta, przeprowadził kilka rozmów z przypadkowymi ludźmi, nagrywając je na dyktafon. Snuli własne domysły, hipotezy, wśród których najczęściej powtarzał się motyw zdrady i zemsty. Niektórzy doszukiwali się tła seksualnego, a mordercę uważali za erotomana, szaleńca lub zбочeńca.

- Co za czasy, panie! - Starszy turysta machnął ręką. - Tylko przemoc, agresja, chuligaństwo. To wszystko dlatego, że stryczka nie ma dla zwyrodnialców! A ta policja nieudolna, już o sądach nie wspominając. Hulaj dusza dla różnych zbrodniarzy! A zбочeń teraz tyle, panie! I te narkotyki. Ci biedacy też podobno mieli narkotyk we krwi. Tak to młodzież sama na siebie bicz kręci, i albo sami zabijają, albo są zabijani. Po mojemu wszystko to przez te narkotyki i nieobyczajność! Jak kto z tym porządku nie zrobi, to doczekamy szybko końca świata...

Emil otarł pot z czoła zmiętą chusteczką i przysiadł na murku przy zejściu do przejścia podziemnego naprzeciwko dworca. Zapalił papierosa, lecz zgasił go już po chwili. Od nadmiaru słonecznego żaru go zemdlilo. Nigdy nie lubił palić na słońcu. A cienia nigdzie nie mógł znaleźć.

Nagle, błądząc dookoła roztargnionym spojrzeniem, ujrzał coś nad wejściem dworca kolejowego. Monumentalna reprodukcja Sądu Ostatecznego Hansa Memlinga - największego



muzealnego skarbu Gdańska - w szerokim łukowym oknie fasady budynku. Niektórych w tym miejscu drażniła, obrażając ponoć ich uczucia religijne. Inni być może wyłącznie dzięki temu pomysłowi poznali słynny tryptyk.

Emil do tej pory niespecjalnie się nad tym zastanawiał. Jakiś czas temu zainteresował się tylko przelotnie, czy średniowieczny obraz pasuje stylistycznie do secesyjnej architektury zabytkowego dworca - lecz emocjonalnego stosunku do samego faktu umieszczenia go w tym miejscu nie miał żadnego. Problematyka była mu raczej obojętna. Teraz jednak widok uderzył go jak obuchem w łeb. Doznał niemal olśnienia. To te sceny śniły mu się dzisiejszej nocy! Przypomnił sobie układ ciał z policyjnych fotografii. Tak! To jest to! Groteskowe upozowanie zwłok przypominało mu wizerunki ofiar piekielnych z tego właśnie obrazu! Znał go przecież od dziecka, widywał na zdjęciach w albumach o Gdańsku i zapewne na szkolnych wycieczkach, choć tego nie pamiętał. Nigdy specjalnie nie interesował się sztuką. Chłonał piękno zabytków raczej instynktownie, nie zastanawiając się nad ideą. Ten obraz znał jak własną duszę, wychował się obok niego, malowidło utrwaliło się w jego pamięci automatycznie, bez udziału woli i świadomości.

Wyjął aparat fotograficzny i pstryknął kilka zdjęć z teleobiektywem.

Następnie zerwał się z murku, adrenalina wrzała w jego żyłach. Może to tylko przypadek - usiłował gasić nadmiar entuzjazmu. A jednak czuł, że się nie myli. Coś w tym jest. Prześladowało go to od wczoraj, odkąd obejrzał zdjęcia zwłok. Zwęszył trop, był o tym coraz silniej przekonany.

Przejściem podziemnym przeszedł na drugą stronę, jeszcze raz przyjrzał się obrazowi z bliska, by upewnić się w swoich skojarzeniach. Kupił w McDonalddie colę oraz hamburgera i zjadł go na zewnątrz, siedząc na kawałku wolnej ławki. Chciał uporządkować wzburzone emocje. Następnie sięgnął po telefon komórkowy i wystukał numer Zebry.

- Mam coś - poinformował go głosem drżącym z podniecenia. - Musimy się spotkać, zaraz! Te morderstwa mają coś wspólnego ze sztuką!

- Co? - Marek nie usiłował nawet kryć powątpiewania. - Co ty gadasz? Z jaką sztuką?

- Z dziełami sztuki, z zabytkami, rozumiesz?! - zdenerwował się Emil. - Spotkajmy się gdzieś, a wszystko ci opowiem.

- Teraz, zaraz? Gdzie jesteś?

- W Gdańsku, przy dworcu - odparł. - Czy możesz wyskoczyć na miasto?

Przez moment w słuchawce panowała cisza.

- Okej, słyszę w twoim głosie, że to musi być coś wyjątkowego - westchnął Zebra. - Mogę wyjść za jakąś godzinę. Ja zresztą też mam coś dla ciebie. Gdzie się spotkamy?

- Nie wiem, może gdzieś w knajpie? - odparł Emil z roztargnieniem. - I weź ze sobą kilka zdjęć, wiesz których...

- Dobra, to może czekaj na mnie U Literatów na Mariackiej - zaproponował Zebra. - Za godzinę.

Emil pomyślał, że powinien raczej spotkać się z Zebrą tutaj, przed dworcem. Nie uwierzy, jeśli nie zobaczy tego na własne oczy. Przypomniał sobie, że ma w plecaku aparat cyfrowy. Szybko pstryknął kilka zdjęć obrazu, ogóle ujęcie i zbliżenia z zoomem. Jakość nie będzie najlepsza, ale zawsze coś widać. To na początek. Później trzeba będzie znaleźć jakieś dobre reprodukcje.

Przechodząc obok Bazyliki Mariackiej, przypomniał sobie niejasno, że to miejsce ma chyba coś wspólnego z obrazem Memlinga. W kiosku obok zobaczył na wystawie broszurkę na temat tryptyku. A więc się nie pomylił. Prawdopodobnie obraz właśnie tutaj wisi.

Na pierwszej stronie cienkiej ulotki widniała reprodukcja tryptyku, w środku, na rozkładówce ujrzał nawet kilka zbliżeń. Ciarki przeszły go na widok związanej ze sobą pary kochanków, porywanych właśnie w czeluści piekielne przez złowieszczą, czarną postać. Diabeł... Morderca... Oto dowód dla Zebry. To przecież nie może być przypadek. Przeczucie go nie zawiodło. Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie wpadłby samodzielnie na tak szatański pomysł. Nikt z wyjątkiem genialnego twórcy, któremu epoka zezwalała na nieskrępowane ucieleśnienie najgorszych, najbardziej przerażających i mrocznych wizji, czerpanych z zakamarków własnej podświadomości.

Emil zmierzył wzrokiem potężną, pogrążoną w wiecznym cieniu bryłę kościoła. Nagle, mimo panującego upału, ogarnął go chłód. Wyczuł pokrewieństwo duchowe tych surowych, grubych murów - tak wyraźnie dominujących nad istotą ludzką

- z chorą wyobraźnią uwiecznioną na malowidle. Miał wrażenie, że gdy wejdzie do środka, coś wciągnie go na wieki w te posępne głębiny, pełne ognia i strachu i już nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię. Jednak szybko się zreflektował. Co za bzdury! Nie wiedział, dlaczego potężny budynek skojarzył mu się z mrokami piekieł, zamiast z urokami raj, jak nakazywałaby logika. Może to tylko straszne skojarzenia na skutek ostatnich przeżyć, gra wyobraźni. A może średniowieczna filozofia miała na celu wywołanie takiego właśnie uczucia lęku potencjalnych grzeszników, wstępujących w kościelne mury. Memento mori. Pamiętaj, że jesteś tylko nędznym śmiertelnikiem. Widocznie przekaz sprzed stuleci dotarł do niego nawet teraz.

Czas. Zerknął na zegarek. Nie ma sensu wchodzić teraz do środka. Na to potrzebował skupienia, a tymczasem zbliżała się już pora spotkania z Zebrą. Później. Jeszcze zdąży.

Wkraczając w ulicę - a raczej uliczkę - Mariacką, jak zwykle poddał się jej urokowi. Teraz jednak było tu zbyt dużo ludzi, by podziwiać eleganckie przedproża oraz fasady kamienic, należących niegdyś do zamożnych kupców i gdańskich złotników. A także by napawać się urodą oryginalnych bursztynowych wyrobów, wystawianych tu, w zgodzie z tradycją, także przez współczesnych jubilerów. Skręcił w lewo, kierując się do dawnej kawiarni Literacka, którą pamiętał doskonale, jeszcze z czasów licealnego wagarowania. Wnętrze zostało to samo, jednak wystrój nieco się zmienił. Dawniej przypominał raczej salonik artystyczny, obecnie nadano mu bardziej surowy klimat, przystający do starej piwnicy, w której mieściła się salka kawiarni. Zszedł po stromych schodkach. Było tu dość pusto

- tylko przy jednym stoliku w rogu jakaś para jadła lody z kryształowych pucharków - i panował miły chłodek. Zebra jeszcze nie przyszedł. Emil zajął miejsce naprzeciwko schodów, zamówił kawę i zapalił papierosa. Zatopiony w broszurze, nawet nie zauważył, kiedy podkomisarz pojawił się przy stoliku.

- Długo czekasz? - usłyszał nagle nad swoją głową.

- Cześć - powiedział, czekając, aż Zebra zajmie miejsce naprzeciwko. - Chyba niezbyt długo. Zamów coś szybko i przejdźmy do rzeczy.

- Już zamówiłem na górze, zaraz przyniosą. Co takiego odkryłeś? - zapytał policjant ciekawie. - I co tam tak pilnie studiujesz?

Emil pospiesznie złożył broszurę, odwracając ją. Po chwili zjawiała się kelnerka z filiżanką kawy i kawałkiem ciasta na tacy. Emil zaczekał, aż ustawi naczynia na stole i wróci na górę.

- Co zamówiłeś? - zapytał łakomie.

- Tiramisu - odparł pogodnie Zebra. - Nie jadłem obiadu. Dobre! Może też sobie zamówisz?

Emil przełknął ślinę. Też nie jadł obiadu, a w zasadzie nał wet porządnego śniadania, z wyjątkiem jednego hamburgera. Torcik wyglądał apetycznie. Jednak prędko zwalczył pokusę. Lepiej oszczędzać, wciąż jedzie na resztkach. Gdyby nie pieniądze pożyczone mu przez zmarłą na wieczne nieoddanie - musiałby teraz chyba żebrać. Albo kraść. Zrewanżuję ci się, Dorotko, obiecał w duchu.

- Szkoda czasu - mruknął, starając się nie patrzeć na usta kolegi. - Wpadłem na coś niesamowitego...

- Gadaj wreszcie!

- Masz zdjęcia?

Zebra wyjął z torby kopertę i położył ją na stoliku. Jego ruda czupryna sprawiała wrażenie niemal czerwonej w ciepłym półmroku wnętrza kawiarni, rozjaśnionego przytłumionym światłem lamp.

Emil wyjął zdjęcia z koperty, prędko je przejrzał i - zerkając przelotnie na pogrążoną w cichej rozmowie parę siedzącą przy stoliku po przeciwnej stronie - odłożył kilka na bok. Następnie z tryumfem podetkał pod nos przyjaciela reprodukcję Memlinga.

- Co to jest? - zdziwił się Zebra.

- Przyjrzyj się temu obrazowi.

- To Sąd Ostateczny tego... jak mu tam... Każdy to zna!

- Memlinga - podpowiedział Emil. - Przyjrzyj się uważnie.

Wskazał palcem zbliżenie fragmentu tryptyku, przedstawiającego związaną parę. Z satysfakcją obserwował zmiany na twarzy podkomisarza. Policzki Zebry przybrały nagle niemal barwę jego włosów. Emil wybrał jedno ze zdjęć i położył obok broszury.

- Widzisz?

- Widzę, do cholery... Jasny gwint, że też nikt tego wcześniej nie zauważył! Jak na to wpadłeś?

- Przypadkiem - odparł skromnie. - Mówiłem ci już wczoraj, że coś mi świta, tylko nie miałem pojęcia co. Kompletnie nie pamiętałem o tym pieprzonym obrazie! Ale dziś na mieście robiłem, rozumiesz, taką sondę uliczną. Nieważne... Zobaczyłem to cholerstwo nad wejściem do dworca.

Włączył aparat i wręczył go Zebrze.

- Strzałka w prawo - objaśnił.

Podkomisarz przejrzał zdjęcia i zwrócił mu aparat bez słowa.

- Wtedy do ciebie zadzwoniłem - ciągnął Emil - i kiedy po drodze mijałem bazylikę, przypomniało mi się, że ma jakiś związek z tym obrazem. W kiosku obok kupiłem tę broszurę. I co o tym sądzisz?

Zebra pokręcił wolno głową.

- Dziwne - rzekł. - Kurewsko dziwne. Masz rację, to nie wygląda na przypadek. O, popatrz... - dodał, studiując reprodukcję przez szkło powiększające - Zdaje się, że mamy i tę pierwszą ofiarę... Jak w mordę, wisi do góry nogami! Trochę wyżej, nad tamtymi. Jasna cholera! Nikt mnie z tym nie potraktuje serio... Niech to szlag! Jaki to może mieć związek?!... Możesz mi to dać?

- Broszurę? Jasne, bierz, kupię sobie drugą. Może trzeba szukać w środowisku muzealników? - podsunął Emil.

- Może. Ale równie dobrze w środowisku turystów, amatorów dzieł sztuki, nie wiem. Ten obraz jest sławny, każdy go kiedyś tam oglądał!

- Tak, ale nie przypadkiem ktoś wybrał go sobie za inspirację. To musi mieć jakieś znaczenie. Wiemy, że obraz jest związany z Gdańskiem, od setek lat, zdaje się... Nie czytałem jeszcze tekstu, tylko pobieżnie przejrzałem. W każdym razie jest symbolem tego miasta, tak samo jak Neptun albo Złota Kamienica. Ten świr musiał mieć w tym jakiś cel, skoro wykorzystał motywy z tego właśnie obrazu.

- Czekaj, to zbyt zagmatwane - przerwał mu Zebra. - Na pewno obraz nie jest bez znaczenia, zgadzam się z tobą, ale na razie niech to zostanie między nami. Muszę wszystko przemyśleć. Niestety, chyba potwierdza się twoja teoria - zerknął w głąb sali i ściszył głos do szeptu - o seryjnym zabójcy, kurwa jego mać.

Emil schował z powrotem zdjęcia do koperty.

- Bierz, schowaj. - Podał kopertę Zebrze i zapalił. - Jakoś źle na mnie wpływają. Najważniejsze, że jest trop. Masz swój punkt wyjścia.

Zebra wyjął swoją fajkę.

- Też zapalę.

- Myślisz, że to nie koniec? - zapytał Emil.

- Cholera wie. - Zebra dopił resztkę kawy. - Tego nigdy nie przewidzisz. Czekaj! - Ponownie sięgnął do torby. - Przez to wszystko zapomniałbym. Ktoś przysłał to do nas. Przyszło dzisiaj rano.

Podał mu kolejną dużą, brązową kopertę.

- Co to jest?

- Zobacz. Jest zaadresowana na twoje nazwisko.

Emil zerknął na kopertę. Rzeczywiście, na kopercie widniało jego imię i nazwisko oraz adres komendy.

- Nie rozumiem.

- My także nie - odparł Zebra. - Otwórz, to do ciebie.

- Przecież już otwieraliście?

- Owszem. - Zebra wzruszył ramionami. - Musieliśmy sprawdzić. Otwórz.

Emil powoli otworzył samoprzylepną kopertę. Z niedowierzaniem wyjął z niej swoją niebieską teczkę z reportażem... Spojrzał ze zdziwieniem na Zebrę.

- Sprawdź, czy jest wszystko.

Było. Wydruk tekstu i zdjęcia. Niczego nie brakowało.

- O co mu chodzi, do cholery? - zastanawiał się Emil.

- Jest bezczelny - odparł podkomisarz. - Chce nam pokazać, że się nas nie boi. I... jest to chyba rodzaj ostrzeżenia, dla ciebie. Zna twoje nazwisko, numery telefonów. Bawi się z tobą. Lepiej uważaj.

- Ale może to nie on? - łudził się Emil. - Może morderca gdzieś to porzucił, a ktoś przypadkowy znalazł i odesłał?

Zebra uśmiechnął się szyderczo.

- Na policję? I na dodatek zrobił to w rękawiczkach, w pełni upalnego lata?! Poza tym przypadkowy znalazca skorzystałby raczej najpierw z telefonu, podałeś tam przecież oba numery. Zadzwoiłby po prostu i umówił się, lub poprosił o adres, na który ma odesłać zgubę.

- No fakt - przyznał Emil. - Chyba masz rację.

- Swoją drogą, adres łatwo ustalić po numerze telefonu stacjonarnego. Jesteś w książce telefonicznej?

- Raczej właściciel mieszkania - Emil wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi, tak czy inaczej, istnieje ryzyko, że może cię znaleźć - przestrzegł zaniepokojony Zebra.

- Trudno, mieszkania przecież z tego powodu zmieniać nie będę. Bez przesady. Pewnie zresztą nie przyjdzie mu to do głowy. Po co niby miałby mnie szukać? Nie jestem świadkiem, w niczym mu nie zagrażam, a przynajmniej on nie ma powodu, by tak sądzić. Jeśli będzie chciał mnie prześladować, to prędzej zatelefonuje. A to mogłoby nam nawet pomóc. Co mam z tym zrobić? - wskazał na niebieską teczkę.

- Zrobiliśmy ekspertyzę, sfotografowaliśmy, pobraliśmy próbki. Dla nas wystarczy. Rób z tym teraz, co chcesz.

- Znaleźliście coś?

- Nic. Zero. Facet jest zbyt cwany. Wysłał to z poczty głównej. Priorytetem poleconym, podając fałszywy adres zwrotny i wymyślone nazwisko. Miał gość tupet. Był tam tłok, nikt go nie pamięta. Na kopercie i na znaczku nie ma żadnych śladów.

- Skąd właściwie pewność, że to facet? Zebra spojrzał na niego spod oka.

- Trzeba trochę siły, żeby załatwić dwoje ludzi naraz albo powiesić zwłoki dorosłej kobiety na drzewie - odparł krótko.

Emil pokiwał głową. Czuł się dziwnie - tak jakby obcy człowiek, wróg, zajrzał w część jego prywatności, jakby podglądał go w łazience albo obserwował podczas snu. Idiotyczne uczucie.

- Wychodzimy?

- Tak, spieszę się. Zapłacę - mruknął Zebra. - Za twoją kawę też, zabrałem ci w końcu broszurę.

Rozstali się koło bazyliki.

- Słuchaj... - Zebra odchrząknął. - Kiepsko wyglądasz. Masz jakieś problemy? Jeśli potrzebujesz forsy, to...

- Nie - zachnął się Emil. - Daj spokój, nie o to chodzi. Mam problemy, ale forsa nie jest akurat tym najważniejszym. Ja sam nim jestem. Muszę wreszcie zrobić coś sensownego, ze swoją pracą, z życiem w ogóle. Ale dzięki, że zapytałeś.

- Uda ci się. W każdym razie... ja też ci dziękuję, stary. - Zebra wyciągnął rękę. - Za pomoc. Pilnuj się. Bądź w kontakcie. Co teraz zamierzasz?

- Pójdę do kościoła - odparł Emil.

Na widok zdumionej miny Zebry parsknął śmiechem.

- Pomodlę się także za ciebie - dodał. Zebra znacząco popukał się w czoło.

Kiedy policjant zniknął za rogiem, Emil wyjął niebieską teczkę spod pachy. Parzyła go. Uwierała. Wyciągnął zawartość i dłużej się nie zastanawiając, podarł na drobne kawałki wydruk oraz zdjęcia. Nie przejmował się tym, że mijający go ludzie przyglądają mu się z ciekawością. Potem zgniótł teczkę i wrzucił wszystko razem do kosza na śmieci. Nie da się zastraszyć żadnemu psychopacie. A tekst o żeglarstwie to już przeszłość. Ma teraz lepszy temat.

## ROZDZIAŁ 6

Najpierw ponownie skierował swe kroki do kiosku z pamiątkami, obawiając się, że potem może już być zamknięty. Poprosił o jeszcze jeden egzemplarz broszury na temat tryptyku Hansa Memlinga.

- Podoba się panu ten obraz? - zapytał z satysfakcją sprzedawca, siwy starszy człowiek w okularach. Wyglądał na kościelnego. - Pan turysta?

- Tak, bardzo mnie zaintrygował - odparł Emil z uśmiechem, odliczając drobne. - Oryginał jest w bazylice?

- A skąd! - zachnął się sprzedawca. - Powinien być, ale nie jest! Jak go komuniści odzyskali od swoich przyjaciół zza Buga, to zaraz przywłaszczyli, a ci teraz nie lepsi, tłumaczą, że depozyt, ale oddać prawowitemu właścicielowi, jakim jest polski Kościół, to nie chcą. W muzeum do tej pory wisi, pan sobie wyobraża?! Złodzieje. Tu mamy tylko kopię z dziewiętnastego wieku, bardzo wierną, no, ale to tylko kopia. Od lat Kościół walczy o odzyskanie oryginału. I nic!

Poczerwieniał ze złości.

- Zaraz - zainteresował się Emil. - Nie rozumiem. Skoro oddali do muzeum, to znaczy, że jednak sobie nie przywłaszczyli? Dzieła sztuki tej klasy nie są chyba niczyją prywatną własnością, należą do społeczeństwa.

- A co pan opowiada?! To własność Kościoła i wiernych! To religijny obraz, powinien służyć modlitwie! Tu, w tym kościele, jest jego dom!

- To także zabytek pierwszej klasy - odparował Emil.

- W muzeum ma przynajmniej zapewnione odpowiednie warunki, fachową opiekę, służy nauce, nie tylko wiernym. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile kradzieży dzieł sztuki dokonuje się właśnie z kościołów? To są przecież domy modlitwy, nie służą ochronie zabytków. A do modlitwy chyba kopia wystarcza, prawda?

- Eee, szkoda dyskusji z panem - obraził się sprzedawca.

- Pan widać ateista.

- Nieprawda. A co to ma do rzeczy, proszę pana? Ja nie pojmuję tylko, w czym konflikt. Obraz jest w Gdańsku, w dobrych rękach, odpowiednio zabezpieczony. Chodzi wyłącznie o stan posiadania? A jak to było dawniej? - zainteresował się Emil. - Kto zakupił ten obraz pierwotnie?



Stary mężczyzna jakby nieco się spieszył.

- Pierwotnie... to chyba Włosi... - odchrząknął zakłopotany.

- I skąd się wziął tutaj?

- A taki jeden kaper gdański go przywiózł. Nie czytał pan broszury?

- Nie zdążyłem. Ale przypominam sobie jeszcze chyba ze szkoły, że ten obraz w dziwny sposób trafił do Gdańska, jakby nie do końca legalnie. Kaper to jakby pirat, prawda? - Emil zdawał sobie sprawę z tego, że prowokuje tego człowieka, ale coś go podkusiło: pewnie szatan z obrazu Memlinga.

- Panie, to było ponad pięćset lat temu!

- No tak, zgoda, ale widać, że prawowitych właścicieli jest tutaj więcej. Słyszałem, że ten kościół był dawniej protestancki, prawda? Swoje roszczenia mogą także zgłosić kiedyś Włosi albo Holendrzy, a może nawet Niemcy.

- Pan zwariował! - zgorszył się sprzedawca pamiątek.

- To tylko kwestia różnych układów, przepisów prawnych, które się zmieniają, nie wspominając o ich interpretacji, no i o ludzkiej arogancji. Sam pan wie, jak to jest. Niemcy chcą odzyskać od nas swoje zabytki, których w końcu nikt im nie odbierał, tylko sami je tu zostawili, bo wywozili cenniejsze - nasze. Polacy nie chcą oddać, bo w końcu stracili własne, a wojny nie wywołali, więc też się czują w prawie. Egipt, jeśli się nie mylę, albo Turcja, walczą o swoje zabytki, wywiezione sto lat temu przez europejskich archeologów. Raz te roszczenia uznano za przedawnione, innym razem okazuje się, że nie podlegają przedawnieniu. A jeśli chodzi o Memlinga, to raczej cieszymy się wszyscy razem, że obraz nadal jest w Gdańsku i że jest bezpieczny. - Emil uśmiechnął się łagodnie. - I że każdy może go oglądać. A propos, w jakim muzeum można go obejrzeć?

- W Narodowym - odburknął starszek. - Ale dziś już go pan nie obejrzy, zamknięte. Wcześniej trzeba.

- Wobec tego na razie obejrzę kopię. Bardzo dziękuję za informacje. Do widzenia panu - Emil pożegnał się grzecznie.

Wstępując w chłodne wnętrza monumentalnej bazyliki, odczuł majestat tego miejsca. Człowiek odruchowo ściszał tu głos, a każdy jego krok odbijało echo, jak wśród odwiecznych górskich szczytów. Przeczytał, że jest to największy ceglany kościół w Europie i jeden z największych w ogóle. Rzeczywiście był imponujący. Potężny nie tylko rozmiarami, ale także powagą wielu wieków historii.

W środku było niewielu zwiedzających. Emil nie wiedział, gdzie szukać tryptyku, lecz nie miał ochoty nikogo pytać. Nawą główną przeszedł w stronę ołtarza i - przypominając

sobie, jak był tu kiedyś w dzieciństwie, razem z babcią - skrzył w lewo. Przez chwilę podziwiał stary zegar astronomiczny - zupełnie go nie pamiętał - a następnie zawrócił boczną nawą, kierując się z powrotem w stronę wejścia, którym wszedł do kościoła. Po drodze minął urokliwą figurę średniowiecznej Madonny, przed którą tkwił już tłumek turystów i jedna rozmodlona starowinka na klęczkach. Kopię Memlinga znalazł dopiero pod koniec swej wędrówki, na bocznej ścianie stosunkowo niewielkiej kaplicy, znajdującej się blisko głównego wejścia - gdzie na wprost królowała przepiękna, gotycka pięta. Zatoczył więc niemal pełne koło, zanim w końcu otrzymał swoją nagrodę. Zastanowił się, czy pierwotnie w tym samym miejscu wisiał oryginał tryptyku. Doszedł do wniosku, że sam raczej nie powiesiłby go tutaj. Obraz wydał mu się ciemny i zszarzały, być może na skutek nie najlepszego oświetlenia, a może z powodu patyny czasu. Kopia także nie była już w końcu taka młoda - nie młodsza w każdym razie od obrazów Matejki. Zbliżył się, by odszukać na malowidle interesujące go postaci. Ponownie zdrygnął się, widząc związane razem sylwetki kobiety i mężczyzny. Jednak ginących w otchłani i wijących się w męczarniach nieszczęśników było tu mnóstwo. Szerokie pole działania dla mordercy - pomyślał, usiłując szybko policzyć ofiary. Doszedł do trzydziestu i zrezygnował. Nagie ciała troiły mu się w oczach. Tak jakby wciąż ich przybywało.

Sam obraz nieco go rozczarował. Wydał mu się martwy i zszarzały. Na reprodukcjach wszystko wyglądało jakoś... o wiele jaśniej, barwniej, atrakcyjniej. Mniej płasko. Rozmyślając nad tym, doszedł w końcu do wniosku, że brakuje mu chyba odpowiedniego światła, kameralnego i intymnego, ożywiającego barwy i modelującego kształty. Tu było ono przejmująco zimne, jakby przefiltrowane; rozproszone przez tajemnicze mroki czasu oraz majestat wnętrza tej ogromnej budowli, niepomysłanej na miarę śmiertelników, lecz na miarę gigantów. Nie na ludzką, ale na boską miarę. Światło gubiło się gdzieś pośród potężnych sklepień i kolumn, podobnie jak echo kroków Emila. A kolor to w końcu światło. Światło przyjazne człowiekowi. Gra światła. Bez światła barwy przecież gasną.

Tym bardziej zapragnął teraz zobaczyć oryginał. Obiecał sobie, że w najbliższych dniach wybierze się do muzeum. Obraz jest kluczem do zagadki. Musi do niego przemówić. Wiedział już, że się nie myli. Znajomy dreszcz przenikał jego ciało - znał to podniecające mrowienie. Czuł je zawsze, gdy odnalazł trop. Nigdy go nie zawiodło. W obliczu tajemnicy kierowała nim pierwotna siła, był jak drapieźnik na polowaniu.

Ogarniając raz jeszcze wzrokiem wnętrza wielkiej świątyni, uznał, że się nie mylił, kreśląc sprzedawcy pamiątek czarne wizje. Zabytki były słabo zabezpieczone. Kradzieże to jedno, ale ze zgrozą wyobraził sobie, z jaką łatwością ewentualny szaleniec mógłby zniszczyć

lub uszkodzić te cenne eksponaty. Chyba że rzeczywiście działa tu jakaś mistyczna ochrona. Tak, w tym wnętrzu mógłby w to nawet uwierzyć. I może właśnie na tym polega siła wiary.

Z mieszaniną żalu i ulgi opuścił mury świątyni. Pomimo tego, że bazylika, jak na średniowieczną budowlę sakralną, dzięki wysokim oknom oraz białym ścianom, była dość jasna, nieomal fizycznie odczuł nagłe uderzenie dziennego światła i świeżego powietrza. Wypuścił z nozdrzy aromat kadzidła. Od nadmiaru słońca musiał zmrużyć oczy. Zupełnie zapomniał, że na zewnątrz wciąż panował upalny, letni dzień. Pogodne, intensywnie niebieskie niebo wydało mu się bliższe od chłodnych sklepień kościoła. Poczuł się tak, jakby powrócił z innego świata. A może i z zaświatów.

Impuls energii kazał mu skierować się do redakcji „Życia Wybrzeża”. Pora była już dosyć późna, zastał Kleczkę dosłownie na wylocie.

- Co cię znowu do nas sprowadza, Żądło? - zapytał jowialnie redaktor, cofając się do środka swego gabinetu, jednak nie odłożył trzymanej w ręku teczki, nadal stojąc, nie poprosił też Emila, by usiadł.

- Mam propozycję - oświadczył Emil. - Nie będziesz żałował.

- Kolejny artykuł o żeglarstwie?

- Możemy porozmawiać? Czy od razu mam iść do konkurencji?

Dopiero teraz Kleczko niechętnym gestem wskazał mu fotel, a sam przysiadł na rogu biurka. Jego krótkie, masywne nogi z trudem sięgały podłogi. Wyglądało to tak komicznie, że Emil musiał się uśmiechnąć.

- Widzę, że naprawdę jesteś w dobrym humorze, stary - ironicznie zauważył naczelny.

- Słuchaj, szkoda czasu. - Emil bez pytania zapalił papierosa. Kleczko skrzywił się, lecz po chwili bez słowa podsunął mu wyjętą z szafki popielniczkę. - Znasz sprawę tego podwójnego morderstwa? Chłopak i dziewczyna, związani, uduszeni w lesie. Znasz?

Kleczko pokiwał głową. Oczy mu zabłysły. Emil to dostrzegł, zawsze zauważał takie sygnały.

- Znam sprawę od kuchni - kontynuował. - Wiesz, że byłem gliną. Nadal mam tam swoje wejścia. Prowadzę własne śledztwo. Już coś mam. Naturalnie współpracuję także z policją, wszystko legalnie.

- Gliny nie dopuszczają dziennikarzy do tej sprawy - zauważył redaktor.

- Nie twoja w tym głowa. Zostaw to mnie. Proponuję ci wyłączność, rewelacyjny temat, oczywiście w swoim czasie. Bierzesz?

Kleczko udał, że wygląda przez okno. Myślał.

- Czemu tak cię to interesuje? - zapytał w końcu.

- Powiem ci - odparł Emil - choć niechętnie. Ci zamordowani byli moimi przyjaciółmi. Dziewczynę znałem od lat.

- Ten chłopak to podobno też dziennikarz - zauważył Kleczko. - Z jakiejś mizernej bezpłatnej gazetki, ale zawsze. Tak, można zrobić z tego sprawę.

- Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy jaką!

- A jednak skurwysyn z ciebie. Żądło! - zarechotał Kleczko radośnie. - Swoją drogą, nazwisko pasuje do ciebie jak ulał.

- Myśl sobie o mnie, co chcesz. Bierzesz czy nie? Redaktor zatarł dłonie. Chwycił przynętę.

- Może i biorę - odparł, mrużąc oczy. - To zależy, na jakich warunkach.

- Umowa o dzieło, stawka nie mniejsza od tej, jaką płaciłeś mi wcześniej, legitymacja dziennikarska, zaliczka i zwrot kosztów związanych ze śledztwem. Co dostajesz w zamian, już ci powiedziałem. Skorzystasz na tym więcej ode mnie.

- Dobra - zdecydował się Kleczko. - Zaryzykuję. Na początek jakiś skromny reportażyk, wprowadzający w temat i podsycający ciekawość. Rozumiesz? Daję ci na to tydzień. Zobaczymy, czy nadal potrafisz pisać. Potem na bieżąco jesteś do mojej dyspozycji. Końcowy materiał na wyłączność. Umowa po fakcie, jak już dostanę wstępny tekst. Czyli, żebyś mnie dobrze zrozumiał, zastrzegam sobie prawo ingerencji w treść.

- To znaczy?

Kleczko uczynił w powietrzu niesprecyzowany ruch dłonią.

- Zwykle poprawki redakcyjne - objaśnił. - Skrót, zmiany stylistyczne i tak dalej. Normalna sprawa, ale nie mam ochoty znów wojować z tobą o każde słowo.

- Okej.

- No to w porządku, stary. Ile potrzebujesz na początek?

Emil wracał do domu w dobrym nastoju. Forsa w kieszeni dodawała mu skrzydeł. Wprawdzie dosłownie, w sensie materialnym, wcale nie miał jeszcze tych pieniędzy w kieszeni, wiedział jednak, że już jutro, najpóźniej w południe, całkiem przyzwoita kwota znajdzie się na jego koncie. Kleczko zlecił dokonanie przelewu w obecności Emila, nie powinno więc być niespodzianek.

To straszne - sposób, w jaki tak parszywa rzecz jak pieniądze potrafi dodać człowiekowi wiary w siebie - pomyślał z niesmakiem. Nie miał jednak zamiaru dłużej się nad tym zastanawiać. Są ważniejsze sprawy. Wizyta w muzeum, na początek. Księgarnia, biblioteka, Internet. A co do szarej codzienności... Trzeba zapłacić zaległy czynsz. I zrobić wreszcie przelew dla Emili. A dokładniej - dla Bartka. Swoją drogą, najwyższy czas spotkać

się z synem. Nagle zatęsknił za puciołową buzią i energią malca. Postanowił, że kiedy tylko przyjdzie przelew, to zadzwoni do byłej żony i stanowczo zażąda spotkania z dzieckiem. W końcu ma do tego prawo.

Wskakując w ostatniej chwili do tramwaju, obiecał też sobie, że ostatni raz jedzie tym paskudztwem. Wreszcie będzie mógł uruchomić samochód. Staruszek peugeot zbyt długo już odpoczywał.

## ROZDZIAŁ 7

Gdy nazajutrz około trzynastej sprawdził przez Internet swoje konto, zaliczka już na nim była. Od razu przelał część pieniędzy na konto Emili i złapał za słuchawkę.

- Czego chcesz? - usłyszał zamiast powitania. - Masz wreszcie jakieś dobre informacje dla mnie?

- Przelałem ci właśnie zaległe alimenty, najpóźniej jutro rano będziesz je miała na swoim koncie.

- Mnie przelałeś?! - prychnęła. W jej głosie zabrzmiała pogardliwa nuta. - Chyba raczej własnemu dziecku!

Obiecywał sobie, że nie zapali kolejnego papierosa przez najbliższe pół godziny, teraz jednak zrezygnował z tego aktu samodyscypliny.

- A propos własnego dziecka - powiedział. - Chciałbym zobaczyć się z Bartkiem. Kiedy mogę wpaść?

Emilę jakby z lekka zatkało. Najwyraźniej nie była przygotowana na tę prośbę.

- Bartek jest u babci - odparła wreszcie. - Nie wiem jeszcze, kiedy po niego pojedę. Szkoda mi trzymać dzieciaka w mieście w takie upały, a u mojej mamy ma wszystko, czego potrzebuje. Czyste powietrze, las, jezioro, zdrowe jedzenie. Wiesz, że pracuję, a Bartek jest jeszcze za mały na obozy, więc co miałabym z nim zrobić... Odbiorę go, jak dostanę urlop, wtedy planujemy jakiś wyjazd razem. Więc nie wiem, czy zdążyłbyś go odwiedzić. Ale na razie nie ma nawet o czym mówić.

- Bartek ma dziesięć lat - zaoponował. - Nie jest za mały na obóz, nie rób z niego niedorajdy. Ale mniejsza o to, przepraszam. Może mógłbym podjechać do niego, do twojej matki? Na parę godzin. Zabrałbym małego na kajak.

- Ani mi się waź! - krzyknęła ze złością. - Nie życzę sobie, żebyś zakłócał spokój mojej rodzinie! Znalazł się dobry tatuś!

Emil postanowił zakończyć tę rozmowę, zanim wybuchnie. Czuł, że dzieli go od tego tylko mały krok.

- Dobra, więc zawiadam mnie od razu, kiedy już przywieziesz Bartka. Chciałbym się z nim spotkać, zanim gdzieś wyjedziecie.

- Nie mogę ci niczego obiecać - oświadczyła opryskliwie. - Może wcale nie będziemy wracać do Gdańska. Być może pojedziemy na urlop prosto od rodziców.

- Postaraj się, dobrze?

- Postaram. Cześć. - Odłożyła słuchawkę, nie czekając na jego odpowiedź.

Siedział jeszcze chwilę bez ruchu, ze słuchawką w dłoni, starając się pohamować narastające uczucie złości. W końcu jednak machnął ręką i odłożył słuchawkę na widełki. Przełał jeszcze dość znaczną kwotę na konto właściciela mieszkania i z zadowoleniem stwierdził, że mimo wszystko zostało mu jeszcze trochę pieniędzy. Może i opłaca się pracować dla Klęczki. Pod warunkiem że człowiek nie waha się sprzedać w całości, z ciałem i z duszą. Klęczko potrzebował takich ludzi, którzy bez oporów napiszą to, co naczelny myśli, a czego sam nie potrafi, nie ma czasu lub nie chce mu się stworzyć osobiście. Niektórym to nie przeszkadza.

Poszedł do kuchni - a raczej przedpokoju, gdzie mieściła się wnęka służąca za kuchnię - aby przygotować sobie kubek mocnej kawy, która miała postawić go na nogi. Do rana przeglądał strony w Internecie, nie wyspał się, szczypały go oczy. Szukał wszelkich opracowań na temat Sądu Ostatecznego i jego twórcy. Nie było tam zbyt wielu poważnych informacji - znalazł w zasadzie tylko te same szablonowe teksty, które zamieszczono w broszurce z kiosku przy bazylice - lecz i tak oddzielenie ziarna od plew zajęło mu niemal całą noc. Wstał potem zbyt późno, by zdążyć tego dnia do muzeum. Postanowił zatem zająć się dziś wyłącznie fachową lekturą. Popijając rozpuszczalną kawę małymi łykami, starał się uporządkować zgromadzone materiały. Później zapakował wszystko do kartonowej teczki - wydruki z Internetu, na których były teksty oraz reprodukcje obrazu, a także broszurę - i zostawił na potem.

Obszedł wszystkie okoliczne księgarnie, które miał w zasięgu pieszej wędrowki. Nie było ich wiele. Obecnie prawdziwe, nie wirtualne, księgarnie znikają - lecz znalazł jedno, dość specjalistyczne i dość drogie opracowanie poświęcone technice malarskiej Memlinga. Kupił je mimo wszystko, następnie zaś odwiedził osiedlową bibliotekę, w której ostatni raz był jeszcze z Emila na początku ich małżeństwa. Szukali tam wtedy przewodników i kryminałów na dwutygodniowy wypad w góry. Teraz znalazł w bibliotece stary album Michała Walickiego, opracowany przez Jana Białostockiego, a wydany jeszcze na początku lat siedemdziesiątych. Były tam jednak niezłe zdjęcia, wprawdzie większość czarno-białych, za to wysokiej jakości - zbliżenia i fragmenty tryptyku. Obdzwonił znajomych, lecz nikt nie miał w domu żadnych opracowań na temat Sądu. Za to od sąsiadów udało mu się pożyczyć stare, opasłe tomisko o malarstwie niderlandzkim od średniowiecza do baroku.

Uznał, że to mu na razie wystarczy.

Wróciwszy do domu, zjadł lekką kolację, wypalił dwa papierosy, otworzył puszkę

zimnego piwa i rzucił się w ubraniu na łóżko, obłożony książkami i artykułami. Rozpoczął od przeglądania albumu. Jednak - zanim na dobre zabrał się do czytania - zmorzył go sen. Ciężki i mroczny niczym bezdenne otchłanie piekieł...

Leciał w skłębionej masie ludzkich ciał w dół czarnego tunelu. Był całkiem nagi, tak samo jak wszystkie inne ciała, kotłujące się obok niego, pod nim i ponad nim. Początkowo lecieli jakby w zwolnionym tempie, w oparach mgły tłumiącej dzikie wrzaski przerażenia i rozpacz, obracając się w powietrzu do góry nogami, koziółkując, chwytając się rozpaczliwie innych ciał. Co jakiś czas zza mglistej zasłony wynurzały się szydercze twarze bestii, ni to ludzkich, ni zwierzęcych. Jęknął, gdy zrozumiał - tak jakby jakiś głos wewnątrz niego podpowiedział mu tę myśl - że są to ucieleśnione kształty ludzkiej podłości, okrucieństwa i agresji, ucieleśnienie grzechu. On sam także je zrodził, te bestie, teraz ciągnące go ku zagładzie. Z wnętrza otchłani bilo gorąco i śmierdzące wyziewy, strzelały iskry i z łoskotem wybuchały płomienie. Dopiero teraz pojął, że gęste opary nie były wcale mgłą, tylko dymem. Tam, z dołu, dobiegał śwąd i skwierczenie żywcem palonych ciał, zmieszane z jękami i krzykiem agonii. Zdawał sobie sprawę z własnej bezsilności. Nie mógł nic zrobić, nie miał kontroli nad swoim ciałem: nie było ratunku. Mógł tylko bezwolnie opadać w dół, ku płomieniom, spychany jakąś niepojętą, wrogą siłą. Zdawało mu się, że przemykają obok niego znajome twarze; nie pamiętał jednak ich imion, tak jakby odarto je z tożsamości, a nawet z wszelkich ludzkich cech - a przynajmniej cech, które przywykliśmy sobie przypisywać.

Naraz poczuł, że lot uległ przyspieszeniu, a jednocześnie wrzaski i huk płomieni rosły mu w uszach. Opadał teraz w zawrotnym tempie, koziółkując i wirując, coraz bliżej rozszalałego morza ognia, ogniste języki lizały już jego włosy i kończyny. Oblała go fala potwornego żaru, a ból i strach stały się nie do zniesienia. Ostatkiem sił wydał z siebie przeciągły, zwierzęcy krzyk...

Zerwał się na równe nogi, strącając na podłogę książki i papiery. Zanim zrozumiał, że był to tylko sen, poczuł największą groźbę życia i śmierci. Przeważenie spowodowało, że zaczął się dusić. Namacał dłonią butelkę wody mineralnej, którą zawsze miał obok łóżka, i pociągnął z niej duży łyk. Uspokajał się pomału, serce odzyskiwało swój normalny rytm. Nie potrafił jednak całkowicie uwolnić się od koszmaru. Obrazy ze snu przypominały mu sceny z tryptyku Memlinga, ale i jeszcze coś... Coś, czego nie mógł na razie zidentyfikować, a co przyprawiało go o dreszcz obrzydzenia i grozy.

Na dworze było już jasno, pierwsze promienie słońca rozproszyły resztki potwornego lęku. Przespał całą noc w ubraniu na niepościelonym łóżku. Zerknął na zegarek: dochodziła



dopiero szósta rano. O tej godzinie częściej kładł się niż budził. Mimo tak wczesnej pory, w pokoju było już gorąco, zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Emil nie chciał już spać. Bał się, że z chwilą, gdy odpłynie w sen, powróci tamta makabra i znów znajdzie się na progu piekła, z którego być może już nie dane mu będzie powrócić.

Zwłókł się z łóżka i chwiejnie poszedł do łazienki. Pysznic dobrze mu zrobił, odpędził pozostałości koszmaru. Włożył na siebie dżinsy i koszulkę bez rękawów i nasypał do kubka dwie czubate łyżeczki rozpuszczalnej kawy. Jak nigdy z rana - poczuł głód. Zerknął do lodówki. Poza słoikiem dżemu były tam tylko jaja. Usmażył jajecznicę i zjadł ją razem z połową bochenka razowego chleba bez masła. O siódmej wyskoczył do sklepu, by zrobić wreszcie jakieś zakupy: kilka bułek, serki, pomidory, musztarda, parówki oraz mnóstwo konserw, którymi głównie się żywił, a także karton papierosów, puszki piwa i butelki wody mineralnej. Wystarczy.

Po powrocie do domu zapalił papierosa i na stronie internetowej Muzeum Narodowego w Gdańsku sprawdził godziny otwarcia. Otwierano o dziewiątej.

Postanowił odwiedzić najpierw muzeum, a dopiero później zabrać się za fachową literaturę. Ale najpierw musiał uruchomić samochód. Czerwony peugeot miał jeszcze chyba zapas benzyny, który pozwoli mu dojechać przynajmniej do stacji benzynowej. W ciągu ostatnich kilku dni Emil zapomniał wprawdzie o odpalaniu silnika, jednak staruszek ruszył bez większych problemów. Poczciwiec.

Kilka minut po dziewiątej dojeżdżał już do Gdańska, zastanawiając się nad tym, gdzie też uda mu się zaparkować, tak by straż miejska nie zablokowała mu koła.

Jak zaczarowany stał przed tryptykiem już od dobrego kwadransa.

Gdy ujrzał go w pełnej krasie, niemal zapało mu dech w piersi. Obraz lśnił jak wielki, barwny klejnot. Tutaj warunki miał idealne: był pod stałą opieką konserwatorów, powietrze - jak wyczytał z przewodnika - stwarzało odpowiedni mikroklimat, czyli optymalną wilgotność i temperaturę; specjalne oświetlenie wydobywało obraz z otoczenia, tworząc sugestywne złudzenie życia, iluzję innego świata, wciągając w jego głębię, wabiąc i zachwycając bogactwem barw i form plastycznych. Obraz znajdował się jakby we własnej „kaplicy”, której uroczysta cisza i mistyczny klimat pozwalały zwiedzającym na intymny kontakt z dziełem, w tajemniczy sposób narzucając niemal modlitewną zadumę. Tryptyk naprawdę rzucał na kolana, wręcz powalał. Tutaj był prawdziwym królem. Czyste kolory tworzyły migotliwą mozaikę, pulsowały życiem. Jego rozmiary imponowały w tym otoczeniu, w którym skala stworzona została na ludzką miarę - tu dopiero obraz stał się prawdziwie boski,

niezależnie od wyznawanej religii lub braku wiary. Na samą myśl o wyrwaniu dzieła z tych cieplarnianych warunków i rzuceniu go na pastwę zmiennych temperatur, wilgotnego półmroku, oddechów llumu i wielu innych zagrożeń - Emil poczuł sprzeciw. Zdawał sobie sprawę z tego, że kilka wieków temu tworzono go z myślą o modlitwie i oddawaniu czci przez tysiące wiernych. W tamtych czasach sztuka była użytkowa. Jednak obraz wypełnił już swoją misję. Teraz stał ponad czasem i ponad wyznaniem. Zasłużył sobie na to, by za wszelką cenę zachować go przy życiu. Obrazy też nie są nieśmiertelne i same ludzkie modły nie wystarczą, by mogły przetrwać dla kolejnych pokoleń. Refleksja także jest modlitwą. A w tym miejscu tryptyk zmuszał do refleksji każdego. Chyba nikt z oglądających nie mógł pozostać obojętny w obliczu tego ponadczasowego piękna.

Obok przystanąła wycieczka, zapewne kolonijna. Dzieciaki automatycznie ściszały głos do szeptu, wskazując sobie palcami diabły i anioły, śledząc akcję, objaśnianą im przez przewodniczkę, zupełnie jakby oglądały mrozący krew w żyłach film katastroficzny. Bardzo możliwe - pomyślał - że właśnie w tym momencie pośród tej gromadki zafascynowanych nastolatków narodzili się przyszli historycy sztuki, artyści, miłośnicy zabytków, dzięki którym dzieła będą trwać.

Emil bezwiednie poszukiwał wzrokiem siebie w tej masie ciał na obrazie, siebie ze snu. Widział się w każdej z tych umęczonych, potępionych postaci. Wolałby naturalnie ujrzeć siebie w grupie zbawionych, po lewej stronie tryptyku. Jednak ta sielankowa sceneria przekonywała go mniej, w porównaniu z dramaturgią prawej strony, tak jakby siła przesłania skupiała się głównie na grzesznikach. Zdumiały go omamy słuchowe, jakich - zdawało mu się - doświadczał. W tle słodkich dźwięków harf i fletów, dobiegających z lewej strony, słyszał wciąż jęki i krzyki potępionych. Zresztą, jak zauważył, na kryształowych schodach do raju stały właściwie te same osoby, te same twarze, które z prawej strony rozpaczliwie broniły się przed otchłanią. Tyle że już niewykrzywione w grymasie cierpienia i strachu, lecz emanujące spokojem. To są ci sami ludzie - stwierdził ze zdumieniem. Może na tym właśnie polegają Boska sprawiedliwość i miłosierdzie? Tak, jakby - zanim wolno nam będzie wstąpić do raj - trzeba było najpierw przejść przez piekło. Doświadczyć piekła, zrozumieć je... Czy można być naprawdę dobrym, nie dostąpiwszy przedtem pokusy i grzechu, bólu i cierpienia? Przecież nie istnieje dobro bez zła. Jedno pojęcie warunkuje drugie. Tylko zwierzęta - podobnie jak cała natura - są niewinne, dlatego wyrok sądu ich nie obejmuje. One noszą w sobie kosmiczną prawdę, żyją i umierają w zgodzie z jej prawami. Sądzeni są tylko ludzie: stojący nie PONAD naturą, lecz jakby WBREW niej. Symbolicznie przedstawiona przyroda znajduje się wyłącznie po stronie raj. To tam kwitną kwiaty, podczas gdy piekło to wypalona

ziemia, ogień i kamień. Może trzeba osiągnąć pełnię życia, pełnię człowieczeństwa, by zmasać winę wynaturzenia naszego gatunku, powrócić do niewinności przyrody i awansować aż tak wysoko?

Emil zerknął na zegarek - spędził przed tryptykiem ponad pół godziny! Niechętnie i z oporami oderwał wzrok od obrazu, który hipnotyzował go i przyciągał niczym jakiś magiczny obiekt. Nie wiedział, na czym polega różnica w odbiorze obrazu tu, a w bazylice: na sile oddziaływania oryginału w porównaniu do kopii czy na jakości jego przechowywania i warunkach ekspozycji? Postanowił jednak, że przemyśli ten problem innym razem. Nie może przecież stać tu do skończenia świata. Chciał jeszcze znaleźć kogoś, z kim mógłby porozmawiać na temat malowidła. Wycofał się więc, rezygnując tym razem z obejrzenia innych eksponatów. Głowę miał pełną scen Sądu i nie chciał mieszać ich teraz z innymi doznaniem. Mijał piękne, jasne sale, które w jego wyobraźni zmieniały się w grotty pełne ukrytych skarbów. Kiedy indziej. Uśmiechnął się do wzruszającej, nieco naiwnej figurki rycerza - zapewne świętego Jerzego - walczącego dzielnie ze smokiem i skierował się do recepcji muzeum.

Kupując wysokiej jakości reprodukcje oraz opracowania muzealne, dotyczące Sądu Ostatecznego i dawnych mistrzów z epoki Memlinga, zapytał uśmiechniętą dziewczynę, kto mógłby udzielić mu bardziej szczegółowych informacji o malowidle. Doszedł do wniosku, że zagadka tkwi nie tylko w samym obrazie, ale także w wyobraźni, czy też osobowości jego twórcy, którą morderca, z tej czy innej przyczyny, uznał za własną. Musiał dowiedzieć się więcej, niż podają standardowe opracowania. Musiał wczuć się w sposób obrazowania i sposób myślenia, który zaanektował sobie zabójca. Szatan - jak nazywał go w myślach.

- Mamy bogatą ofertę edukacyjną - poinformowało go schludne, sympatyczne dziewczę, poprawiając wystawkę wydawnictw w gablocie. - Wykłady, seminaria, warsztaty. Ale dopiero od września.

- Nie, przepraszam, nie o to mi chodzi - odparł pośpiesznie - choć to na pewno bardzo interesujące. Jestem dziennikarzem, chciałbym po prostu porozmawiać z kimś kompetentnym.

- Jest pan dziennikarzem? - zdziwiła się dziewczyna. - I chce pan pisać artykuł o naszym Sądzie?

Emil wygrzebał z kieszeni legitymację, którą od ręki wypisał mu Kleczko.

- Właśnie - uśmiechnął się do niej.

- Zaraz się dowiem, proszę chwileczkę poczekać. Naradziła się z drugą, starszą kobietą, rozmawiającą właśnie z ochroniarzami monitorującymi wnętrza muzeum.

- Mógłby pan porozmawiać z panią doktor Zabłocką, z działu konserwacji - oznajmiła, wróciwszy. - Zresztą w tej chwili tylko ona jest wolna. Sąd Ostateczny to jej oczko w głowie - zaśmiała się. - Zapowiedzieć pana?

- Tak, proszę.

Dziewczyna podniosła słuchawkę i wystukała numer wewnętrzny.

- Pani doktor, pan z prasy do pani... Tak... Nie, nie, ten pan pisze artykuł o Sądzie... Tak, dobrze. Zaraz zapytam... Czy starczy panu pół godziny, bo pani doktor jest później zajęta?

- Oczywiście.

- Tak, pani doktor, wystarczy - zaszcebiotała recepcjonistka do słuchawki. - Dobrze, to ten pan zaraz przyjdzie.

Skończyła rozmawiać i uśmiechnęła się szeroko do Emila:

- Tędy proszę.

## ROZDZIAŁ 8

Mężczyzna w samolocie napiął mięśnie, gdy maszyna podchodziła do lądowania, i odprężył się, gdy już bezpiecznie kołowała po pasie startowym. Cały lot przespał, teraz marzył już tylko o misji, która czekała go w tym przeklętym mieście. Przyciemnione okulary przesłaniały jego oczy, tak by nikt nie dojrzał w nich nieziemskiego, mistycznego blasku, jaki on sam dostrzegał, przeglądając się w lustrze. Nikomu nie wolno zaglądać w głąb jego duszy, która już od stuleci błąka się po tym marnym, grzesznym świecie i nie zazna spokoju, póki nie wypełni swego posłannictwa. Poczul gniew, jak zwykle, gdy pojawiał się w tym mieście. Miejscu naznaczonym, obcym i wrogim, choć nierozdzielnie z nim związanym. Jednak gdy wysiadł z samolotu, był już tylko normalnym pasażerem - przeciętnym, zwyczajnym, kulturalnym, a nawet sympatycznym człowiekiem.

Odebrał swój skromny bagaż i kupił gazety. Tak jak oczekiwał, szmatławce rozpisywały się nadal na temat jego ostatniego dzieła. Przeczytał ostatnie doniesienia ze śledztwa w sprawie okrutnego mordu dwojga młodych ludzi. Rozczarował się, stwierdzając, że głupie pismaki nie zamieściły ani słowa o szczegółach tego aktu, o wysublimowanych detalach i niuansach, które z takim smakiem zastosował. Jednak pod koniec czytanego tekstu zrozumiał, dlaczego tak jest: otóż pismaki sugerowały nieśmiało, że być może to zabójstwo jak i poprzednie młodej kobiety, można przypisywać temu samemu sprawcy. Policja wprawdzie nie potwierdza wersji o seryjnym zabójcy - jednak z całą pewnością bierze tę hipotezę pod uwagę. Nie są chyba aż tak głupi, by tego nie dostrzec. A więc wszelkie szczegóły śledztwa są zapewne utajnione. Przyjdzie czas, gdy poznają prawdę, gdy jego dzieło doczeka się swojej chwały. Ale wtedy będzie już za późno...

Mężczyzna zmiął gazety i wrzucił je do śmietnika. Następnie opuścił dworzec lotniczy i udał się w kierunku postoju taksówek. Słońce stało w zenicie, upał narastał. Duszne powietrze przytłaczało i mdliło.

- Centrum - rzucił chropawo, zatraskując za sobą drzwi szarego audi, upewniwszy się najpierw, czy auto jest wyposażone w klimatyzację.

Gdy taksówka pomknęła w kierunku miasta, zatarł dłonie. Miał już plan. Dopieszczając w myślach szczegóły, wypatrywał na horyzoncie znajomych krajobrazów. Gdzieś na wysokości zjazdu na trójmiejską obwodnicę, od strony wzgórz morenowych zagrzmiało. Dźwięk był odległy, lecz mężczyzna rozpoznał w nim Ten głos. Oto znak dla

niego. Wszechmocny aprobował jego plan.

Emil zapukał do drzwi wskazanego pokoju.

- Proszę! - usłyszał miły damski głos.

Uchylił drzwi. Znad biurka podniosła się szczupła szatynka w białym fartuchu narzuconym na dżinsy. Uśmiechała się kącikami nieumalowanych warg. Emil przystanął w progu zaskoczony. Nie wiedzieć czemu, pewnie z powodu idiotycznych stereotypów, spodziewał się starszej pani, mola książkowego, „jajogłowej” w grubych okularach, kostycznego i surowego naukowca. Tymczasem miał przed sobą całkiem młodą jeszcze kobietę o dziewczęcym wyglądzie. Była ładna, choć nie tym banalnym typem urody, którego szczerze nie znosił. Emila była taka. Wysoka, o figurze modelki, migdałowych oczach i długich, lśniących, czarnych włosach. Wszyscy mężczyźni oglądali się za nią na ulicy, a jemu zdawało się, że złapał pana Boga za nogi. Dopiero później odkrył, że uroda jest jej bronią, a zarazem zasłoną dymną, skrywającą raczej małostkowy charakter i pustkę umysłową. Nawet teraz, gdy lata mijały, Emila trwała w swej piękności jak malowana lalka. Czas nie wpływał na jej wygląd. Ani - niestety - na całą resztę jej osoby.

Pani doktor Zabłocka z całą pewnością znacznie przekroczyła trzydziestkę, wciąż jednak miała w sobie młodzieńczą świeżość. Sprzyjał temu brak makijażu i typowo damskich ozdóbek. Była drobna, miała subtelną twarz o regularnych rysach i bujne, falujące, kasztanowate włosy z rudymi refleksami, spięte w koński ogon, spływający luźno na plecy. W dużych, zielonych oczach zauważało się przede wszystkim żywą inteligencję. Rozpięty fartuch ukazywał - oprócz dżinsów - granatową, bawełnianą sportową koszulkę. Gdy podała mu rękę na powitanie, zauważył brak pierścionków... a także obrączki, jedynie na jej szyi błysnął srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie zwiniętego węża. Jego główka wyrzeźbiona była z jakiegoś zielonkawego kamienia.

- Podziwia pan mój wisiołek? - zauważyła z dumą. - Jest stary, to robota pewnego gdańskiego złotnika. Kupiłam go kiedyś w antykwariacie. Pasuje do muzealnika - zaśmiała się. - Teraz to mój amulet, przynosi mi szczęście. Proszę usiąść. Co pana do mnie sprowadza?

Nie było w niej nawet śladu typowo kobiecej kokieterii. Emil natychmiast znalazł się pod jej urokiem.

- Sąd Ostateczny - odparł. - Słyszałem, że tryptyk jest pani oczkiem w głowie?

- Owszem. - Przyjrzała mu się życzliwie. - Co pana interesuje? W zasadzie podstawowe informacje umieszczamy w naszych materiałach. Widzę, że pan je kupił. - Zerknęła na plik ulotek i katalogów muzealnych, które położył na wolnym skrawku zasłanego papierami biurka.

- Tak. Ale bardziej chodzi mi o samego twórcę, a może raczej o jego poglądy, idee, filozofię, które zawarł w swoim obrazie. Rozumie pani, o treść obrazu i to, co się za nią kryje. Nie wszystko jest dla mnie jasne.

- Rozumiem - uśmiechnęła się. - Chodzi panu o ikonografię. Rzeczywiście, to dzieło pełne symboliki. Poprzez symbole i alegorie artysta wyraził głębokie treści duchowe i teologiczne, charakterystyczne dla swojej epoki. Mam panu o nich opowiedzieć?

- Gdyby pani mogła...

- To ma być wywiad? Pisze pan artykuł o Memlingu?

- Przymierzam się - wyjaśnił. - Nie, to nie wywiad, raczej luźna rozmowa. Potrzebuję informacji, historia sztuki nie jest moją mocną stroną.

- Można wiedzieć, dla jakiego pisma?

- Jestem wolnym strzelcem. Po prostu zainteresował mnie temat. Na razie gromadzę tylko materiały. Jeśli to problem, to może przyjdę innym razem, nie chciałbym sprawiać pani kłopotu.

Zerknęła na zegarek.

- Nie mam za wiele czasu - odparła. - Poza tym nie jestem teoretykiem, moja dziedzina to raczej renowacja. Ale spróbujmy. Rozmowa o tryptyku zawsze sprawia mi przyjemność. To taka słabość, która nie mija. Przeciwnie, rośnie, ponieważ w miarę mojej pracy nad obrazem, odkrywam w nim coraz więcej ukrytych znaczeń.

Z szuflady biurka wyjęła duże zdjęcie, a z kieszonki fartucha druciane okulary do czytania. Emil pomyślał z satysfakcją, że przynajmniej w tym jednym się nie pomylił: używała okularów. Według niego był to nieodłączny atrybut naukowca.

- Proszę zerkać na reprodukcję. - Odgarnęła papiery i położyła fotografię na blacie. Zdjęcie było idealne: ostre, wyraźne, kolorystycznie bez zarzutu. - Gdybyśmy mieli więcej czasu i gdyby muzeum było już nieczynne dla zwiedzających, nasza pogadanka mogłaby odbyć się przy oryginalnym tryptyku, ale zakładam, że już go pan oglądał.

- Oczywiście - wtrącił. - Jest wspaniały.

- Tak - uśmiechnęła się. - Jest niepowtarzalny. To nasza perła; mam na myśli nas wszystkich, gdańszczan. A propos, pan jest z Gdańska?

Przytaknął. Pani doktor ponownie się uśmiechnęła. Miała ujmujący uśmiech - jasny, szczery i spontaniczny.

- Wracając do tematu - kontynuowała. - O samym Hansie Memlingu niewiele wiemy. Zabrakło kogoś takiego jak Vasari, który w szesnastym wieku opisał sylwetki artystów włoskich, tak więc nasze dane są raczej skąpe. Włosi bardziej doceniali artystów,

pragmatyczni Flamandowie traktowali ich raczej jak rzemieślników. Do tego tradycja różni się bardzo od rzeczywistości. Według legendy - zresztą bardzo pięknej - młody malarz, zatrudniony na dworze Karola Śmiałego, księcia Burgundii, człowiek światły i podróżujący do Włoch i Hiszpanii, brał także udział w wojnach tegoż władcy, którego celem życiowym było połączenie swego księstwa z Niderlandami. Pewnej zimowej nocy, po klęsce księcia, który zginął pod Nancy w bitwie z Lotarynią, młody Hans, ranny i bezdomny, powrócił po latach do Flandrii i zapukał do bramy szpitala świętego Jana, prosząc o opiekę i schronienie. Gdy tylko doszedł do siebie i wyleczył z ran, w klasztornej samotni szpitala przystąpił do pracy artystycznej. Niestety, ta wzruszająca historia ma raczej niewiele wspólnego z rzeczywistością. Według źródeł historycznych nasz artysta był po prostu bogatym mieszczaninem z Brugii, wykonującym z powodzeniem swój zawód malarza, którego wyuczył się prawdopodobnie w warsztacie innego słynnego mistrza niderlandzkiego, Rogera van der Weydena. Z pochodzenia był Niemcem, osiadłym we Flandrii, gdzie artystom nieźle się powodziło, gdyż istniał tam wówczas ważny ośrodek sztuki religijnej. Urodził się przypuszczalnie w latach trzydziestych piętnastego wieku w Seligenstadt. Należał ponoć do najbogatszych obywateli miasta Brugii, był właścicielem paru domów, płacił wysokie podatki, zatrudniał wielu uczniów, a także miał bogatych i wpływowych patronów. Na przykład przedstawicieli Florenckiego banku Medyceuszy w Niderlandach. Jeden z nich zamówił u niego tryptyk o tematyce eschatologicznej - nasz Sąd Ostateczny właśnie... Eschatologia, przypomnę, to ogół poglądów na tematy ostateczne, a więc dotyczących pośmiertnych losów jednostki ludzkiej oraz końca świata. Od greckiego słowa „cschatos” czyli „ostatni”. W tamtej epoce bardzo modny temat - uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Ale chyba tylko Memling potraktował go tak wszechstronnie i z takim rozmachem. Dowodzi to, że rzeczywiście był czytany człowiekiem, a przy tym obdarzonym niezwykłą wyobraźnią. W swoim dziele wykorzystał wszystkie możliwe źródła. Od Pisma Świętego - w tym przede wszystkim Apokalipsę świętego Jana, ewangelię, fragmenty Starego i Nowego Testamentu - po literaturę mistyczną, prądy filozoficzne oraz teologiczne epoki.

- I to wszystko kryje się w treści obrazu? - zapytał Emil, wpatrując się w zdjęcie.

- Oczywiście. Ten obraz to cały wykład! - Uśmiech znów rozjaśnił jej twarz. - Już sama kompozycja oparta została na astronomii i dostosowana do siatki kosmicznej. Memling posłużył się wykresem rzutu sfery niebieskiej dla równoleżnika, przebiegającego przez Gandawę i Brugię. Środek kuli ziemskiej, na której Chrystus opiera stopy, jest tu zenitem. Tęcza równikiem, a jej środek biegunem. Jednym słowem, artysta uwiecznił w ten sposób położenie miejsca, gdzie powstało dzieło - czyli zapewne swojej własnej pracowni -



względem kosmosu.

- Niesamowite - przyznał Emil.

- Prawda? Ale przejdźmy teraz do samej treści. Kompozycja jest przejrzysta i opiera się na podziale góra-dół oraz strona prawa i lewa. To także ma swój wymiar symboliczny. Góra - sfera mistyczna, dół - ziemską, prawa i lewa strona wiążą się z pojęciami dobra i zła. Dolny fragment środkowej części tryptyku pokazuje to, co się dzieje na ziemi. Archanioł Michał, w lśniącej zbroi, w której odbija się część przestrzeni, niewidoczna na obrazie, waży na szali ludzkie uczynki. Gdy dobre przeważają, człowiek udaje się w prawą stronę, stronę światła, życia i zbawienia. Grzesznicy porywani są na lewo, tam, gdzie otwierają się czeluście piekielne. Tutaj też toczy się walka dobra ze złem, anioła z szatanem, tak zwana psychomachia, w której stawką jest ludzka dusza, o, widzi pan? W tym przypadku szatan przegra, z całą pewnością: zapędził się, biedaczek, poza swój rewir... - zaśmiała się tryumfalnie, jakby rzeczywiście kibicowała w tym pojedynku. - Teraz proszę spojrzeć w górę. To sfera niebiańska. Widzimy tu Zbawiciela, opierającego stopy na złotej kuli, symbolizującej wszechświat - co oznacza władzę nad całym stworzeniem. Proszę zauważyć, że w tej kuli także odbija się to wszystko, co rozgrywa się na ziemi. Tęcza również ma znaczenie symboliczne: już w starożytności oznaczała pomost łączący świat bogów ze światem ludzi, a w tradycji starotestamentowej jest symbolem przymierza. Złoty kolor w tle symbolizuje światłość, a światłość to symbol boskości. Teraz prawa strona. Ich prawa, nasza lewa. Panują tu jasność, spokój i porządek. Proszę zobaczyć, jest zielono. Kwitną rośliny symbolizujące życie, poza tym poszczególne kwiaty są jeszcze symbolami wielu innych cnót, popularnych w tamtych czasach, nad którymi nie będę się rozwodzić. To osobny temat: średniowieczna symbolika kwiatów, podobnie jak symbolika szlachetnych kamieni rozsypanych o tu, u podnóża skał. Tu ma pan kryształowe schody, po których wstępują szczęśliwcy. To także symbol. Zna pan z dzieciństwa baśnię o szklanej górze?

- Że tylko wybraniec mógł się na nią wspiąć?

- Coś w tym rodzaju. Tylko ktoś o czystym sercu.

- I kryształowym charakterze?

- Dokładnie! - Znow się roześmiała. - Jeszcze brama do raju. Przypomina fasadę gotyckiej katedry. To znak, że tylko poprzez wiarę, chrześcijańską w domyśle, można dostąpić zbawienia. Choć z drugiej strony, mamy tutaj Afrykańczyka i człowieka o semickich rysach twarzy, co oznacza, że zbawienie dostępne jest dla wszystkich.

- Nawróconych?

- Zapewne. To już kwestia interpretacji. Ale proszę pamiętać, że ludzie średniowiecza

nie posiadali zbyt szerokich horyzontów - mruknęła. - Mamy tu jeszcze inne ukryte treści, ale tych znaczeń jest tyle, że można dochodzić do nich przez pół życia, darujemy je sobie, są ważne raczej dla teologów. Teraz lewa strona. Nasza prawa... Tutaj odwrotnie: panują chaos, panika, rozpacz. Ludzie są stłoczeni, mają wykrzywione grozą twarze i nienaturalnie powykęcane ciała, załamują ręce, płaczą. Błagają o litość, mimo że zrozumieli już, że nie ma dla nich żadnej nadziei. Szatani wciągają ich w przepaść, niektórzy skaczą w nią sami, wciągani jakby przez jakąś niewidzialną siłę. Nie ma tu życia, ziemia jest wypalona, nagie skały i ogień nie pozostawiają żadnej nadziei. To obraz zagłady naszego świata. Teraz proszę przyjrzeć się diabłom. Są groteskowe, wyglądają jak dziwaczne stwory, skrzyżowanie cech ludzkich i zwierzęcych. O, proszę zwrócić uwagę - mają skrzydła nietoperzy, głowy byków lub małp, rogi, błoniaste pazury. Oczywiście, to wszystko także ma znaczenie symboliczne, w które nie będziemy się zagłębiać. Oznaczają różne grzechy: rozpustę, obżarstwo i tak dalej. Ogólnie te dziwne mutanty symbolizują wyłamanie się z naturalnego porządku stworzenia i wrogość wobec swego stwórcy... Pan zbladł? - Spojrzała na niego uważnie.

- To bardzo sugestywne - odparł z bijącym mocno sercem. On przeżył to, o czym opowiadała. Był tam, wśród tej całej grozy. Czuł ten paniczny strach.

- Cóż, Armagedon - pokiwała głową. - Nie sądziłam, że ktoś w naszej epoce może się jeszcze aż tak tym zasugerować.

- Przepraszam, chyba mam bujną wyobraźnię - powiedział. - Czy ten Memling nie był opętany jakąś manią wymierzania sprawiedliwości? Bo dla mnie wygląda to trochę tak, jakby lubował się w tym temacie. Sceny zbawienia nie są tak żywe jak sceny potępienia. Ludzie nie tańczą, nie śpiewają, nie wykrzykują z radości. Oni się wcale nie cieszą, tylko odczuwają ulgę, że nie trafili na tamtą stronę i ominął ich ten cały horror.

- Nie - sprzeciwiła się. - Nie sądzę. Otrzymał zamówienie i wywiązał się z niego tak, jak wymagała tego mentalność epoki. A że przy okazji mógł popuścić wodze fantazji, to nic dziwnego, że z tego prawa skorzystał. Średniowiecze było zafascynowane motywem śmierci, sądu ostatecznego, nieba i piekła. Boska Komedia Dantego to najwybitniejsze literackie dzieło epoki. Temat Sądu jest po prostu wyrazem ówczesnego światopoglądu. Takim memento mori - pamiętaj o śmierci. I o wyższej sprawiedliwości, która nikogo nie ominie.

- Pewnie ma pani rację - zgodził się Emil niechętnie. - Ale czy to nie była już epoka renesansu, piętnasty wiek? Czy nie w tym samym czasie tworzył Leonardo?

- Leonardo tworzył we Włoszech - wyjaśniła. - Tam rodziły się nowe prądy. Italia wyprzedzała północną Europę średnio o wiek. Owszem, widać ślady nowej epoki w dziełach Memlinga. Proszę zauważyć: perspektywa, architektura, elementy pejzażu, sztuczki optyczne,

odwzorowanie roślin, sposób modelowania... to już są z pewnością cechy renesansowe. Ale filozofia średniowiecza była jeszcze głęboko zakorzeniona na tych terenach.

- Gdzieś jest do dziś - zaryzykował. Roześmiała się dźwięcznie.

- To prawda!

Spłoszona rzuciła okiem na zegarek.

- Ojej. - Zerwała się z krzesła i zaczęła pospiesznie pakować jakieś dokumenty. - Jestem już spóźniona! Bardzo przepraszam, muszę wyjść. Pomogłam panu?

- Jasne, dziękuję. - Pozbierał swoje materiały. - Czy moglibyśmy kontynuować tę rozmowę? Miałbym jeszcze kilka pytań.

- Oczywiście, proszę wpaść choćby jutro.

- Dziś to już niemożliwe?

- Mam spotkanie służbowe, przykro mi - odparła. - I nie wracam już potem do muzeum, kończę pracę na dziś.

- A... - zebrał się na odwagę - może mógłbym zaprosić panią na kawę po pracy? Bardzo zależy mi na tych informacjach.

Zawahała się.

- Dobrze - zgodziła się po chwili niepewności. - O osiemnastej na pewno już będę wolna. Gdzie?

- Gdzieś na Długiej?

- Więc spotkajmy się pod Neptunem - zaproponowała już przy drzwiach. - A lokal wybierzemy na miejscu.

By wypełnić sobie czas dzielący go od spotkania z panią doktor, Emil zajął się fotografowaniem. Wykonał kilka ujęć Muzeum Narodowego z zewnątrz. Urzekła go architektura tego budynku, jego proporcje i elegancja. Przeczytał w przewodniku, że imponujący późnogotycki gmach z czerwonej cegły był dawnym klasztorem franciszkańskim, adaptowanym do celów muzealnych w dziewiętnastym wieku. Przez chwilę próbował wyobrazić sobie, jak wyglądało to miejsce w tamtej odległej epoce, gdy wśród krużganków tego budynku krążyli zakapturzeni mnisi - lecz hałasy miasta uniemożliwiły Emilowi igraszki wyobraźni. Jednak idea przemiany gmachu służącego Bogu na świątynię sztuki mu się spodobała. Bo czymże są wielkie dzieła ludzkości jak nie najdoskonalszym kontaktem z Niepoznawalnym?

Następnie - przebijając się przez rozkopany Gdańsk - podjechał pod dworzec i tam zostawił samochód, a dalej już pieszo udał się w stronę starówki. Zrobił kilka ujęć bazyliki, a ponieważ była jeszcze otwarta - a nie celebrowano akurat żadnej mszy - wszedł do środka, by

sfotografować kopię w jej naturalnym otoczeniu. Myślał o napisaniu artykułu na temat samego tryptyku, może dla „Rozgwiadzy”. Ot, tak dla czystej przyjemności. Temat naprawdę go wciągnął, a spór o miejsce przechowywania oryginalnego obrazu uznał za interesujący dla wszystkich mieszkańców Gdańska, którym los arcydzieł kultury nie jest obojętny. Supertemat na wakacje.

W kościele o tej porze panował już półmrok. Wiedział, że fotografując zabytkowe przedmioty, nie wolno używać flesza, ponieważ światło lampy błyskowej jest dla nich szkodliwe. Przypuszczalnie ze zdjęcia nic nie wyjdzie, postanowił jednak mimo wszystko spróbować. Zawsze miał pewną rękę, potrafił dość długo utrzymać aparat tak, by nim nie poruszyć. Nie było już zwiedzających, co stanowiło okoliczność sprzyjającą - łatwiej będzie się skupić.

Zbliżając się do obrazu, już z daleka usłyszał jednak jakieś szelesty i czyjś przyspieszony oddech. Więc jednak nie był tu sam. Nagle zauważył, że jego kroki rozlegają się echem w ogromnym, pustym wnętrzu. Po chwili ktoś minął go pospiesznie, wynurzając się zza filaru od tej strony, gdzie wisiała kopia Memlinga. Kryjąc twarz pod rondem słomkowego kapelusza, postać przemknęła koło Emila, dopadła ciężkich drzwi - które zaskrzypiały przeraźliwie, gdy tajemniczy osobnik wyslizgnął się na zewnątrz - znikając mu z oczu. Zdziwiony Żądło przyspieszył kroku. U stóp filaru pod obrazem stała dopalająca się świeca i leżały rozsypane w nieładzie kwiaty. Tak, jakby ktoś upuścił je w ostatniej chwili i uciekł. Osobnik musiał uprawiać tu jakieś tajemnicze obrządk. A może po prostu się modlił.

Na wszelki wypadek Emil zdmuchnął świecę - pożar w bazylice byłby tragedią - po czym zebrał rozsypane kwiaty. Położył bukiet pod ścianą. Zawahał się i rozejrzał niepewnie dookoła. Dopiero teraz poczuł się jakoś niewyraźnie. Niby nic takiego, ktoś po prostu przesadził z żarliwością w modlitwie, lecz taka egzaltacja wydała mu się dziwna. Poza tym mężczyzna wyraźnie uciekał, chowając twarz pod kapeluszem. Żaden wierny nie nałożyłby kapelusza w kościele. Pogoń za jegomościem nie miała jednak sensu. Rozglądając się niepewnie dookoła, pstryknął zdjęcie. Zapragnął jak najszybciej stąd wyjść. Ogromna mroczna przestrzeń za plecami przytłaczała go, napełniała grozą. Wydawało mu się, że w cieniach filarów i zakamarkach starych kaplic coś się kryje, obserwuje go, śledzi, osacza. Nasłuchiwał przez moment; w tak głuchoj ciszy bardzo łatwo o słuchowe omamy. Nagle drzwi zaskrzypiały ponownie, a za moment usłyszał odgłos podobny do brzęczenia pęku wielkich kluczy. Nie były to omamy. Jak szalony wybiegł z kaplicy.

- Halo, halo! - zawołał na widok kościelnego, manipulującego przy drzwiach głównego wejścia.

- O! - zdziwił się stary człowiek. - O mały włos bym pana zamknął. Myślałem, że już nikogo tu nie ma. Zamykamy o tej porze, jeśli nie ma zwiedzających.

Zerknął na aparat w dłoni Emila.

- Tu nie wolno fotografować - dodał. - Chyba że bez lampy błyskowej.

Jego twarz wydała się Emilowi znajoma.

- Tak, wiem - odparł. - Proszę pana, przed chwilą był tu jakiś człowiek. Uciekł przede mną. Palił świece pod Sądem Ostatecznym.

- Może ktoś bardzo bogobojny - wzruszył ramionami starzec. - Każdy się modli po swojemu. A że niby uciekł? Mogło się tak panu tylko wydawać. Dlaczego miałby uciekać? Tu jest dom Boży.

- A, na przykład, niebezpieczeństwo pożaru?

- Sprawdź. - Stary spojrzał na Emila bystro. - Pan się nie kłopotce. Tutaj posadzki kamienne, żadnego niebezpieczeństwa nie ma.

- Dziękuję - bąknął Emil. - Do widzenia.

- Z Bogiem.

Po kilku krokach Emil odwrócił się: stary wciąż stał na progu, spoglądając za nim. Przysięgłby, że na twarzy tego człowieka gościł szydery uśmiezek.

Przechodząc koło kiosku z pamiątkami, ujrzał ze zdziwieniem słomkowy kapelusz leżący na ladzie. W kiosku siedziała starsza kobieta.

- Dzień dobry! - Podeszedł. - Jeszcze otwarte? Chciałbym kupić taki kapelusz.

Kobiecina roześmiała się.

- Nie mamy takich w sprzedaży.

- A ten?

- Kościelny zostawił, poszedł zamknąć kościół i mam nadzieję, że nie zapomni go sobie zabrać - odparła pogodnie. - Ja mam jutro zamknięte, a w te upały bez nakrycia głowy dla starych ludzi niebezpiecznie.

- No tak - zgodził się. - Jutro kiosk będzie nieczynny?

- Tak. - Kiwnęła głową. - Mam wolne. Jak pan chce co kupić to teraz, bo już zaraz zamykamy!

- Ale przecież nie pracuje tu pani sama? - podchwycił. - Nie może pani ktoś zastąpić? Szkoda interesu w sezonie, tylu turystów. Parę dni temu obsługiwał mnie tu jakiś pan. Nie ten kościelny właśnie?

- No niby tak - zgodziła się kobieta. - Ale to już właściwie były kościelny. Za stary, wie pan, a tu trzeba mieć oko na wszystko, to wielka świątynia. On już na emeryturze. Tyle że

nie raz mnie tu zmienia i czasem przy kościele pomaga. I nie cknij mu się, i zawsze parę groszy sobie zarobi. Teraz akurat nowy kościelny poszedł na urlop, bo mu siostra zachorowała, to go zastępuje. Ale z kioskiem już nie podoba, za dużo obowiązków. A czemu pan tak wypytuje, pan może z jakąś reklamacją przyszedł? - przestraszyła się nagle.

- Nie, skąd! - uspokoił ją.

- Bo to nam tu niedawno blaszane łańcuszki jako srebrne wcisnęli, i potem tylko same kłopoty przez to mieliśmy! - pożałowała się kobieta. - Klientki z awanturami przychodziły.

- To się zdarza - powiedział współczująco. - To bardzo pobożny człowiek, ten dawny kościelny, prawda? Widziałem, jak przed obrazem świece palił i kwiaty kładł.

- Tak? Możliwe, to trochę dziwak! - Machnęła dłonią wymownie. - Ale dobry człowiek. Więc jak, kupuje pan coś?

Emil nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. Tak kobietę zagadał, że nie wypadało odejść z pustymi rękami. Wypatrzył na wystawie niewielki relikwiarzyk z owalną podobizną archanioła z Sądu Ostatecznego w środku, ukazującą się po otwarciu maleńkich, ozdobnych drzwiczek.

- Może to - zdecydował się. - Poproszę.

- Ale żeby pan nie myślał, że to ze srebra! Jest tylko posrebrzany.

- Nie szkodzi - odparł z uśmiechem. - Bardzo mi się podoba.

Pani doktor Zabłocka nadeszła pospiesznie, gdy właśnie przysiadł pod fontanną Neptuna, rozkoszując się zbawienną w tym upale - bo mimo przedwieczornej pory słońce wciąż jeszcze przygrzewało dotkliwie - wodną mgiełką.

- Spóźniłam się? - zapytała zdyszana.

- Nie, jest pani punktualnie - uśmiechnął się na powitanie. - To ja przyszedłem wcześniej. Dokąd idziemy? A może jest pani głodna?

- Jadłam na mieście - odparła. - Ale mam ochotę na lody. I napiłabym się herbaty.

- Więc może w kawiarni na Długiej.

Duża sala była przepelniona, lecz udało im się znaleźć wolny stolik pod rozległą - choć sztuczną - palmą. Zamówili lody i sernik, a do tego dwie filiżanki herbaty.

- Mam dla pani prezent - powiedział, wyciągając z kieszeni paczuszkę z relikwiarzem.

- Prezent? - zdziwiła się, odwijając upominek z papieru. - A z jakiej okazji?

- W dowód wdzięczności za pomoc. Za to, że zgodziła się pani tu przyjść.

- Jaki słodki! - zawołała, oglądając błyskotkę w świetle płonącej na stoliku świecy. - O, jest i Archanioł Michał! Bardzo mi się podoba, naprawdę. Dziękuję. Postawię go sobie na biurku w pracowni.

- Cieszę się. Pani musi lubić swoją pracę, prawda?

- Kocham ją! - Oczy jej rozbliły. - To całe moje życie. Ale mówmy sobie po imieniu, dobrze? Skoro już przyjechałam od ciebie prezent... Jestem Marta.

- Emil - odparł. - Jestem za.

- No to super. - Błysnęła zębami w uśmiechu. - Wracając do rozmowy, ja naprawdę żyję swoją pracą. A Sąd Ostateczny to największa miłość mojego życia. Dlatego tu jestem. Nie odpuszczam nikomu, kto interesuje się Memlingiem. Wpadłeś jak śliwka w kompot! - roześmiała się beztrąsko.

Miejmy nadzieję, że nie ona jest tym mordercą - pomyślał Emil. Byłoby to raczej mało zabawne, fest w niej tyle uroku.

- Jesteś typowym naukowcem? - zapytał. - Całkowicie oddanym swojej pracy, niemającym czasu na życie rodzinne i towarzyskie?

- Chyba tak.

- Słodzisz? - Emil podsunął Marcie cukiernicę.

- Nie do ciasta - odparła, nabierając spory kawałek sernika na widelczyk. Jadła na przemian, lody i ciastko. Emil na razie poprzestał na lodach. Zamieszał herbatę i upił mały łyk. Kiepska. Ale trudno spodziewać się mistrzostwa smaku po ekspresówce, choćby nawet markowej. Zresztą pijał już gorsze.

- I Memling ci wystarcza? - wrócił do tematu.

- Do szczęścia? - posłała mu łobuzerski uśmiech. - Owszem. Tak mi się zdaje, nie odczuwam braku. Wiesz, są w nim wszelkie możliwe emocje.

- To fakt. Ale słyszałem, że chcą go wam odebrać? Zdaje się, że Kościół rości sobie prawa do obrazu?

- Nie denerwuj mnie. - Twarz jej spochmurniała. - To stary spór. Kompletnie absurdalny! Dopiero co spłonął tu jeden zabytkowy kościół. Tryptyk jest u nas bezpieczny, ma najlepszą opiekę i służy społeczeństwu. Cała nasza pracownia, laboratoria, sprzęt - wszystko jest podporządkowane zapewnieniu mu idealnych warunków! Nie pojmuję stanowiska proboszcza. Modlić się powinno do Boga, nie do obrazu. To jest przede wszystkim bezcenny zabytek, który mamy obowiązek chronić! Nie odpustowy obrazek, tylko unikalne dzieło sztuki, które ma ponad pięćset lat!

- Ale jest własnością Kościoła?

- Bzdura! - Ze złością odsunęła od siebie talerzyk i sięgnęła po papierosa. - On tylko wisiał w bazylice, ale zawsze należał do Gdańska i do gdańszczyzny! To znaczy, wcale nie należał... Och, to skomplikowane! Obraz był kradziony, powiedzmy to sobie szczerze. Więc

jego status od samego początku był niepewny. Może właśnie dlatego Rada Miejska zdecydowała o umieszczeniu go w kościele. Bo obrazy o tej tematyce zwyczajowo wieszano także w budynkach sądów miejskich. Dyplomatyczne posunięcie, w kościele broniła go - przypomnijmy: przed prawowitymi właścicielami - świętość miejsca i determinacja wiernych. Ale to do radnych Gdańska zwracano się z pretensjami albo propozycjami kupna, nie do Kościoła. Gdyby obraz był formalnie własnością Kościoła, to zwracaliby się do proboszcza albo biskupa. Także pierwszą renowację zarządziły i sfinansowały władze Gdańska na początku osiemnastego wieku. Były wtedy inne czasy, tryptyk wisiał w kościele, teraz są inne i wisi w muzeum, czyli w miejscu najbardziej odpowiednim dla zabytkowego malowidła!

Zarumieniona z emocji, zapaliła kolejnego papierosa i ze złością wydmuchała dym. Jej oczy miały błyskawice. Emil podziwiał ją. Podziwiał wiedzę i zaangażowanie. Imponowała mu. Lecz coraz bardziej zauważał także jej niebanalną urodę.

- Opowiedz mi o tym - poprosił. - O tym, jak obraz znalazł się w Gdańsku. I w ogóle o jego historii. Czytałem o tym trochę, ale niewiele zrozumiałem; strasznie to wszystko zagmatwane.

- Jasne. - Kiwnęła głową, oddychając głęboko, by się uspokoić. - To jest proste, tylko trzeba trochę znać ówczesne realia polityczne. Skup się. Jest wiosna 1473. Trwała wtedy wojna między Hanzą a Anglią, chodziło, najogólniej, o handel morski. Gdańsk był miastem hanzeatyckim i gdańskie okręty wojenne brały udział w blokadzie angielskich wybrzeży, jednym z tych okrętów dowodził gdański kaper, Paul Benecke...

- Czyli pirat? - Mrugnął, zabierając się za swoją porcję sernika.

- Powiedzmy - roześmiała się. - Nawet papież tak go w końcu nazwał. Papież Sykstus IV...

- No dobra, wal dalej.

- Karawela Pawła Benecke nazywała się „Piotr z Gdańska”. Nadziali się na wielki galeon, statek handlowy, który z obstawą płynął pod neutralną banderą księstwa Burgundii. Znasz już to państwko z legendy o Memlingu. Galeon nazywał się „Święty Mateusz”. Był to włoski statek przewożący towar należący do przedstawicieli Banku Medyceuszy w Anglii i Niderlandach. Medyceusze to ważniaki z Florencji. Rozumiesz?

Skinął głową.

- No więc galeon miał nieszczęście skierować się ku brzegom Anglii, a nasz kaper miał pretekst do zaatakowania go. Obstawa dała nogę, a galeon dzielnie walczył, lecz w końcu musiał się poddać. Cały ładunek został skonfiskowany przez kapitana Benecke i armatorów karaweli, też gdańszczan. Między innymi tryptyk Memlinga, ufundowany przez



jednego z agentów Banku Medyceuszy dla katedry we Florencji. I wtedy Rada Miasta przekazała obraz do bazyliki. W moim przekonaniu - jako depozyt. Naturalnie, natychmiast rozpoczęły się kroki dyplomatyczne, interweniował książę Burgundii, właściciele ładunku, Medyceusze, włoski prokurator, legat papieski, a nawet sam papież Sykstus, który wystosował nawet w tej sprawie specjalną bullę, bardzo gniewną w tonie. To w niej nazwał Pawła Benecke „piratem”. Bez rezultatów. Gdańszczanie wypięli się na wszystkich, ściemniali, grali na zwłokę. W końcu sprawa przyschła.

- Skąd my to znamy...

- Właśnie. - Marta wzruszyła ramionami. - Świat się w końcu tak bardzo nie zmienia. I w ten sposób tryptyk znalazł się u nas. Jego losy i później były burzliwe. Co rusz wpadał komuś w oko. Najpierw chciał go kupić, i to za ciężką kasę, cesarz Rudolf II w siedemnastym wieku, potem car Piotr Wielki w osiemnastym, a potem jeszcze Napoleon... W dziewiętnastym wylądował w Paryżu, już po upadku Napoleona trafił do Prus, skąd w końcu - po dziesięciu latach - wrócił do Gdańska. A potem, wiadomo, druga wojna światowa, obraz został wywieziony przez hitlerowców i ukryty w górach w Turyngii, odnaleziony przez wojska radzieckie, zwrócony Polsce w pięćdziesiątym szóstym, trafił najpierw do Warszawy - tam został poddany badaniom technologicznym i wyeksponowany w Muzeum Narodowym - a następnie wrócił do Gdańska i został umieszczony na stałe w naszym muzeum.

- O rany, historia jak z filmu przygodowego! - westchnął Emil. - Brzmi nieprawdopodobnie.

- Ale tak właśnie było. - Marta skorzystała z tego, że kelnerka odchodziła właśnie od sąsiedniego stolika, i poprosiła o następną herbatę.

- Może teraz kawa? - zapytał.

- Nie cierpię kawy - odparła. - Nigdy nie pijam kawy, jeśli nie muszę.

- A ja wolę kawę od złej herbaty - przyznał się. - Poza tym kawę rozpuszczalną najłatwiej zrobić sobie w domu. Do zaparzenia porządnej herbaty potrzebny jest czas, porcelanowy imbryczek, siteczko, inne duperele.

Parsknęła śmiechem.

- Och, dam ci imbryczek w prezencie! A co do reszty, będziesz już musiał sam się zatroszczyć. Nie zbijaj mnie z pantafelku. Jestem gotowa bronić obrazu własną piersią! Słabo mi się robi na samą myśl, że mógłby być narażony na wilgoć, pożary, wahania temperatury i, cholera wie, co jeszcze.

- Każcie zwrócić sobie koszty renowacji i konserwacji - podpuścił ją. - Przez sześćdziesiąt lat trochę się chyba zebrało. Jeśli ktoś się uważa za właściciela, niech płaci.

Szybko się zniechęca.

- Daj spokój, nie chodzi o pieniądze! - obruszyła się. - Chodzi wyłącznie o ratowanie obrazu. Trzeba przede wszystkim ocalić go dla potomności. Toż to prawdziwy skarb, należy do nas wszystkich!

- Do niewierzących także? - sprowokował ją.

- A czemu nie?! Czy trzeba wierzyć w izydę albo Apolla, żeby podziwiać ich posągi? Przecież to historia ludzkości, dorobek cywilizacji.

- Przekonałaś mnie - uśmiechnął się do niej ciepło.

- Wiesz, byłem dziś świadkiem dziwnego zdarzenia w bazylice. Jakiś facet palił świece przed kopią Memlinga. Pewnie nic by się nie stało, kamienna posadzka, obraz wisi wysoko, ale...

- Daj spokój! - przerwała z irytacją. - A nigdy wcześniej nie widziałeś świec w kościołach? To powszechne zjawisko, i to nie tylko na wsiach. Sama kiedyś byłam świadkiem, jak jakaś kobieta zapalała świeczkę przed siedemnastowiecznym feretronem w Katedrze Oliwskiej. Feretron to taki obraz, noszony w procesjach. A dookoła suche kwiaty, wstążki, serwety i falbany! Nie wspominając o ludziach. Dzieciakach. Można przewidzieć, co komu przyjdzie do głowy? Mieszkam w pobliżu i dość często tam zachodzę. Po prostu drzę na myśl, że każdy ma właściwie bezpośredni dostęp do tego feretronu. To bardzo piękny obraz. Podobno czyni cuda. On sam jest cudem, ale to nikogo nie obchodzi! Mnie tam już nic nie zdziwi.

- Ale ten facet z bazyliki był naprawdę dziwny - odparł zamyślony Emil. - Rozsypał kwiaty przed tryptykiem, tak jakby odprawiał tam jakieś rytuały, a jak mnie usłyszał, to zwiął.

- Jakiś dewot?

- Właśnie nie wiem.

Kusiło go, żeby wprowadzić Martę w temat, lecz mimo wszystko trzymał język za zębami. Odwiózł ją do domu

- mieszkała w starej Oliwie, wysiadła przy bocznej bramie do parku - wymienili się numerami telefonów i umówili na kolejne spotkanie w muzeum. Pretekstem stał się jego artykuł na temat tryptyku, lecz... chyba po prostu chciał ją znowu zobaczyć. Od dawna z nikim nie czuł się tak swobodnie i tak bardzo na swoim miejscu jak z tą szaloną, uczoną pasjonatką.

W domu zastał nagranie na sekretarce. Dzwonił Szymon Mader, prosząc o pilny kontakt. Godzina była późna, Emil odłożył telefon do następnego ranka. No, ranka jak ranka. Poprzedniej nocy nie bardzo się wyspał. Trzeba to będzie nadrobić. Zadzwoń od razu, gdy

tylko wstanie.

## ROZDZIAŁ 9

Wstał wcześniej, a pierwsze, co zrobił, ponieważ przezornie zapisał to sobie, ku pamięci, na karteczce, przyklejonej taśmą klejącą do lustra nad łóżkiem, to zadzwonił do redakcji „Rozgwiadzy”. Telefon odebrała dziewczyna. Emil od razu poznał ją po głosie.

- Redakcja, słucham - odezwała się służbowo.

- Pani Ewa? - zdziwił się. - Tu Emil Żądło. A co pani tam robi?!

- Ach, to pan - zachichotała. - Mówiłam panu, że Szymon sam zgłosił się do mnie, jeszcze przed swoim wyjazdem, i zaproponował współpracę. Zgodziłam się. To fajne zajęcie! Relaksuje mnie przed obroną dyplomu, nie można przecież przez cały czas zakuwać.

- Pewnie - przyznał z uśmiechem.

- Szymona nie ma, musiał coś załatwić na mieście, ale wiem, że prosił pana o kontakt. On dopiero co wrócił z Warszawy, ale całkiem odmieniony, twierdzi, że odzyskał zapal do pracy i ma pełno pomysłów. A pan podobno miał dla nas jakiś tekst o żeglarstwie?

- No, niby tak. - Speszył się lekko, jakoś niechętnie wracał do tego tematu. - Nadal chcecie ten reportaż?

- Szymon prosił, żeby, jeśli pan może, szybko mu podesłać tekst - odparła. - Razem ze zdjęciami. To ma być coś ekstra na początek, pójdzie na rozkładówkę. Oczywiście, honorarium nie będzie wysokie i może się trochę opóźnić, ale ja mu powiedziałam, że pan nam na pewno nie odmówi. Pomoże nam pan, prawda?

- Nie ma problemu - zgodził się, wzruszywszy ramionami. - Zaraz wyślę mailem. Adres w stopce jest aktualny?

- Tak, dzięki!

- Za chwilę powinna to pani dostać. Życzę powodzenia. Być może będę miał dla was wkrótce coś lepszego.

- Super! - ucieszyła się. - Szymon będzie zachwycony. Lubię go, wie pan? Niech pan przy okazji podjedzie, żeby podpisać umowę. Chyba że woli pan, by ją panu przesłać mailem?

- Dajcie sobie spokój, ten reportaż dam wam w prezencie! - Emil nie bardzo chciał zaprzętać sobie teraz głowę reportażem o żeglarstwie.

- Nie, nie - zaprotestowała. - My mamy zasady. Dużo nie płacimy, jak na razie, ale wszystko u nas odbywa się uczciwie i legalnie, zgodnie z prawem. Szymon mówi, że tylko

czysta gra warunkuje powodzenie. Przynajmniej nie wpędzimy się w żadne kłopoty.

- Zgadza się. - Emil pokiwał głową nad szlachetną naiwnością młodych ludzi. Ciekawe, jak szybko minie im idealizm w tej dżungli... - Wpadnę przy okazji. To na razie.

- Do zobaczenia!

Noc. Kilka godzin wcześniej

Mężczyzna jechał wolno wynajętym samochodem, w ślad za niezbyt już trzeźwym pracownikiem stacji benzynowej. Śledził go od wczoraj. Nie spuszczał z oczu, odkąd po południu chłopak potraktował go niegrzecznie przy kasie, gdy płacił za benzynę. Głos oznajmił mu, że to kolejny grzesznik, który zasłużył na karę. Czekał na niego, kiedy ten kończył pracę. Zrobił sobie tylko krótką przerwę na zmianę charakterystyki.

Teraz, kiedy szczeniak ułatwiał mu robotę, wędrując samotnie od baru do baru, mężczyzna postanowił zafundować sobie odrobinę rozrywki. Kiedy chłopak wszedł do kolejnej knajpy, poszedł za nim i przysiadł się do jego stolika. Speluna była zatłoczona, a chmury dymu ograniczały widoczność.

- Czcześć - beknął szczeniak. - Szsstawiasz?

Zamówił piwo. Najmocniejsze. Potem jeszcze wódkę, dwie kolejki, a potem znowu kolejne piwo. Szczeniak z aprobatą przyjął jego towarzystwo i darmowe trunki. Śmieć jeden... Typowy Polaczek, stwierdził mężczyzna z pogardą. Zawsze wystarczy dać im wody ognistej, żeby się sprzedali.

- Jj...ja cie skądś nie znam? - wybełkotał szczeniak po drugim kieliszku wódki.

Uśmiechnął się do niego życzliwie. Nie znasz - odpowiedział mu w myśli. Mnie nikt tak naprawdę nie zna.

Po godzinie panowała między nimi pełna komitywa. Chłopak na przemian zanosił się śmiechem lub błędnym wzrokiem wpatrywał w przestrzeń, jego ciało stopniowo stawało się coraz bardziej wiotkie, a ruchy nieskoordynowane. Mężczyzna proponował wciąż nowe napoje, tak długo, aż stwierdził, że czas już kończyć zabawę. Do jednego kieliszka dosypał odrobinę białego proszku. Po chwili szczeniak zwałił się na stół jak kłoda. Mężczyzna objął go w pasie i dźwignął z krzesła. Rzuciwszy banknot na blat i zataczając się lekko, wyprowadził chłopaka z baru i zapakował do swojego samochodu. Niczym nie odróżniali się od innych pijaków, w ciągu nocy przewijających się przez ten bar.

Wiedział już, gdzie mieszka gówniarz. Wiedział też, że mieszka sam, w szarym, odrapanym domu przy torach. Zaparkował w bocznej uliczce. Klatka schodowa była drewniana, zaniedbana i nieoświetlona, mieszkanko małe i obskurne. Chłopak tylko coś wybełkotał, lecz nawet się nie obudził. Sprawa była prosta. Z lekkim obrzydzeniem rozebrał

go do naga, a następnie udusił brudnym Jaśkiem, leżącym na niezasałanym łóżku. Prze pocone ubranie rzucił na podłogę. Szczeniak nie bronił się, pewnie nawet nie zarejestrował faktu, że oto idzie do piekła. Tylko przez ułamek sekundy jego ciałem wstrząsały konwulsje.

Mężczyzna starannie upozował zwłoki: nogi wyżej, prawa ugięta w kolanie, ręce szeroko rozłożone, głowa odchylona do tyłu i lekko zwrócona w bok. Dobrze... Pięknie! Zachichotał, widząc wyraz bezbrzeżnego zdumienia w martwych, wytrzeszczonych oczach chłopaka. A więc był jeszcze w stanie się dziwić. Teraz ostatni rzut oka na tę norę. Wszystko w porządku. Drzwi zostawi uchylone, tak żeby na pewno szybko go znaleźli. Teraz niecierpliwie oczekiwał doniesień na temat swoich dokonań. Musiał mieć pewność, że nie spotka go rozczarowanie

Gdy wymykał się na ciemną klatkę schodową, opanowała go jednak pokusa. Zawrócił. Potrzebował urozmaicenia. Chyba czas już na dalszy etap zabawy. Na stole w pokoju chłopaka dostrzegł rolkę taśmy klejącej. To ona podsunęła mu pomysł. A w końcu ten namolny pismak - zakamuflowany glina, był tego prawie pewien - i tak już się chyba wszystkiego domyślał. Nie przypadkiem przecież kręcił się jak pies wokół muzeum oraz kościoła Marii Panny.

Do zewnętrznej strony drzwi przymocował kawałkiem taśmy oderwany fragment dużej reprodukcji Sądu Ostatecznego, którą zawsze nosił przy sobie, by nie popełnić najmniejszego błędu w aranżacji i dbałości o najdrobniejsze szczegóły swego dzieła. Potem podniósł słuchawkę tandetnego telefonu stojącego na szafce nocnej obok łóżka i wykręcił numer alarmowy. Schrypniętym szeptem poinformował policję o kolejnej ofierze sądu Bożego, którą posłał do piekła. Odsunął słuchawkę od ucha, odczekał chwilę dla zwiększenia efektu grozy, a następnie powoli odłożył ją na widełki.

Dopiero gdy siedział już za kierownicą swego auta, zdjął cieniutkie rękawiczki i wrzucił je do schowka. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku włączył radio i, kierując samochód w stronę centrum, z przyjemnością poddał się uczuciu radosnego upojenia.

Około dziesiątej rano

Emil porządkował właśnie swoje notatki, gdy donośne dźwięki peruwiańskiej melodii, dobiegające z jego telefonu komórkowego, oderwały go zniemacka od tego zajęcia. Na ekranie wyświetlił się numer komórki Zebry.

- Jak chcesz być na fali, to przyjeżdżaj na miejsce zbrodni! - podkomisarz mówił szybko. - Przy wejściu powołaj się na mnie. Mamy kolejnego trupa. To, cholera jasna, wygląda na ciąg dalszy popisów tego twojego Memlinga!

- Gdzie? - Emil nie tracił czasu na dyskusje. Zapisawszy adres na pudełku papierosów,

porwał tylko aparat fotograficzny, dyktafon oraz notes i wybiegi szybko z domu. Kompletnie zapomniał o niezjedzonym jeszcze śniadaniu. W ostatniej chwili zabrał także z biurka broszurę z reprodukcją obrazu. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie...

## ROZDZIAŁ 10

Emil przeciął Hallera i skręcił wzdłuż terenu Akademii Medycznej, a następnie jeszcze przez chwilę kluczył wąskimi uliczkami, zanim znalazł właściwą kamienicę. Na ulicy stał już tłumek gapiów, trzymany w bezpiecznej odległości przez umundurowanych policjantów.

- To przecież alkoholik, pani kochana, guza szukał, to i znalazł... - usłyszał donośny komentarz z grupki podekscytowanych sąsiadów. - Ja tam mu zawsze mówiłam, że źle skończy! No i dograł się wreszcie.

Przepchnął się w tłumie i podszedł do jednego z policjantów.

- Moje nazwisko Emil Żądło - powiedział półgłosem. - Podkomisarz Zebra czeka na mnie.

- A tak. - Policjant zerknął na niego przelotnie. - Poznaję pana. Tędy na górę, ten przy wejściu jest uprzedzony.

- Dziękuję. - Emil pokonał drewniane schody i dotarł do uchylonych drzwi mieszkania, w którym kręciło się dużo ludzi, a przy barierce schodów stał policjant. Na dźwięk nazwiska Emila skierował go do niewielkiego mieszkania:

- Pan podkomisarz czeka - rzucił, przyglądając mu się ciekawie. - Proszę wejść, jeśli ma pan mocne nerwy.

- Aż tak źle?

- Zwłok jeszcze nie zabrali, to sam pan zobaczy. Parszywa historia. - Miody policjant pokręcił głową. - Świr jakiś albo zboczeniec.

Tuż za miniaturową sionką znajdował się niewielki pokój. Panowały tu nieprzyjemny zaduch i bałagan. Na rozbebeszonym łóżku w groteskowej pozie leżał nagi młody mężczyzna z obrzmiałą, siną twarzą, wpatrując się w Emila nabiegłymi krwią wytrzeszczonymi oczami, w których zastygło pełne zgrozy zdumienie. Jego chude, blade ciało zostało upozowane w znajomy już sposób. Po pomieszczeniu krzatali się technicy policyjni, strzelały flesze. Emil odszukał wzrokiem Zebra. Marek skinął na niego, by podszedł bliżej.

- Mogę fotografować?

- Na własny użytek - odparł podkomisarz. - Mam do ciebie zaufanie i nie będę ci mówił, że tych zdjęć nie wykorzystasz w prasie.

- Właśnie to powiedziałaś. - Emil uśmiechnął się z przymusem. - Nie miałem takiego



zamiaru.

Pstryknął kilka ujęć martwego chłopaka oraz wnętrze mieszkania. Zwłoki nie leżały w kałuży krwi ani też nie zostały uszkodzone - mężczyzna najwyraźniej zginął wskutek uduszenia - a jednak sprawiały tak makabryczne wrażenie, że Emilowi, który odwykł już od podobnych widoków, trudno było patrzeć na ciało bez nieprzyjemnego dreszczu. Groza polegała nawet nie tyle na fizycznej okropności zbrodni, lecz raczej na rozmyślnym ośmieszeniu denata, odarciu martwej istoty z wszelkiej godności.

- Niepiękny widok, co? - odezwał się Zebra. - Nawet dla gliniarzy. Jednego nowicjusza trzeba było odesłać na dół, cały nam zzieleniał.

Stanęli w progu klitki z boku pokoju, służącej najwyraźniej za kuchnię. Emil wyjął z kieszeni reprodukcję.

- Możesz to schować. - Marek podał mu foliową kopertę. Zerknij na to. Było przyklejone do drzwi od strony klatki schodowej.

W kopercie tkwił duży skrawek zdjęcia Sądu Ostatecznego, ukazujący potępionych, wśród których na pierwszym planie wyróżniała się postać mężczyzny. Emil z miejsca rozpoznał pozę, jaką skopiował morderca, układając ciało ofiary.

- Zostawił to morderca?

- Nie ofiara przecież. Jasne, że morderca. Tak więc potwierdził naszą... twoją tezę. Tym razem zostawił wizytówkę. I coś jeszcze. Posłuchaj tego.

Podał Emilowi mały odtwarzacz i słuchawki. „Właśnie poszłam do piekła następną ofiarę sądu boszego...” - usłyszał stłumiony, chrapliwy szept, zakończony upiornym chichotem. Zdumiony spojrzał na kolegę.

- To on?! Zadzwoił do was?! Skąd?

- Stąd - wyjaśnił Zebra. - Z miejsca zbrodni. Ma tupet i robi się coraz bezczelniejszy. Tym lepiej dla nas.

- Ustaliliście coś?

- Jak dotąd nic. Pobraliśmy odciski palców, ale założę się, że nic nam to nie da. Facet jest zbyt cwany, by zostawiać za sobą ślady. Ale na tyle szalony, żeby nas prowokować. W końcu powinie mu się noga.

- Oby mu się powinęła, zanim osądzi kolejne ofiary. Słuchaj, ten głos... Dziwny akcent. Sepleni, czy co?

- Nie przywiązuj do tego wagi - wzruszył ramionami Zebra. - To może być celowa zagrywka, mająca nas zmylić. Do tego chyba zakrył czymś gębę, żeby zmniejszyć i przytłumić głos. Jedno da się ustalić z całą pewnością, to mężczyzna. Kobieta odpada, chyba że fenomen

przyrodniczy.

- Wiadomo coś o ofierze?

- Mateusz Ryszko, dwadzieścia trzy lata, pracownik stacji benzynowej przy obwodnicy, kawaler, rodzina na wsi za Gdańskiem, wielodzietna; rodzice i czworo młodszego rodzeństwa. Lubił wypić, często przyprowadzał gości, obojga płci. Sąsiedzi uważają, że naciągnął jakiegoś geja, żeby mu stawiał alkohol, i miał pecha... Wiesz, dla prostych ludzi gej to zboczenie i tyle. Morderstwo na tle rabunkowym według nich odpada, chłopak był biedny. Podejrzewają jeszcze narkotyki, handel, zemstę i tak dalej. A propos, coś w tym może być, wygląda na to, że chłopak przed śmiercią coś zażył. Albo mu to zaaplikowano. Jak tym twoim znajomym. Morderca zatelefonował do nas o drugiej w nocy. Nikt z sąsiadów nie widział ani nie słyszał niczego, wszyscy spali. Nasi ludzie obskoczyli już kolegów z pracy, ale ci też o niczym nie wiedzą. Naturalnie wszystko sprawdzimy. Przed kwadransem dzwonił nasz wywiadowca, że podobno ktoś widział tego chłopaka w pobliskim barze z jakimś drugim facetem, ale rysopisu nie potrafią podać. Gość jak gość - wyjął z kieszeni kartkę, gdzie zanotował dane, otrzymane od wywiadowcy. - Wiek nieokreślony, ale raczej starszy od domniemanej ofiary, ubrany zwyczajnie, ani gruby, ani chudy, włosy chyba czarne. Świetny opis, co? To też jeszcze sprawdzimy. Bo może wcale nie tego chłopaka tam widzieli, co jest bardzo prawdopodobne - dodał z goryczą. - Zwykle tak bywa, gdy kogoś szukamy. Emil wyjął papierosa.

- Można tu palić?

- A pal sobie! - Machnął ręką Zebra. - Może zapach dymu zabije ten smród. Chłopak nie należał do pedantów. Przyjechali po zwłoki. Nareszcie. Muszę przyznać, że sam mam dość tego widoku. Ten sukinsyn musi po prostu nienawidzić ludzi.

- No właśnie - podchwycił Emil. - Żeby tak znać powód tej nienawiści!

- Ba - mruknął podkomisarz. - Wtedy zapewne mielibyśmy motyw. A jak jest motyw, to i zabójca zwykle wyłazi czarno na białym.

- Seksualny jednak wykluczacie?

- Niczego nie można wykluczyć. Ale poza faktem, że zwłoki są obnażone, nie ma żadnych śladów działań o charakterze seksualnym. Ani w tym, ani w poprzednich przypadkach. Przynajmniej na razie. - Skrzywił się Zebra.

Emil z ulgą obserwował, jak nosze ze zmarłym opuszczają pomieszczenie i znikają na schodach.

- A co może łączyć ofiary? - zapytał ni to Zebra, ni to sam siebie. Podkomisarz zerknął na niego z ukosa.

- Też o tym myślałem.

- I co?

- O ile to rzeczywiście ten sam sprawca - zastrzegł się Zebra.

- Jasne.

- No więc... Ofiar chyba nic ze sobą nie łączy. To przypadkowi ludzie. Mężczyźni i kobiety, owszem, wszyscy młodzi, ale to może być tylko przypadek. Pierwsza ofiara miała koło trzydziestki, twoja para dwadzieścia cztery i dwadzieścia sześć, ten tutaj dwadzieścia trzy lata. Odmienne środowisko, tu kelnerka, tu absolwentka uczelni, tu dziennikarz, a tu pomocnik ze stacji benzynowej. Raczej się nie znali. Nic, żadnych związków.

- Wydaje mi się - powiedział Emil niepewnie - że morderca dobiera ofiary w typie postaci Memlinga. Przynajmniej jeśli chodzi o kobiety. Zobacz, obie dziewczyny miały długie, rudawe włosy.

- No fakt, ale to tylko dwie dziewczyny, za mało, żeby widzieć w tym jakąś prawidłowość.

- I oby ich więcej nie było - mruknął ponuro Emil. Zebra pokiwał głową.

- Tak, paradoks - rzucił przez zęby. - Potrzebujemy więcej danych, żeby złapać zabójcę, zanim to on właśnie nam ich dostarczy.

Nagle Emil ożywił się.

- A miejsce zamieszkania?

- Co „miejsce zamieszkania”? - zdziwił się Marek. - Każdy mieszkał gdzie indziej. Tyle że wszyscy w Gdańsku.

- No właśnie! Wszyscy byli z Gdańska. A przecież tutaj mamy w sezonie drugie tyle turystów, co mieszkańców! A może i jeszcze więcej się ich przewija. Zauważ, są wakacje, tłumy z całej Polski, a może i z całego świata, a ten załatwia tylko stałych mieszkańców. - Emil zaciągnął się łapczywie papierosem i spojrzał na kolegę tryumfalnie.

- E, fantazjujesz... - powiedział niepewnie Zebra. - Chociaż... może i coś w tym jest. Sądzisz, że załatwia tu jakieś porachunki?

Tym razem to Emil wzruszył ramionami.

- Albo tak mu się tylko wydaje.

Zgasił papierosa pod zlewem, zawinął niedopałek w chustkę do nosa i schował do kieszeni.

- Gdańsk to specyficzne miasto - dodał po chwili. - Specyficzne położenie, specyficzna historia. To daje do myślenia.

- Tak - zgodził się Zebra. - Myśl, w intelektualnych łamigłówkach jesteś lepszy ode

mnie. fak znowu na coś wpadniesz, zadzwoń, umówimy się na piwo.

- Polecę już. Chciałbym jeszcze pogadać z tymi sąsiadami.

- Gadaj, choć my już ich przemaglowaliśmy, zero efektów. Mam prośbę, na razie nadal ani słowa o Memlingu i o seryjnym mordercy. Nie ma co siać paniki, skoro nic jeszcze nie wiemy na pewno. Choć dziennikarze i tak pewnie zwietrzą sensację.

- To ich praca - uśmiechnął się Emil krzywo.

- Wiem. Twoja też. Ale na razie siedź cicho, dobrze?

- Jasne. Nie musisz mi tego sto razy powtarzać.

Zebra wyszedł za nim na schody. Przystanęli jeszcze na podeście. Umundurowany posterunkowy wycofał się dyskretnie.

- A wiesz - zagadnął Zebra, a jego policzki znów przybrały kolor włosów. - Przeprowadzałem rozmowę z matką tej... Z matką Doroty Branieckiej.

- Z Marią Braniecką?

- Tak. Musiałem jeszcze uzupełnić zeznania do raportu. Wiesz, to naprawdę piękna kobieta. I mądra. Gdyby nie okoliczności... Tyją znasz osobiście, nie?

- Znam od lat - odparł Emil ciepło. - Masz rację, to niezwykła kobieta. Odwiedzaj ją jak najczęściej, ona teraz potrzebuje życzliwej duszy - klepnął kolegę w ramię. - Tak trzymaj, stary. Chroń ją, wspieraj moralnie, od tego także jesteście! Wsadź do pudła mordercę jej córki. A jak to wszystko się skończy, to kupisz kwiaty, butelkę wina i złożymy pani Marii prywatną wizytę...

- Ona lubi herbatę - odparł Zebra. Płoneły mu policzki, oczy i czupryna.

- Wiem.

Tak jak Marta - przypomniało mu się. Marta...

- Wracając do sprawy - głos Zebry wytrącił go z zamyślenia. - Może jednak należałoby przyjąć hipotezę, że mordercą jest ktoś z... no wiesz, z branży muzealnej? Albo jakiś fanatyk religijny, albo chory wielbiciel Memlinga?

- Ale kobieta odpada? - upewnił się z uczuciem ulgi.

- Wstępnie tak.

- Poszperam w tym środowisku, mam tam dojście. W przeciwieństwie do ciebie mogę to zrobić nieoficjalnie. A co do fanatyków, masz rację. Trzeba to brać pod uwagę. Przy okazji coś ci opowiem, tylko sam muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Przypomniał mu się dziwny incydent z bazyliki.

- To coś, co może mieć związek ze sprawą? - zainteresował się Zebra.

- Chyba nie - odparł. - Po prostu... paralela.

- Para... co?

- Nieważne! -- Machnął ręką Emil, parszkając śmiechem. - Daj spokój! Lecę. To cześć. Będziemy w kontakcie.

Gdy zszedł na dół, zauważył, że tłumek przed klatką jeszcze się chyba powiększył. Pomiędzy podnieconymi mieszkańcami okolicznych domów krążyło już kilku dziennikarzy. Paru znał nawet z widzenia. Takie informacje szybko się rozchodzą. Czatuja na Zebra, uśmiechnął się do siebie pod nosem. Ale na razie opędzał się od nich tylko posterunkowy. Ludzie z kolei wypowiedali się chętnie. Pokrążył wśród nich z dyktafonem, lecz nie usłyszał nic ponad to, czego dowiedział się od przyjaciela. Nie ma tu już czego szukać.

Zawrócił do samochodu. Po chwili namysłu skierował się prosto do domu. Chciał wreszcie uporządkować swoje notatki i spokojnie pomyśleć. Po drodze włączył lokalną stację w radiu. Zebra miał rację - media już podchwyciły temat. Na razie jeszcze nieśmiało, ale po południu - najdalej w wieczornych wiadomościach regionalnych - już wszędzie będzie grzmiało nową sensacją dnia.

## ROZDZIAŁ 11

Nie pomylił się. Wczoraj może jeszcze nie aż tak bardzo, ale już od samego rana w mediach dosłownie huczało. I to nie tylko w lokalnych stacjach - temat podchwyciły nawet rozgłośnie ogólnopolskie. Nic dziwnego. Trudno było nie dostrzec, że w Trójmieście coś się dzieje. Trzecie podobne zabójstwo z rządu - cztery ofiary - nie mogło umknąć uwagi ani dziennikarzy, ani zwykłych ludzi. Przebąkiwano już coraz śmielej o seryjnym zabójcy, grasującym na Wybrzeżu. Gdyby znali szczegóły, sensacja byłaby jeszcze większa. Mieszkańcy Gdańska byli wzburzeni, wśród turystów zapanowało poruszenie. Niektórzy deklarowali natychmiastową ucieczkę z zagrożonego miasta - a jednak przyjezdnych wcale nie ubywało. Jeśli nawet jakaś część gości wyjechała, to na ich miejsce natychmiast przybywali nowi. Zwabieni lub przynajmniej podekscytowani atmosferą zbrodni. W sezonie najczęściej niewiele dzieje się w życiu publicznym, polityka toczy się zwykle na zwolnionych obrotach, zewsząd wieje nudą. Dla ludzi potrzebujących zastrzyku adrenaliny seryjny zabójca to nie lada gratka. Nie do wszystkich dociera realność zagrożenia. Niektórzy obserwują rzeczywistość tak, jakby oglądali kolejny film w telewizji, według zasady, że emocje są, ale „mnie to przecież nie dotyczy”. Emil nie zazdrościł w tej chwili policji i władzom miasta. Zapewnienie bezpieczeństwa w sezonie to podwójne wyzwanie. Podobnie jak szukanie wśród tych tłumów mordercy.

Postanowił jak najszybciej spotkać się z Martą. Chciał powiedzieć jej o wszystkim, prosząc o dochowanie tajemnicy. Zdawał sobie sprawę z tego, że być może postępuje nieprofesjonalnie, wtajemniczając postronną osobę, jednak przyświecały mu dwa cele. Po pierwsze - może przy jej pomocy wpadnie na coś istotnego, fest muzealnikiem, zna od podszewki zagadnienia związane z Sądem Ostatecznym Memlinga, z którym - z tajemniczych powodów - identyfikuje się morderca. Po drugie, pragnął przestrzec Martę. Zwłaszcza dlatego, że była tak związana z tym obrazem, z tym środowiskiem. Ale także dlatego, że nie wiedzieć czemu, wydawała mu się bliska. Znali się tak krótko, a jednak niemal od pierwszego spotkania nie była mu obojętna. Łączyła ich jakby niewidzialna nić. Miał wrażenie, że zna ją od zawsze, że nie tyle poznał ją dopiero, co rozpoznał. Odnalazł. I nie chciał jej stracić po raz drugi...

Zawiadomił ją esemesem, że zamierza wpaść do muzeum, o ile nie jest bardzo zajęta. Odpisała, że o drugiej ma już wolne i mogliby spotkać się przed tryptykiem. Zgodził się na to

z ochotą. Oglądanie obrazu chyba wchodziło mu powoli w nałóg. Na biurku i na ścianie nad łóżkiem miał reprodukcje, lecz sama myśl o ponownym obejrzeniu Sądu na żywo powodowała nastój niecierpliwego oczekiwania. Nie wiedział, czy bardziej ucieszy go widok Marty czy Memlinga. Niewątpliwie podziwianie obrazu w jej towarzystwie stanowić będzie walor dodatkowy.

- Cześć! - Nadeszła szybkim krokiem; w rozpiętym białym fartuchu z rozwianymi połami wyglądała po prostu zjawiskowo.

- Cześć - odparł z uśmiechem. - Pusto tu dzisiaj.

- No wiesz, muzeum to nie salon gier! W taki upał ludzie wolą siedzieć na plaży albo w kawiarnianym ogródku.

- Nie wiedzą, co tracą.

- Pewnie. Ale wiadomo, że sztuka jest rozrywką elit, przykro mi to mówić, mam nadzieję, że nie uznasz mnie za snobkę?

Roześmiał się.

- Uznam. - Uśmiechnął się przekornie. - Z tym, że ja akurat bardzo lubię konstruktywny snobizm.

- Teraz i tak jest lepiej niż kiedyś - stwierdziła. - Pewnie dlatego, że przyjeżdża więcej turystów i chcą zwiedzać. A w ciągu roku mamy dużo zajęć z młodzieżą. I niektórym dzieciakom naprawdę to się podoba! Może następne pokolenia będą bardziej... świadome? Podziwiałeś Sąd?

- Tak - powiedział. - Trudno od niego oderwać oczy. Powiedz, jak ten facet to zrobił?

- Co?

- Te kolory - wyjaśnił. - Są takie czyste i lśniące, a jednocześnie wydają się prawie przezroczyste, jak malowane na porcelanie, a nie na deskach. A poza tym to wygląda, jakby namalował go wczoraj, a nie pięćset lat temu!

- Staramy się. - Spojrzała z dumą na malowidło. - Mówiłam ci już, że obraz jest pod stałą opieką. Ale co do kolorów, masz rację. Memling stosował tak zwane medium żywiczne, dodane do farb olejnych, co pozwalało na uzyskanie błyszczącej i gładkiej powierzchni malarskiej. W ten sposób osiągnął tę cudowną przejrzystość, głębię i czystość barw - jak w emalii - w dodatku zachowaną do dziś. Warstwy malarskie bez żywicy są głuche i martwe. Zwracam twoją uwagę na fakt, że w tamtych czasach nie kupowało się farb w sklepie z artykułami dla artystów, tylko każdy malarz opracowywał je i przygotowywał sam, ewentualnie przy pomocy uczniów.

- Niesamowite - przyznał szczerze. - Wiesz, ja do tej pory nie bardzo interesowałem

się sztuką. Lubiłem oglądać obrazy i rzeźby, doceniałem wagę zabytków, ale nie miałem czasu, żeby zgłębiać te problemy. To tak jak... wiesz, jeden ogląda film wyłącznie dla rozrywki i nawet nie wie, kto jest reżyserem, a ktoś inny nie tylko ogląda, lecz też interesuje się kinematografią. Rozumiesz? Teraz żałuję. Głupio mi, że taki jołop ze mnie!

Marta popatrzyła na niego z żartobliwym politowaniem.

- Nie musisz się tłumaczyć - powiedziała karcąco. - Każdy ma jakąś swoją dziedzinę. Ja nie znam się na wielu rzeczach. Właściwie to jestem dobra tylko w swoim zawodzie. Poza tym totalna ze mnie ignorantka!

- Ale widzisz - stropił się. Nie bardzo wiedział, jak jej to powiedzieć. - Powinnaś wiedzieć, z jakiego powodu zainteresowałem się tak naprawdę Memlingiem. Cholera, to skomplikowane.

- Chodźmy lepiej do mnie na górę - zaproponowała. - Powiesz mi to, siedząc i pijąc herbatę. Przy okazji pobieram swoje rzeczy. Kończę pracę o czwartej, możemy wyjść razem. Odprowadzisz mnie na kolejkę.

- Pozwolisz mi sfotografować obraz? Zawahała się.

- No dobrze. Ale bez flesza.

- To jasne! - Ucieszył się, wyciągając z torby rozkładany statyw. - Ja nigdy nie używam lampy błyskowej.

- To pstrykaj i idziemy do mnie.

Z satysfakcją zarejestrował, że na biurku w gabinecie stoi prezent od niego - srebrny relikwiarzyk. Zza otwartych drzwiczek spoglądał na nich w skupieniu Michał Archanioł, piękny młodzieniec w lśniącej zbroi, z dziewczęcą twarzą i włócznią w dłoni.

Marta włączyła elektryczny czajnik, zdjęła fartuch i powiesiła go na wieszaku. Pod nim miała na sobie dzinsy i białą koszulkę, a na jej szyi połyskiwał naszyjnik w kształcie węża. Wyjęła z szafki dwa kubki i puszkę herbaty.

- A może ty wolisz kawę? - zapytała. - Kawę też tu mamy.

- Wszystko jedno - odparł z roztargnieniem. - Czy wolno tu palić?

- Nie wolno. - Uśmiechnęła się, otwierając na oścież okno. - Ale zapalimy...

Postawiła na biurku spodeczek zamiast popielniczki i podsunęła mu kubek.

- Zamieniam się w słuch. - Usiadła wreszcie naprzeciw niego.

- Spójrz na to. - Podał jej płytkę ze zdjęciami z miejsca ostatniej zbrodni oraz wydruki paru fotografii policyjnych, które Zebra przesłał mu pocztą internetową. Marta wsunęła płytkę do swojego laptopa, na jej twarzy ujrzał zdumienie i niesmak. Jakby niepewna tego, co widzi, założyła okulary do czytania. Zerknęła na wydruki i jej oczy rozszerzyły się.



- Co to jest? - zapytała wstrząśnięta, podnosząc na niego wzrok, w którym powoli pojawiała się zrozumienie.

- To są zdjęcia z miejsc zbrodni - odparł. - Te morderstwa popełniono w ostatnim czasie. Przykro mi, że musiałas na to patrzeć, ale inaczej byś mi nie uwierzyła.

- Jesteś gliną?

- Nie, ale kiedyś byłem. Jestem dziennikarzem, nie okłamałem cię. Prowadzę prywatne śledztwo, choć w porozumieniu z policją. Czy te zdjęcia coś ci przypominają?

- To oczywiste. - Patrzyła na niego z przerażeniem. - Ktoś naśladuje Memlinga. Ale kto? I dlaczego?!

- Właśnie tego muszę się dowiedzieć. Chciałem cię ostrzec. Poza tym... Mogę potrzebować twojej pomocy.

- W jakim sensie?

- Znasz się na Memlingu i znasz środowisko.

Emil pstryknął zapalniczką i podsunął jej ogień, widząc, że ścisła w dłoni niezapalony papierosa.

- Rozumiem. - Zdjęła okulary i przetarła oczy, a także czoło, jakby ją zabolęły.

- Mogę na ciebie liczyć?

- Tak, oczywiście. - Kiwnęła głową. - O ile będę w stanie ci pomóc... Ale musisz mi opowiedzieć wszystko, co wiesz. To te morderstwa, o których tyle trąbią ostatnio w telewizji? Te z Gdańska?

- Te same - przytaknął.

- Chodźmy stąd. - Poderwała się nagle. Zebrała kubki, spodeczek i łyżeczki; przepłukała je szybko nad małą umywalką. - Potrzebuję więcej powietrza. Odprowadzisz mnie? Pogadamy po drodze.

- Nie odprowadzę, tylko odwiozę cię do domu - oświadczył. - A po drodze opowiem ci, co wiem.

- Ten facet! - Marta kurczowo chwyciła go za ramię, gdy wyszli z muzeum. - Ten w szarej koszuli! Znam go. On stale przesiaduje przed Memlingiem.

- Jak to przesiaduje? - Emil rzucił okiem za przygarbioną sylwetką znikającego za drzewami mężczyzny w szarej koszuli.

- To jakiś dziwak, przychodzi, siada przed obrazem i tak spędza czasem nawet parę godzin.

- Zaczekaj tu!

Wyciągając aparat, puścił się biegiem w ślad za facetem. Minął kilka drzew i wbiegł

w uliczkę na tyłach budynku. Ujrzał tam kilka osób, lecz siwy mężczyzna w szarej koszuli zniknął mu z oczu. Zdawało mu się, że gdzieś już widział tego człowieka, jednak nie był pewien - starsi ludzie często wyglądają podobnie.

- Gdzieś mi przepadł - powiedział, gdy wrócił do czekającej niespokojnie Marty. - Słuchaj, jak ten facet znów będzie siedział przed obrazem, to daj mi znać. Zadzwoń i zatrzymaj go pod jakimś pretekstem, dobrze? Chciałbym zerknąć na niego z bliska. Bo z daleka wydał mi się jakby znajomy.

- Pewnie będzie na nagraniu z kamery - odparła. - Zawsze myślałam, że to nieszkodliwy pasjonat, ale teraz, w tym kontekście...

W drodze do Oliwy Emil opowiedział Marcie historię swojego śledztwa. Z powodu robót drogowych Gdańsk był rozkopany i poznaczony objazdami. Zanim dotarli do obwodnicy, minęła prawie godzina - mieli więc sporo czasu na rozmowę. Mimo to zleciał im szybko: zanim się obejrzel, skręcali już w ulicę Spacerową. Po chwili - cudem chyba uniknęli potężnych o tej porze korków na tym krętym, wąskim odcinku dawnej szosy, biegnącej wzdłuż oliwskich lasów - minęli zakręt prowadzący w stronę oliwskiego zoo i do słynnej Doliny Radości, a potem rozległy staw i budynek historycznego młyna. Na wysokości zabudowań katedralnych Marta kazała mu skręcić w prawo, w krętą uliczkę, biegnącą ku górze, przy której stały stare wille i kamienice - niektóre pięknie odnowione, inne szare i zaniedbane.

- To tutaj - oznajmiła i po chwili wahania zapytała: - Wejdiesz?

Dom był żółty, niski i schludny. Miał dwoje drzwi, a pod oknami - przyozdobionymi jasnozielonymi okiennicami - znajdowały się miniaturowe ogródki, pełne kwiatów. Marta zaprowadziła go do drzwi wejściowych, znajdujących się z lewej strony. Na obu krańcach czystego przedsionka znajdowały się dwa mieszkania - to z prawej należało do Marty. Wąski korytarzyk prowadził do obszernego salonu, z którego wchodziło się do drugiego pokoju, zapewne sypialni. Po obu stronach korytarzyka były drzwi do kuchni oraz maleńkiej łazienki. Na powitanie wyszedł im wspaniały, rudy kocur o długiej sierści i, mrużąc, otarł się kilkakrotnie o nogę Marty.

- To jest Bolero - przedstawiła mu kota, który łypnął podejrzliwie na Emila, po czym całkiem go zignorował, tańcząc wokół nóg swojej opiekunki. - Ma tak na imię, ponieważ kocha Bolero Ravela. Jest bardzo muzykalny. - Uśmiechnęła się czule, biorąc kota na rękę.

Salon był jasny i przytulny, choć urządzony z prostotą. Na podłodze japońska mata, ażurowe firanki w oknach, półki pełne książek, dębowy stół i para niskich, wygodnych, staroświeckich foteli. Niewielka sofka, na której ułożył się Bolero. Duży kwiat w terakotowej

donicy na podłodze pod oknem. Na ścianach obrazy, w tym - oczywiście - duża reprodukcja Sądu Ostatecznego Memlinga, oprawiona w proste, czarne ramy. Druga - z fragmentem obrazu, przedstawiającym raj - stała na stoliku, oparta o niski parapet.

- Tak - powiedziała Marta, podążając w ślad za spojrzeniem Emila. - Mam świra na jego punkcie. Nie jestem podejrzana? Nie sądzisz chyba, że w wolnych chwilach zajmuję się urzeczywistnianiem wizji Memlinga?

- Nie sądzę. - Uśmiechnął się. - Myślę, że dla ciebie on jest sam w sobie wystarczająco rzeczywisty.

- Masz rację. - Marta włączyła odtwarzacz kompaktowy, z którego popłynęła muzyka Ravela. Kocur podniósł głowę, przymknął oczy, a po chwili spod falującego, rudego futra dobiegło pełne zadowolenia mruczenie. - Napijesz się czegoś? A może jesteś głodny? Mogę zrobić jakieś kanapki.

- Nie, dzięki - odparł Emil, podchodząc do półek z książkami. - Nie będę ci przeszkadzał. Spieszę się, chcę jeszcze podjechać do redakcji tej bezpłatnej gazetki, o której ci opowiadałem.

- W porządku.

Na półkach stały głównie fachowe pozycje poświęcone sztuce, liczne albumy z malarstwem, trochę słowników, klasyka europejska - zauważył Czarodziejską górę i Doktora Faustusa Tomasa Manna, Fausta Goethego, Raj utracony Milтона w wydaniu kieszonkowym, dramaty Szekspira, antologię poezji łacińskiej oraz stare, bardzo piękne wydanie Dantego - ale były tu również Wichrowe wzgórza Emily Brónte, powieści Eco i Marqueza - a także pokaźny rząd kryminałów, głównie Agaty Christie i Joe Alexa.

- Lubisz czytać?

- Uwielbiam - odparła. - A ty?

- Ja też. Kiedy mam czas. Ale wolę MacLeana od Agaty Christie.

Roześmiała się.

- Domyślam się! Czym jeszcze się interesujesz? Poza pracą.

- Lubię jazz - wzruszył ramionami. - I turystykę górską. Kiedyś zbierałem znaczki, ale teraz je już tylko oglądam. Poza tym naprawdę zamierzam napisać artykuł o Memlingu, jeśli mi w tym pomożesz.

- Niezależnie od śledztwa?

- Niezależnie.

- Co jeszcze lubisz?

Zrobił to zupełnie odruchowo. Podszedł do niej, ujął ją za ramiona i spojrzał jej prosto

w oczy.

- Ciebie - szepnął. - Lubię ciebie...

Kiedy ich wargi zetknęły się, pokój zawirował, a muzyka jakby przybrała na sile. Kątem oka dostrzegł wpatrzone w nich, pełne niepokoju, zielone oczy kota. Dopiero teraz zauważył, jak podobne są oczy Marty. Kocie oczy. Smak jej ust oszołomił go, dotyk dłoni na swoich ramionach przyprawił o dreszcze. Miękkie kosmyki kasztanowych włosów łaskotały go w policzki... Z trudem oderwał się od jej warg.

- Muszę iść - powiedział zmieszany. Patrzyła na niego z zagadkowym uśmiechem.

- Uciekasz?

- Nie - odparł. - Naprawdę muszę iść. Chcę to wszystko przemyśleć.

- To wszystko? - Tak.

- Dobrze - powiedziała. - Ale nie myśl za dużo, zdaj się na intuicję. Mam na myśli, oczywiście, twoje śledztwo - mrugnęła.

- Zadzwoń - dodał, idąc w stronę drzwi, odprowadzany czujnym spojrzeniem nieruchomych oczu Bolera.

Emil nie pojechał już tego dnia do redakcji „Rozgwiadzy”. Wrócił prosto do domu, nastawił płytę Milesa Davisa i rzucił się na tapczan, paląc papierosa za papierosem. W głowie szumiało mu jak po wódce. Ale było to miłe uczucie. Tak naprawdę wcale nie miał ochoty myśleć. Musiał tylko uporządkować burzę uczuć, kłębiących się w środku. W końcu otworzył butelkę piwa i poddał się zalewającej go fali płynącego gdzieś ze środka elektryzującego ciepła, którego już nigdy nie spodziewał się zaznać...

## ROZDZIAŁ 12

Nazajutrz obudził się wypoczęty i w doskonałym nastroju. Tak jakby nałykał się rozweselających pastylek - wszystko go bawiło, zachwycało, napawało optymizmem, zachęcało do działania. Był nawet głodny, jak nigdy rano. Zalał zimnym mlekiem pokaźną porcję płatków kukurydzianych, dołał odrobinę wrzątku, by było letnie, i zjadł na stojąco. Dopijając kawę, zapalił papierosa i w tym momencie odezwał się telefon.

- Halo?

- Dzień dobry, mówi Szymon Mader, z „Rozgwiadzy”.

- A, dzień dobry. - Emil strzepnął popiół na spodeczek, ponieważ gdzieś zapodziała mu się popielniczka. - Poznaję po głosie. Słucham?

- Pan ma wpaść do nas, prawda?

- Podpisać umowę? Owszem. - Emil zawahał się. - Miałem to zrobić już wczoraj, ale coś mi wypadło. Postaram się podjechać dzisiaj.

- Bo wie pan - tym razem zawahał się Szymon. - Nawet nie chodzi o umowę, ale... Znalazłem coś dziwnego w rzeczach Damiana. A pana interesowała ta sprawa, więc pomyślałem sobie, że może to będzie miało dla pana jakieś znaczenie? Albo może coś pan o tym wie?

- Coś dziwnego? - Emil stał się czujny.

- Tak - odparł Mader. - Przynajmniej mnie to trochę zdziwiło. Pakowałem rzeczy Damiana dla jego rodziny i znalazłem kopertę, a w niej zdjęcia tego obrazu, co wisi w Gdańsku, tego słynnego...

- Sądu Ostatecznego?

- Chyba tak. Więc pan to kojarzy? - chłopak niepewnie zawiesił głos. - Bo wie pan, wątpię, czy to należało do Damiana. Nic mi nie wspominał, a jestem pewien, że nie widziałem ich tutaj nigdy wcześniej. Damian nie miał takich zainteresowań. Wygląda mi to na materiał ilustracyjny do jakiegoś artykułu. Pomyślałem więc, że to może pana własność, bo pan miał coś dla nas pisać. No, ale z żeglarstwem to nie ma nic wspólnego, a pan przecież miał dla nas tekst o żeglarstwie. Zresztą świetny, dotarł do nas, dziękuję. Ukaże się na pewno w następnym numerze.

- Ma - odparł Emil, zamyślony. - Ma coś wspólnego z żeglarstwem. Z tym, że z dawnym. Ale nie, to na pewno nie moje. Może Damian chciał na ten temat coś napisać?

- Wiedziałbym o tym przecież. Może to Doroty?

- Być może - odparł Emil. - Wpadnę do was za jakąś godzinę, obejrzymy to razem.

- Niestety - w głosie Szymona zabrzmiał szczyry żal. - Muszę wyjść. Ale będzie Ewa. Znacie się państwo, prawda? No jasne, to przecież panu zawdzięczam pomysł, żeby zatrudnić Ewę. Gdyby nie ona, to nie wiem, czy zdecydowałbym się robić dalej tę gazetę. Poproszę ją, żeby dała panu te materiały. Swoją drogą taki tekst by nam się przydał. To ten obraz wisi nad dworcem, prawda? Może zainteresowałby turystów? Chętnie zamówiłabym u pana taki artykuł.

- Zastanowię się nad tym - powiedział Emil.

- A umowa też będzie już na pana czekała. Przepraszam, że pana niepokoiłem, ale naprawdę myślałem, że to pańskie zdjęcia. Dziwne... A więc do usłyszenia!

Emil powoli odłożył słuchawkę. Rzeczywiście - dziwne.

Z Przymorza na Zaspę jest niedaleko; zanim upłynęło pół godziny, był już na miejscu. Otworzyła Ewa, uśmiechnięta i wyraźnie zadowolona z życia. Wypchana koperta z tajemniczą zawartością już na niego czekała. Emil podpisał umowę, a następnie otworzył kopertę. W środku znajdował się plik fotografii Sądu Ostatecznego Memlinga w formacie pocztówkowym. Czarno-białe zdjęcia były stare, nieco pożółkłe i wyblakłe, na grubych kartonikach. Ukazywały przeróżne zbliżenia obrazu.

- Pani Ewo - podsunął jej zdjęcia - czy to mogło być własnością Doroty?

Spojrzała na nie i po chwili Emil zobaczył zdumienie w jej oczach.

- A dlaczego Doroty? - zapytała.

- Nie wiem, tak tylko pytam - odparł, wzruszając ramionami. - Może interesowała się Memlingiem?

Ewa uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Dorota? Memlingiem? O, nie, nie sędzę! Dorota była nowoczesna. Nie za bardzo interesowała się sztuką, ale jeśli już, to lubiła raczej awangardę. Wie pan, te różne happeningi i performance... Te zdjęcia są stare - zauważyła, przyglądając się fotografiom. - Widzi pan? Wyglądają jak przedwojenne pocztówki, można takie kupić choćby na Jarmarku Dominikańskim. O, tu jest jakaś pieczęć.

Emil zerknął na tylną stronę fotografii. Na pożółkłym tle dostrzegł niewyraźny, częściowo zatarty, zielonkawy stempel. Gdy przyjrzał się dokładniej, udało mu się odczytać fragment nadruku: Danzig.

- No nic. Mogę je zabrać? - zapytał.

- Tak, oczywiście. Szymon powiedział, że są dla pana.

- Wobec tego lecę. - Zatrzymał się w progu. - Jak wam się układa współpraca?  
- Rewelacyjnie! Naprawdę, strasznie się cieszę, że się zdecydowałam.  
- To fajnie. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Niech pani na siebie uważa.  
- A pan znowu zaczyna?! - prychnęła żartobliwie. - No dobrze, będę uważać. Nie będę chodziła nigdzie po ciemku ani umawiała się z nieznanymi. Zresztą... A, nieważne!  
- Na znajomych też należy uważać - odparł.  
- Tak jest! - Zasalutowała. - Jest pan już na tropie? Tego zboczeńca?  
- Nie wiem. Możliwe.  
- Trzymam za pana kciuki. - Spoważniała. - Wierzę, że pan go znajdzie. Oby udało się panu, zanim on znowu kogoś zabije.

Zbiegając po schodach, zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Gdy usiadł za kierownicą, wiedział już, że musi koniecznie porozmawiać z rodzinami ofiar. Może pozostali także mieli podobne zdjęcia? Może ktoś z bliskich lub z rodzin ofiar będzie przypadkiem znał ich pochodzenie? Danzig. Ciekawe. Bardzo ciekawe...

Adresy dostał nieoficjalnie od Zebry. Namiar na matkę pierwszej ofiary, owej kelnerki, a także rodziców Mateusza Ryszko. Do Marii Branieckiej zatelefonował od razu, lecz nic nie wiedziała o żadnych materiałach na temat Sądu Ostatecznego Memlinga. Zebra obiecał mu, że przy okazji przejrzy rzeczy po Dorocie. Najwyraźniej był w stałym kontakcie z Marią - przynajmniej służbowo. Miał także oddać do analizy znalezione przez Szymona Madera stare pocztówki.

Emil uznał, że rodziców Damiana nie ma potrzeby niepokoić, ponieważ chłopak mieszkał na stałe w Gdańsku i rodzina zapewne mało orientowała się w jego sprawach. Poza tym okazało się, że policja już to sprawdzała. Rzeczywiście nie mieli o niczym pojęcia, dla nich syn był poważnym dziennikarzem, nie zwierzał się raczej ze swojego życia zawodowego, a nawet odwiedzał ich rzadko, ponieważ był bardzo zajęty. Dorotę znali słabo, ale byli nią zachwyceni. Wciąż nie mogą dojść do siebie po tej tragedii.

- Są załamani - wyjaśnił Zebra. - Trudno się dziwić, był jedynakiem. Oczko w głowie; wiązali z nim wszystkie swoje nadzieje i ambicje. Biedni ludzie. Podejrzewasz tego Madera?

- Nie - Emil zastanowił się. - Nie sądzę, żeby robił takie prowokacje ze zdjęciami Sądu, gdyby był mordercą. Chłopak o niczym nie wie. Ale na wszelki wypadek będę go miał na oku. Między innymi dlatego zgodziłem się na współpracę. Może wie coś, o czym nie wie, że wie. Rozumiesz, tak jak z tymi zdjęciami. Pewien jestem, że to nie przypadek.

- Zjrę do ciebie na dniach - powiedział podkomisarz. - Obgadamy wszystko. Przesłuchaliśmy tych ludzi, ale może ty będziesz miał więcej szczęścia. Oczywiście, jeśli

wpadniesz na coś ciekawego, to zaraz dzwoń.

- Jasne...

Najbliżej, bo na obrzeżach Sopotu, mieszkała matka kelnerki, Wioletty Górczyk. Dowiedział się, że kobieta nie pracuje i o tej porze powinna być w domu. Była.

- Pan jest z policji?

- Niezupełnie. Jestem z prasy. - Wyjął legitymację. - Ale współpracuję z policją.

- Proszę. - Cofnęła się, wpuszczając go do mieszkania. Niepewnie podreptała przodem, do niewielkiego pokoju, gdzie wskazała sfatygowaną kanapę. - Proszę się rozgościć.

Emil usiadł, podziękował za herbatę i przyjrzał się kobiecie. Miała koło sześćdziesiątki, lecz na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie staruszki. Wpatrywała się w niego, mrużąc wyblakłe oczy, otoczone siecią zmarszczek niczym pajęczyną. Śmierć córki zapewne złamała i ją. Mieszkanie było biedne, zaniedbane. Stara wykładzina, zaduch, święte obrazki na ścianach, zakurzone meble, mnóstwo opakowań po lekach.

- Przepraszam - szepnęła, widząc, że Emil rozgląda się po pokoju. - Nie mam już siły sprzątać. Pan jest z policji?

Była jak dziecko we mgle.

- Wioletka dbała o wszystko - ciągnęła. - Ciężko pracowała, bo się nam nie przelewało. Mąż od dawna nie żyje. Moja renta to ledwie na opłaty starcza. Ja słabo widzę. Teraz to już nie wiem, jak sobie dam radę, pracować nie mogę. Ale co tam; mnie dużo nie trzeba, byle na chleb starczyło. Wioletka miała sobie życie ułożyć, męża znaleźć. Taka piękna dziewczynka. Oddajcie mi moje dziecko! - krzyknęła nagle, aż Emila przeszedł dreszcz. - Przepraszam... A o co chciał pan zapytać? Pan jest z policji, prawda?

- Miała narzeczonego? - zapytał.

- Co? - Spojrzała spłoszona. - Nie, nie miała. Chłopcy to tylko o jednym myślą, nie kwapią się do żeniaczki. Uganiali się za Wioletką, ale żeby tak który na stałe, to nie.

- Poznała kogoś w ostatnim czasie?

- A tak! - Rozpromieniła się kobiecina. - Skąd pan wie? Aha, pan jest przecież z policji. Poznała jednego pana, co to się z nią parę razy umawiał. Bogaty, mówiła, porządny człowiek.

- Młody? - podchwycił. - Taki w jej wieku czy starszy?

- A tego nie wiem. Nie pamiętam, czy coś o wieku mówiła. - Pokręciła głową i nagle przyjrzała mu się bystrzej. - A pan co tak wypytuje? Pan z policji? A tak, prawda, pan jest z policji. Ale tamten pan na pewno nie zabił mojej Wioletki! Mówiła wyraźnie, że porządny, a



nie żaden zboczeniec.

- Widziała go pani? Córka go pani przedstawiła? A może mówiła, jak się nazywa albo chociaż jak ma na imię?

- Skąd. Nie zdążyła, biedne dziecko. Nic mi mówić nie chciała, żeby nie zapeszyć, rozumie pan? Obiecywała, że jak przyjdzie czas, to mnie z nim zapozna. Ale... Raz podsłuchałam, jak rozmawiali przed domem, bo on ją zawsze pod dom odwoził, proszę pana. Tak dziwnie jakoś mówił.

- Jak to dziwnie? - zainteresował się Emil, tknięty nagłym wspomnieniem.

- Ano dziwnie. Tak jakby seplenił. A może to zagranicznik jakiś był? - Spojrzała na niego tryumfalnie.

- I nie zauważyła pani, jak wyglądał?

- A nie - odparła kobieta. - Ciemno było, tylko głos usłyszałam.

- A samochód pani widziała?

- Panie, ja tam się nie znam na samochodach! - Zaśmiała się gorzko. - Tam pełno samochodów stało.

Emil zamyślił się.

- Proszę pani, a czy ten człowiek dał coś pani córce? Jakiś prezent? - zapytał po chwili.

- Dawał kwiaty - odparła. - I fundował lokale różne eleganckie.

- Długo się spotykali?

Kobieta spoglądała na niego bez wyrazu.

- Poznała go dopiero niedawno - powiedziała. - W kawiarni, w której Wiola pracowała. Spotkali się raptem kilka razy.

Ona bardzo cieszyła się z tej znajomości. O, taki jeden prezent dostała! - ożywiła się nagle. - Choć dziwaczny. Lepiej by jej pierścionek albo kolczyki kupił. Choćby do grobu by dziecko miało.

Zapłakała na głos.

- Więc co to był za prezent? - Emil czuł się jak świnia, dręcząc nieszczęsną kobietę, wiedział jednak, że nie ma wyjścia.

- Może książkę?

- A nie. - Wyjęła zmiętą chusteczkę z kieszeni fartucha i głośno wydmuchała nos. - Pokażę panu, chociaż pan jest z policji. Ale nie szkodzi, dobrze panu z oczu patrzy. Zaraz, pan zaczeka.

Szurając rozdeptanymi kapciami, poczłapała do meblościanki - jeszcze z epoki

późnego Gierka - i wyjęła coś z szuflady. Błysnęło.

- Proszę - chlipnęła. - To jej dał.

Emil szeroko otworzył oczy. Na wyciągniętej dłoni kobiety lśnił srebrny relikwiarzyk. Dokładnie taki sam, jaki kupił Marcie. Tyle że gdy otworzył drzwiczki, ujrzał tam zupełnie inny fragment obrazu: dziewczynę wiszącą głową w dół w objęciach diabła, z długimi, rozwianymi włosami i przerażeniem na twarzy, spadającą w piekielną otchłań.

Wyprawa do Buszewka - popegeerowskiej wioski nieopodal Gdańska, w której mieszkała rodzina Mateusza Ryszki

- okazała się daremna. Już sama wieś wyglądała przygnębiająco. W porównaniu z sąsiednimi miejscowościami, w których mieszczańskie oko Emila cieszyły kolorowe domki jednorodzinne w pięknych, zadbanych ogrodach - ta sprawiała wrażenie nie tylko biednej, ale przede wszystkim zacofanej i niechlujnej. Podobne jak cała osada prezentowali się tutejsi mieszkańcy. Rodzina Ryszków nie wyróżniała się niczym szczególnym. Rodzice chłopaka o rzeczach dotyczących syna nie mieli bladego pojęcia. Ojciec był wyraźnie pod wpływem alkoholu, co do matki - to Emil nie miał pewności; w każdym razie zapuszczona, brudna chałupa sprawiała raczej wrażenie meliny. Nie zauważył nawet oznak szczególnego żalu po śmierci najstarszego syna. Interesowała ich wyłącznie kwestia odszkodowania. Czworo pozostałych dzieciaków - w wieku od kilku do kilkunastu lat - wpatrywało się w niego pustym wzrokiem, najmłodsze miało buzię czarną od brudu i zasmarkany nos.

Nieważne - pomyślał, dojeżdżając z powrotem do miasta - w domu chłopaka i tak znalazło się zdjęcie, a raczej fragment reprodukcji Sądu Ostatecznego. W posiadaniu Damiana znalazły się materiały z Sądu. Damian i Dorota stanowili parę, pracowali razem, w jednej redakcji; zdjęcia mogły należeć do nich obojga. Wioletta otrzymała od kogoś relikwiarzyk z fragmentem tryptyku - tym samym, który posłużył jako wzór dla jej zabójcy. Wszystkie ofiary połączył Sąd Ostateczny Memlinga...

Iedynym konkretnym tropem jest biznesmen, z którym kontaktowali się Damian i Dorota. Albo ktoś podający się za biznesmena.

Wjeżdżając na swoje miejsce na parkingu przed falowcem, nie zauważył mężczyzny, obserwującego go z chytrym uśmieszkiem zza kierownicy srebrnego audi, które zaparkowało wzdłuż chodnika przed klatką schodową. Mężczyzna odprowadził wzrokiem Emila, gdy zamyślony pokonał schody prowadzące do drzwi wejściowych. Audi ruszyło z piskiem opon w tej samej chwili, gdy naciskał właśnie guzik windy.

Emil czuł się zmęczony.

Aby poprawić sobie humor, pomyślał o Marcie Zabłockiej. Zrobi sobie coś do

jedzenia i zadzwoni do niej. Tylko jej głos był w stanie odegnąć koszmary z jego głowy - koszmary, przybierające diabelskie kształty rodem z tryptyku Memlinga.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że twarz Marty przypomina mu spokojne oblicze archanioła Michała o dziewczęcej twarzy.

Uśmiechnął się sam do siebie. Wariuję - stwierdził. Lecz nie miałby nic przeciwko temu, by powierzyć się opiece takiego anioła. Wierzył, że ona jest w stanie powstrzymać wszelkie zło, zwyciężyć demony.

Moje własne demony - sprostował w myślach, rzucając plecak na podłogę. Bo od TAMTEGO demona wolałby raczej trzymać Martę z daleka.

- Czekaj ty! Dopadnę cię, gnido - powiedział na głos, poszukując jednocześnie słoika z fasolką po bretońsku, który powinien znajdować się gdzieś w szafce nad kuchenką. Po chwili wymacał słoik, schowany za stertą naczyń i puszek. - Już jesteś mój, diabelski pomociu. Dopadnę cię, choćbym miał pójść za tobą aż do samego parszywego piekła!

Bynajmniej nie odgrażał się w ten sposób słoikowi fasolki...

## ROZDZIAŁ 13

Mężczyzna również chichotał, kierując się w stronę Gdańska. Wiedział już, że dziennikarzyna-tajniak depta mu po piętach. Od momentu znalezienia przy potępionych jego kretyńskiej teczki czuł, że ich ścieżki się skrzyżują. Instynkt nigdy dotąd go jeszcze nie zawiodł. Obserwował skurwysyna, gdy węszył w bazylice i w muzeum. Widział go w towarzystwie muzealniczki. On pierwszy wpadł na trop obrazu.

Mężczyzna stał w tłumie ludzi pod domem ostatniego grzesznika - i ten szpicel też tam był. W mieszkaniu potępionego tajniak spędził co najmniej godzinę, razem z resztą tych przeklętych glin. A dziś jeździł za pismakiem od samego rana, żeby się upewnić. I upewnił się.

- Spieszno ci do piekła, co? - zatarł ręce, stojąc na światłach. - Ale to nie będzie takie proste! Dla ciebie mam specjalną niespodziankę. Doświadczysz piekła na ziemi, zanim pochłonie cię ono na dobre.

Tymczasem obowiązki wzywają. Otchłań czeka. Zbyt dużo potępionych chodzi po tym przeklętym mieście.

Już wkrótce - jutro, może pojutrze - mężczyzna wyruszy w tłum. Wyruszy na Iowy. Jutro, pojutrze - kolejny grzesznik uda się na spotkanie z ogniem piekielnym.

Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Pamiętał. Pamiętał każde słowo. Wszystkie słowa, które od lat powtarzał w myślach jak modlitwę. Zapisał je sobie w mózgu, wyrył na kształt rowków na czarnej płycie.

„Krzywdy należy pomścić. Zło musi zostać wyplenione. To bydło nie ma prawa do życia... Niech smażą się w piekle na wieki!”.

Jeszcze raz odtworzył sobie wszystko w myślach. Czynił to codziennie, by pobudzać w sobie furję, by być wciąż czujnym, wciąż w gotowości - na wypadek rozkazów z góry. Głosy mogły przecież odezwać się w każdej chwili. Odtworzył cały ciąg wydarzeń, każdy szczegół zapisany w zwojach pamięci. Im bardziej skupiał się na tej czynności, tym jego wściekłość narastała. W pewnym momencie musiał nawet zjechać na pobocze i stanąć na chwilę, gdyż poczuł, że nie może prowadzić bezpiecznie auta. Nie w tym stanie ducha. Ręce trzęsły mu się z emocji, w głowie szumiało, a krwawe widmo zaburzało ostrość widzenia. Nie powinien się teraz narażać; nie teraz, gdy misja szczęśliwie jest w toku.

Armagedon już blisko, coraz bliżej.

Przymknął oczy i poszukał natchnienia w obrazie. Znal go na pamięć. Zachichotał, gdy znalazł kolejną ofiarę. Tak, ta już czeka w kolejce!

Teraz trzeba ją tylko odszukać. Trzeba krążyć między ludźmi i zaglądać im w twarze, tak by rozpoznać tę właściwą. Nie pomyli się - głos da mu znać, czy dobrze wybrał.

Głos dał mu do zrozumienia, że Opatrzność jest z niego zadowolona, że dobrze wypełnia zadanie. Wszystkie szatany i czarownice zostaną wytropieni i skazani na męki piekielne. On to uczyni. Wszak jest narzędziem w Boskich rękach. Tak. Może być z siebie dumny.

Wielkie Dzieło się rozpoczęło. A gdy wybije godzina zero - czas cofnie się i zmieni bieg historii. Nastanie Nowa Epoka.

Dzięki niemu.

Niebiosa zaakceptowały jego plan.

Pobłogosławiły mu.

Uspokojony wolno ruszył do przodu. Rysy jego twarzy złagodniały, napięte mięśnie rozluźniły się i odprężyły, mrok w oczach rozpląnął. Po chwili był już tylko przeciętnym, dobrodusznym człowiekiem, który w sznurze innych samochodów przebijał się z anielską cierpliwością swoim srebrzystym audi przez uliczny korek, jaki zwykle spotyka się na tej trasie - ot, jeden z wielu wracających do domu po pracy albo z plaży, jeden z wielu zwyczajnych ludzi.

## ROZDZIAŁ 14

Emil kiepsko spał tej nocy. Znow męczyły go senne majaki: te same skłębione nagie ciała, powykęcane członki, zamarłe w wyrazie śmiertelnego przerażenia twarze. Były to niby obrazy potępionych z Sądu Ostatecznego, niby ciała ofiar psychopatycznego mordercy, lecz skojarzyły mu się z czymś jeszcze... Z dzieciństwa zapamiętał makabryczne zdjęcia w albumie poświęconym ofiarom Oświęcimia. Pamiętał, jak wstrząsające uczyniły na nim wrażenie. Od tamtej pory wielokrotnie próbował zepchnąć te obrazy w głąb podświadomości - lecz one co jakiś czas i tak wypływały na jej powierzchnię: straszliwe dowody upadku cywilizacji ludzkiej, dowody ostatecznej degeneracji naszego gatunku.

Nie tyle odczuł swoje sny jako znak, co skojarzenia nie dawały mu spokoju. Jakaś myśl, głęboko ukryta, drążyła jego mózg, próbując się zmaterializować. Już nie jedno skojarzenie, ale wiele skojarzeń, składających się na jedną całość jak w kalejdoskopie.

Marta pracowała dziś do późna nad jakimś romańskim ołtarzem, nie miała więc dla niego czasu. Próbował skupić się nad wstępnym reportażem dla „Życia Wybrzeża”, jako że po ostatnim morderstwie zniecierpliwiony Kleezko wciąż wisiał mu na telefonie. Gdy wreszcie ukończył tekst, kretyńsko sensacyjny i odpowiednio dramatyczny, lecz na razie bez odniesień do Memlinga, i wysłał go mailem do redakcji, poczuł, że przygniata go pustka. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Brakowało mu pomysłów na ten dzień, a nocne koszmary wisiały nad nim jak szara chmura, napełniając go zniechęceniem i apatią. Przerzucił kilka książek o Sądzie, myśląc o artykule dla „Rozgwiadzy”, jednak szybko odłożył je na miejsce. Nie dziś. Dziś nie napisze już niczego sensownego.

Gdy poczuł głód - pora już była zdecydowanie obiadowa, a nie chciało mu się niczego przyrządzać - zdecydował, że pojedzie połączyć po mieście. Zje coś w knajpie i spróbuje spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy.

Z zewnątrz. Z perspektywy miasta.

W zasadzie bez sensu i celu włóczył się po Trójmieście. Upał panował nie do zniesienia - to lato, pod względem pogody, z pewnością było udane - i wszędzie przewalały się tłumy wczasowiczów. Podjechał najpierw do Oliwy. Nie, żeby przygnała go tam tęsknota za Martą lub jakaś nadzieja na spotkanie. Wiedział, że Marta jest teraz w muzeum. Ale jednocześnie fakt, że ona tu mieszka, sprawiał, iż czuł jej bliskość i obecność w tym miejscu. Tak jakby wypełniła otaczającą przestrzeń swoim zapachem, pozostawiła ślady stóp, odbicie

myśli w powietrzu. Chyba się zakochałem, idiota - pomyślał z uśmiechem zażenowania.

Przespacerował się alejkami parku Oliwskiego, zaszedł do katedry. Odszukał stary feretron, o którym opowiadała Marta. Rzeczywiście, obraz stał nisko na czymś w rodzaju prowizorycznego ołtarzyka, wśród bukietów kwiatów paliły się przed nim dwie świece, a kilka osób modliło się na klęczkach w skupieniu. O cudownej mocy wizerunku smutnej Madonny świadczyły liczne srebrne wota, niektóre z pewnością także bardzo stare.

Tak, te sprzeczności pomiędzy sakralnym charakterem dzieła sztuki a obowiązkiem jego bezwzględnej ochrony będą chyba istniały zawsze. Rozumiał urok tego intymnego kontaktu z obrazem. Sam wzruszył się, patrząc w oczy pięknej Madonny o klasycznych, regularnych rysach twarzy - czuł bliski kontakt, jak między dwojgiem żywych ludzi w trakcie prywatnej rozmowy. A modlitwa to w końcu nic innego jak rozmowa. Gdyby jednak znalazł się tu wariat albo przynajmniej jakaś fatalna niezgoda... Przecież przychodzą tu nie tylko wierni. Całymi autokarami zjeżdżają do słynnej katedry turyści z całego świata.

Wyszedł z katedry i dla ochłody kupił sobie loda. Głód dokuczał mu coraz silniej, wrócił więc do samochodu, pozostawionego w cieniu starych lip, i trasą przez Jelitkowo skierował się w stronę Sopotu.

Hałaśliwy tłum na Monciaku męczył go. Usiadł w jednej z licznych knajpek pod gołym niebem i zamówił flądre z grilla, wraz z zestawem surówek i frytkami. Posiłek oraz ciężkie, słone, popołudniowe powietrze rozleniwiły go. Zza przeciwsłonecznych okularów, z papierosem w ustach śledził z zadumą grupki mijających go turystów oraz ludzi przy sąsiednich stolikach. Słyszał gwar różnojęzycznych rozmów. Jak wśród takiej ciżby wyłowić mordercę? Może nim być każdy. Dosłownie każdy - z wyjątkiem kobiet, o ile rozumowanie Zebry jest słuszne.

I dzieci. To i tak wystarczy. Na przykład tamten elegancik w białym ubraniu. Albo ten, płacący właśnie za kebab, ma ponurą gębę. Albo ten facet w okularach.

Bez sensu. To już obsesja.

Podniósł się ciężko i ruszył spacerkiem w stronę molo. Kupił bilet wstępu, rozsiadł się na kawałku wolnej ławki i ukołysany szumem fal przymknął na chwilę oczy. Teraz docierały do niego tylko dźwięki. Krzyk mew. Głosy ludzi. W różnych językach. Dziecięce okrzyki. Ożywione rozmowy po niemiecku. Pewnie jakaś wycieczka zza Odry.

Zapalił kolejnego papierosa. W tłumie mignął mu znów facet w okularach. Ten sam? Emil nie był pewny. Nieważne. A gdzie niby można iść w Sopocie jak nie na Monciak i na molo? Każdy tu przychodzi.

Na plaży - mimo dość późnej pory - nadal widać było mnóstwo golasów. Dzieciaki

taplały się przy brzegu i budowały zamki z piasku. Kiedyś z Emila i małym Bartkiem także często bywali nad morzem. Emila opalała się z listkiem osłaniającym czubek nosa, a wszyscy mężczyźni z podziwem gapili się na jej wspaniałe ciało. Emil z małym grali w pitkę plażową, pluskali się w wodzie lub grzebali w mokrym piachu. Czy żałował? Sam nie wiedział. Z jednej strony wspominał te czasy jako epokę błogiej sielanki. Teraz już jednak wiedział, że sielanka była tylko ułudą.

Zaprzagnął się nagle wykąpać. Zszedł na plażę, zostawił swoje ciuchy pod okiem jakiejś sympatycznej rodziny i z rozkoszą przepłynął wzdłuż mola w tę i z powrotem. Ucieszył się, że jego kondycja nie jest jeszcze tak tragiczna, jak przypuszczał. Woda była bardzo ciepła, a ruch pobudził mięśnie do życia.

Włożył ubranie na mokre ciało i wracając bocznymi alejkami do samochodu, czuł, jak słońce momentalnie osusza resztki wilgoci. Minął zwalistą sylwetkę Grand Hotelu, zajrzał na moment do foyer małego teatru na plaży. Repertuar nie zainteresował go, bo Emil nie miał teraz głowy do współczesnej dramaturgii ani do recitali piosenki aktorskiej. Zamówił puszkę coli i wypił ją duszkiem, przysiadając na chwilę przy stoliku teatralnego ogródka. W tle kłębiły się kolejne tłumy wczasowiczów. Kolorowe mrowie.

Przechodząc obok parkingu hotelowego, zerknął na samochody. Niemal same zagraniczne rejestracje. Większość niemieckich, parę austriackich, ale także trochę rosyjskich. Polskie też się trafiały. Na pewno więcej niż kiedyś. Pomyślał, że i tu, wśród gości hotelowych, może ukrywać się zło.

Może być wszędzie.

Emil nie znosił ksenofobów, a wszelkie uprzedzenia uważał za psychiczne skrzywienie. Jednak ludzie zawsze i wszędzie są tacy sami. Zwyródniałcy znajdują się w każdym miejscu na ziemi, to jest społeczność międzynarodowa. Ludzkość naznaczona grzechem pierwotnym. A tym grzechem jest nienawiść. Do innych, do siebie nawzajem. Cała reszta to tylko nadbudowa.

Nie wiedzieć czemu, instynkt podpowiadał mu, że tu trzeba szukać rozwiązania zagadki. W sprawach tego miasta, tego regionu. Jego wielokulturowej przeszłości. Zapewne nie przypadkiem morderca wybrał sobie za inspirację najcenniejszy zabytek tej kultury. Gdański Sąd. Przedwojenne pocztówki z nadrukiem DANZIG... Matka Wioletty wspominała o mężczyźnie z „dziwacznym” akcentem. Sam słyszał chrapliwy szept o dziwnej, twardej wymowie.

Przypadek?

To wszystko dzieje się tu i teraz. Ale tak naprawdę „teraz” jest „zawsze”.



Nic nie rodzi się bez przyczyny. Nawet obłąd.

Słońce pomału zachodziło. Emil poszedł do samochodu, pozostawionego przed dworcem, i z sercem ściśniętym dziwnym smutkiem wrócił do domu. Nie miał stąd daleko.

By przepędzić z głowy złe myśli, a jednocześnie nie zgubić tematu, usiadł przed komputerem i do świtu pracował nad artykułem o tryptyku dla „Rozgwiadzy”. Wypalił przy tym całą paczkę papierosów, ale ostateczny efekt przerósł nawet jego oczekiwania. Zawarł w tekście to, o czym opowiadała mu Marta, oraz wszystko, co sam przeczytał i przemyślał na temat obrazu.

Ucieszył się na myśl o spotkaniu z Martą, a miał teraz doskonały pretekst, by nalegać na jego szybki termin. W końcu rzut oka fachowca na treść artykułu jest niezbędny.

Nie przewidział jednak nawet w najśmielszych snach okoliczności tego spotkania.

Nie tak je sobie wymarzył.

## ROZDZIAŁ 15

Marta zadzwoniła do niego rano, gdy jadł właśnie śniadanie - grzankę z marmoladą wieloowocową, kawę i papierosa. W odwrotnej kolejności.

- Dzwoniłeś do mnie?! - zapytała bez wstępu.

- Kiedy? - Pogubił się zaskoczony. Jej ton nie wróżył niczego dobrego.

- Wczoraj kilka razy, dziś o świcie i przed chwilą - odparła z dziwnym napięciem w głosie.

- Nie - oświadczył stanowczo. - Na pewno nie. W słuchawce nastąpiła chwila ciszy.

- A co? - dodał Emil zaniepokojony.

- Nie wiem - odparła powoli. - Mam dziwne telefony. Ktoś wydzwaniania o najdziwniejszych porach. I odkłada słuchawkę.

- Zaraz - zdenerwował się. - I sądziłaś, że to ja się tak wygłupiam?!

- Nie, nie - poprawiła szybko. - Myślałam, że może nie mogłeś się połączyć, albo masz popsuty telefon. Chciałam się tylko upewnić.

- A jaki numer się wyświetla?

- O to chodzi, że żaden. Numer prywatny...

- Ktoś się odzywał?

- Nie! Przecież ci tłumaczę. Za każdym razem to samo: chwilę milczy i rozłącza się!

Emil zastanowił się.

- To pewnie nic ważnego - powiedział w końcu. - Może pomyłka albo jakieś żarty.

- Żarty?! - oburzyła się. - Czy ja jestem jakaś małolata, żeby ktoś sobie ze mnie w taki idiotyczny sposób żartował?!

- Nie denerwuj się. Po prostu nie odbieraj telefonów. Jak zadzwoni ktoś znajomy, to się nagra. Porozmawiamy o tym później, dobrze? Musimy się spotkać jak najszybciej.

- Dobra - odparła. - Zadzwonię do ciebie, jak będę wolna. Po pracy. Pa!

Odłożyła słuchawkę.

Emil dopił kawę i zapalił kolejnego papierosa. Cała ta historia bardzo mu się nie podobała. Marta to poważna osoba i ma raczej poważne znajomości. Głuche telefony nie są rozrywką dla normalnych ludzi. Jeśli zdarzają się regularnie - stanowią groźbę.

Zatelefonował do Zebry i poprosił go o spotkanie. Marek zaproponował, że wpadnie do niego późnym popołudniem.

- I tak mam coś do załatwienia na Przymorzu - powiedział. - To będę miał po drodze. Mniej więcej koło szóstej.

W następnej kolejności Emil zadzwonił do byłej żony.

- Jak tam Bartek? - zapytał. - Wrócił już?

- Wrócił - przyznała niechętnie Emilia.

- Mógłbym się z nim zobaczyć?

- Będziemy potrzebowali więcej forsy na wakacje - oznajmiła ironicznie. - Mówiłam ci, że zaplanowałam urlop z dzieckiem?

- Wyślę - odparł. - To jak? Mogę spotkać się z Bartkiem? Zawahała się.

- Gra w piłkę - rzuciła w końcu. - Zawsze między drugą a czwartą na boisku szkolnym. Razem z kolonistami. Dzisiaj też tam będzie. Jak chcesz, to przyjedź i sobie pogadajcie. Do domu cię nie zapraszam, jestem zajęta.

- Dzięki i za to.

Śmiechy i nawoływania dzieciaków działały kojąco. W tym świecie trudno było uwierzyć, że istnieje także inna rzeczywistość; mroczna, brudna, pełna przemocy i zła. Że gdzieś tam - poza tą barierą normalności, mlecznej zupy i wesołych pisków - ukrywa się maniackalny morderca, drapieźnik czyhający na okazję.

Emil stanął przy siatce ogrodzenia, obserwując bawiące się na boisku dzieci i wypatrując syna. Nieopodal grupka dziewczynek grała w zbijaka, a kawałek dalej chłopcy rozgrywali mecz piłki nożnej. Pośród nich wypatrzył ciemną czuprynę Bartka. Chłopiec grał w obronie. Poruszał się zwinnie, z wyrazem szczęścia wypisanym na opalonej buzi. Emil uśmiechnął się sam do siebie. Żał mu było psuć małemu zabawę.

Naraz poczuł na sobie czyjś wzrok. Dziwne uczucie. Jakby coś usiadło mu na plecach i słało jakieś dziwne impulsy. Obejrzał się gwałtownie, lecz nikogo szczególnego nie zauważył. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, kobiety z siatkami zakupów, mężczyźni z psami, matki z wózkami, staruszkowie odpoczywający na ławkach, małe dziewczynki grające w gumę.

To z pewnością przywidzenie - pomyślał. Jestem przewrażliwiony.

W tym samym momencie zauważył go Bartek. Pomachał radośnie i pędem rzucił się ku bramie szkoły. Emil z radością porwał go w ramiona, z bliska dopiero zauważając, jak bardzo chłopak wyrósł i zmężniał przez te miesiące, które upłynęły od ich ostatniego spotkania.

- Tato! - Bartkowi błyszczą oczy z emocji. - Widziałeś, jak mi się udało wykiwać tego drąga!?! Fajowo, nie? Strasznie długo cię nie widziałem! Muszę ci opowiedzieć, co słyhać

u babci i dziadka! Pytali się o ciebie, wiesz? Gdzie teraz pracujesz i w ogóle. Pójdziemy na lody, tato?

Emil znów poczuł ten ciężar na plecach. Dreszcz. Jakby ciarki go przeszły. Odsunął dziecko i rozejrzał się w popłochu dookoła. Nagle dostrzegł ruch za krzakami. Jakiś mężczyzna, oddalał się właśnie zbyt szybkim krokiem. Przecinając na ukos powierzchnię trawnika, przyspieszył kroku pomiędzy piaskownicą i drabinkami placu zabaw. Emil nie widział jego twarzy, ale coś w sylwetce wydało mu się znajome.

- Wracaj do domu! - nakazał Bartkowi. - Natychmiast! Ja muszę... Muszę coś załatwić.

- Mieliśmy iść na lody! - oponował zdumiony chłopiec.

- Nie dzisiaj. - Emil potrząsnął nim nieco zbyt mocno. - Proszę cię, wracaj do domu! Nie mam teraz czasu, by ci to tłumaczyć. Nie zostawaj tutaj, słyszysz? No, idź już!

Oczy dziecka napełniły się łzami.

- Tato, co się dzieje?

- Idź już!

- Ty mnie po prostu nie kochasz! - Usta chłopca wykrzywiły się. - Masz mnie gdzieś! Mama ma rację! Zawsze tak mówi! Nie będę cię więcej bronił! Goń się!

Emil zawahał się rozpaczliwie, coś ścisnęło go za serce, lecz tymczasem tajemniczy facet zniknął mu już w przejściu falowca. Dziecku wyjaśni to później. Popchnął chłopca w stronę domu i ostrym sprintem pognął w stronę budynku. W biegu odwrócił się jeszcze i zobaczył, jak jego syn z opuszczoną głową zmierza jednak w kierunku domu. Poczował ulgę, lecz nie miał teraz czasu na rozmyślanie. Przyspieszył kroku, wypadł z bramy i rozejrzał się błyskawicznie. Z oddali ujrzał plecy tajemniczego człowieka, oddalającego się spiesznym chodnikiem wzdłuż bocznej uliczki osiedla. Bez zastanowienia puścił się w pogoń. Facet obejrzał się i błyskawicznie skręcił na obszerny osiedlowy parking. Po chwili znikł mu z oczu. Aut stała tu pewnie setka. Emil wbiegł na parking z przeciwnej strony, ominął hamujący przed nim ostro samochód i, nie zważając na pogróżki rozsierdzonego kierowcy, pobiegł dalej. Zauważył kluczącego pomiędzy samochodami faceta i promień słońca, który w pewnym momencie odbił się od jego okularów. Tak, z pewnością nosił okulary!

- Hej, ty! - krzyknął Emil.

Stał pod słońce, które go oślepiało. Osłonił dłonią oczy, lecz zanim jego wzrok przyzwyczał się do ostrych kontrastów światła i cienia - mężczyzna ponownie gdzieś zniknął.

Emil jak szalony pobiegł w głąb parkingu, lecz po sekundzie gdzieś za plecami usłyszał tylko ryk zapuszczanego silnika i pisk opon, a po chwili minęło go rozpędzone auto,

błyskając szkłem, niklem i taflami bocznych lusterek, i rozplynęło się w blasku słonecznego światła.

Zauważył tylko, że był to duży samochód. Biały, szary albo srebrny.

Wyszarpał z kieszeni komórkę i wystukał w pośpiechu numer Emili.

- Mały jest w domu?! - rzucił bez tchu.

- fest - odparła i Emil ujrzał w wyobraźni, jak wzrusza pogardliwie ramionami. - O co ci chodzi? Przecież jest jeszcze wcześniej. Bartek wrócił cały roztrzęsiony. Co ty, do cholery, wyprawiasz? Już ci całkiem odbiło?!

- Przestań na moment gadać! - przerwał jej grubiańsko.

- I posłuchaj. Nie puszczaj go nigdzie bez opieki, rozumiesz? Nigdzie! Jest coś...

- W co ty się znowu wplątałeś?! - zawołała histerycznie.

- Już zwariowałaś zupełnie?! Ośmielasz się narażać mnie i dziecko?! Bez przerwy mamy przez ciebie jakieś nieprzyjemności! O co tu chodzi, do jasnej cholery?!

Emil zaczerpnął tchu i w myślach policzył do pięciu. Na więcej nie miał już czasu. Czuł, że Emila za chwilę odłoży słuchawkę.

- Uspokój się i słuchaj - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Mielicie wyjechać. Zróbcie to jak najszybciej. Najlepiej zaraz. Jutro, pojutrze.

- Ciekawe za co!

- Sfinansuję ten wyjazd - rzucił stanowczo. - Bierz dzieciaka i jedźcie jak najdalej stąd. Nikomu się nie zwierzaj, nie mów, dokąd wyjeżdżasz. Tylko ja muszę to wiedzieć. Zrozumiałas?

Widocznie w jego głosie było coś takiego, że Emila zamilkła. Słyszał tylko jej przyspieszony oddech.

- Jutro, najdalej pojutrze przekażę ci pieniądze na wyjazd

- powiedział już spokojniej. - Czekaj na mój telefon. Zaczynij się już pakować. To nie są żarty, wierz mi. Nie lekceważ tego.

- Jesteś obłąkany - odparła. - Ale dobrze. Skoro za to zapłacisz.

- Może i jestem. Nieważne. Najważniejsze, żeby mały stąd zniknął, jak najszybciej.

- A może mi to jednak wytłumaczysz?

- Nie teraz. To długa historia. I nie na telefon. Zrób, jak ci mówię. Odezwę się.

W tle usłyszał pytający głos Bartka.

- Daj mi małego - poprosił.

Po chwili syn odezwał się cicho.

- Tato?

- Bartek... - głos Emila załamał się. - Słuchaj się mamy. I... Kocham cię, synku...

Cisza w słuchawce przeciągała się.

- Wiem - usłyszał w końcu. - Trzymaj się, tatusiu.

- Ty też się trzymaj, synu - powiedział. - Niedługo pójdziemy razem na lody. Obiecuję ci.

Schował telefon do kieszeni bluzy. Drżącą ręką zapalił papierosa. Przy okazji zerknął na zegarek. Zbliżała się piąta. Za godzinę przyjdzie Zebra. Czas się zbierać. Wciąż rozglądając się czujnie dookoła, powlókł się ciężkim krokiem w stronę domu.

Teraz walka toczyła się już na jego prywatnym terenie. Zrozumiał, że musi ją wygrać, by ochronić swoich najbliższych.

## ROZDZIAŁ 16

Marta wysiadła z tramwaju i zamyślona szła w kierunku domu, gdy po raz kolejny tego dnia dźwięk telefonu komórkowego przyprawił ją niemal o palpitacje serca. Dziwne, jak bardzo wydał jej się złowieszczy. Taka miła melodyjka, a teraz w jej uszach brzmiała niemal jak pełna grozy syrena alarmowa. Początkowo nie miała zamiaru odebrać. Telefon jednak nie przestawał dzwonić, a jego wyczuwalna wibracja doprowadzała ją do białej gorączki. W końcu wyszarpnęła komórkę z kieszeni džinsów i spojrzała na wyświetlacz: numer prywatny.

- Halo?! - zdecydowała się odebrać, nastawiona bojowo i gotowa na ostrą reakcję, w razie gdyby telefon znów okazał się głuchy.

- Oj, chyba źle trafiłam - usłyszała zdziwienie w głosie księgowej z muzeum. - Pani doktor, nie chciałam przeszkadzać. Chodzi tylko o te faktury na odczynniki, są potrzebne już jutro rano.

- Przepraszam. - Marta otarła dłonią pot z czoła. - Dobrze, jutro je przyniosę, na pewno. Dziękuję.

Z westchnieniem ulgi rozłączyła się, śmiejąc się w duchu z własnych obaw. Zanim jednak zdążyła schować komórkę, ta zadzwoniła ponownie.

- Tak? - zapytała, pewna, że księgowa jeszcze o czymś zapomniała.

Odpowiedziała jej cisza.

- Halo?! - Poczula niemiły dreszcz, nogi miała jak z waty. Cisza. Jakieś trzaski, w tle coś, jakby odgłosy ulicy.

- No, odezwij się, dupku! - krzyknęła, aż przechodzący obok ludzie odwrócili się, spoglądając na nią z żywym zainteresowaniem.

I znów odpowiedziała jej głucha cisza. Połączenie zostało przerwane.

Drżącymi dłońmi odszukała informację o numerze, z którego dzwoniło. Numer prywatny. Czyli znowu telefon niezidentyfikowany. Tak samo jak poprzednio.

Zdenerwowana zrezygnowała z zaplanowanych po drodze zakupów, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Przyspieszyła kroku. Wzdłuż parku niemal biegła, rozglądając się niepewnie dookoła. Czuła się tak, jakby ktoś ją śledził.

To absurd, tłumaczyła sobie. To tylko jakiś kretyn się na nią wziął. Może wariat, może napalony telefoniczny podrywacz, który natknął się na nią przypadkiem i nawet nie wie, kim ona jest. Najprawdopodobniej głupi dzieciak. A może to po prostu pomyłka, ktoś ma zły

numer, uparł się dzwonić aż do skutku, za każdym razem słyszy obcy głos, peszy się i rozłącza. Tak, to jest możliwe.

A jednak idiotyczne wrażenie jej nie opuszczało.

Skręciła wreszcie w swoją uliczkę i w miarę, jak zbliżała się do domu, uspokajała się. Tu zawsze panował spokój, wokół nie działo się nic podejrzanego. Słyszała tylko śmiech i piski bawiących się na podwórkach dzieci, poszczekiwania psów, odległy warkot samochodów. Któraś z sąsiadek pozdrowiła ją wesoło z ogródka sąsiedniej posesji. Na parapecie okna siedział jak zwykle Bolero, tęsknie wypatrujący powrotu opiekunki. Ujrzał ją, podniósł się z puszystym ogonem postawionym pionowo w górę na znak wielkiego szczęścia, zrobił koci grzbiet, otarł czule o szybę i radośnie zeskoczył z parapetu, by jak zawsze powitać Martę w progu.

Włożyła klucz do zamka i nacisnęła klamkę, by wejść do środka.

W tym samym momencie ktoś pchnął ją silnie z tyłu, aż całym swym ciężarem wpadła na skrzydło drzwi, które otwarły się z trzaskiem. Chciała krzyknąć, oszołomiona, lecz coś zatkało jej usta. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Napastnik kopnął drzwi, przyciskając ją do ściany przedpokoju. Szarpała się, lecz nie dała rady żelaznemu uściskowi, który krępował jej wszelką możliwość ruchu. W pomieszczeniu panował półmrok - korytarz był ślepy - a napastnik miał coś na twarzy - maskę albo kominiarkę.

Uderzył ją w głowę: nawet nie poczuła bólu, a przynajmniej nie uświadomiła go sobie; tyle że wokół zrobiło się jeszcze ciemniej. Poczuła twarde, chropawe dłonie na swojej szyi. Usiłowała je powstrzymać, drapać, lecz dłonie osłonięte były rękawiczkami, a ona słabła coraz bardziej.

I nagle, kiedy już się niemal poddała, coś się zakotłowało. Powietrze przeciął świst, napastnik wrzasnął przeraźliwie i odskoczył od niej jak oparzony, zasłaniając rękoma głowę. Jednocześnie rozległ się przerażający, dziki, jakby pierwotny okrzyk walczącego na śmierć i życie drapieżnika, zakończony upiornym sykiem i potężnym parsknięciem. Napastnik po omacku dopadł drzwi, usiłując pozbyć się potwora, wczepionego w jego głowę, pazurami zdzierającego kominiarkę. Rudy kształt oderwał się, gdy mężczyzna, miotając się jak szalony, wybiegł na podest klatki schodowej i zataczając, pomknął schodami w dół.

Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe. Marta bezwładnie osunęła się na podłogę. Poczuła miękkie futerko, ocierające się o jej nogi i ręce, usłyszała wibrujące mruczenie, a z oddali czyjeś podniecone głosy - i w tym momencie zemdląca.

Ocknęła się na własnej kanapie. Na jej brzuchu leżał Bolero, cały czas uspokajająco pomrukując. Gdy ujrzał, że otworzyła oczy, zmrużył porozumiewawczo swoje, z



zadowoleniem ugniatając łapkami jej skrzyżowane na piersiach ramiona..

- Bolero... - szepnęła, drapiąc go lekko za uchem i usiłując przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia. Nie miała pewności, czy była to rzeczywistość czy tylko zły sen.

Kocur polizał szorstkim jak tarka języczkiem wierzch jej dłoni. W głębi mieszkania ktoś się wyraźnie krzątał. Marta, zaniepokojona, spróbowała się podnieść.

- Pani leży, pani Marto - usłyszała głos sąsiadki. - Zaraz przyniosę herbatki. A jak się pani czuje? Już żeśmy z sąsiadką tu od zmysłów odchodziły, ale patrzymy, że pani tylko zemdlona.

Marta delikatnie zdjęła kota i mimo wszystko usiadła na tapczanie. Poczowała lekki zawrót głowy, a wszystkie mięśnie miała jak z waty. Bolero tymczasem poszedł napić się wody.

- Panie coś widziały, słyszały? - zapytała słabo. - Zupełnie nie wiem, co tu się właściwie stało. Myślałam, że coś mi się przyśniło.

- Ktoś panią napadł w drzwiach do mieszkania! - zawołała kobieta. - Pewnie wszedł za panią albo już się tu czaił i akurat panią zdybał. Ja wybiegłam, kiedy już było po wszystkim, na hałas, ale pani Jadzia to akurat wracała z zakupami i widziała złodzieja, jak uciekał. Na pysku coś miał czarnego, za łeb się trzymał i biegł, jakby go diabeł gonił! Aż ją potracił! Ogrodzenie przesadził, ono niskie, za drzewa poleciał i tyle go widzieli. No to Jadzia pędem do klatki, a tam panine drzwi na oścież rozwarły, a pani zemdlona leży. Popchnął panią pewnie, chuligan, a głową uderzyła pani o ścianę. Wtedy i ja akurat wybiegłam i pierwsze, za cośmy się wzięły, to panią ratować. Bolero paniny chyba draba napadł, bo taki krzyk koci wściekły słyszałam, a potem wrzaski i rumor, to pewnie nie przypadkiem za ten czerep się trzymał! - Kobięcina zaśmiała się z satysfakcją. - Na podłodze różne rzeczy porozrzucane leżały, jakieś apaszki, paseczki, parasolka, więc pewnie z góry, z tej półeczki nad wieszakiem na niego skoczył. Pani swojej bronił, mądrała. O, takiego kota mieć to lepiej niż psa!

Marta słuchała z rozszerzonymi oczami. Dopiero teraz zaczęła sobie wszystko przypominać.

- Życie mi uratował - szepnęła, przytulając kocura, który właśnie wrócił i ułożył się na jej kolanach. Myślałby kto, niewinne kociątko.

- E, zabić to by pewnie pani nie zabił - usiłowała pocieszyć ją sąsiadka. - To pewnikiem tylko zwyczajny złodziej był, może myślał, że pani taka bogata? Albo tylko z okazji skorzystał. Chociaż w dzisiejszych czasach to nigdy nic nie wiadomo, co prawda, to prawda. Pani sprawdzi, czy pani nie okradł - dodała. - A ja zaraz przyniosę gorącej herbatki.

Marta rozejrzała się po pokoju. Nic nie wyglądało na ruszone, wszystko było w

porządku. Zresztą teraz już dobrze pamiętała, że napastnik zaatakował ją z tyłu, z klatki schodowej, w momencie gdy otworzyła drzwi, a potem dusił ją w przedpokoju - zanim uciekł, zaatakowany przez Bolera.

- I co? - zapytała pani Renia, podając jej szklanekę świeżo zaparzonej herbaty. - Nic nie zginęło?

- Nie, raczej nic, dziękuję.

- Tośmy znalazły na podłodze w przedpokoju, pod lustrem leżało. - Zadowolona z siebie sąsiadka wyciągnęła coś z kieszeni fartucha. - Widać, że zerwał to z paninej szyi i zgubił.

Na dłoni kobiety zamigotał srebrny wisiorek w kształcie węża z rozerwanym łańcuszkiem.

Marta odruchowo chwyciła się za szyję. Rzeczywiście. Jej ukochany amulet. Przy okazji stwierdziła, że szyję wciąż ma obolałą, a ręce nadal jej drżą.

- Chyba trzeba by wezwać policję? - zastanowiła się pani Renia. - Ukradł nie ukradł, ale zawsze to bandzior. A nuż go złapią, zanim kogo innego okradnie albo nie daj Panie Boże, jeszcze ukrzywdzi przy okazji? A może i pogotowie powinno do pani przyjechać? Bo to, wie pani, jeszcze jaki wstrząs mózgu może z tego być.

- Policję? Zaraz... Sama nie wiem - odparła szybko Marta. - Najpierw chciałabym się kogoś poradzić. A lekarza mi nie trzeba, nic mi nie jest, przestraszył mnie tylko. Proszę mi podać telefon, pani Reniu.

## ROZDZIAŁ 17

Emil i Zebra siedzieli we wnęce, przy niskim stoliku, na którym - po usunięciu laptopa i sterty książek - znalazło się nawet miejsce dla dwóch filiżanek kawy neski i pączków, przyniesionych przez Marka z pobliskiej cukierni. Popielniczka pełna niedopałków, zważywszy na fakt, że siedzieli tu dopiero od niespełna godziny, świadczyła o podenerwowaniu Emila. Zebra ze stoickim spokojem palił swoją fajkę. Zdążyli już przeanalizować całą sytuację, wymieniając się uwagami i wnioskami.

- Nie ma żadnych, ale to żadnych dowodów na to, że gość jest cudzoziemcem! - upierał się Zebra. - Poza tym, że niewyraźnie szeptał do telefonu. Może zresztą robił to celowo. Kompletnie nie pojmuję, dlaczego upierasz się grzebać w jakichś historycznych zaszłościach.

- Nie pojmujesz? - zirytował się Emil. - A tego nie pamiętasz? „Detektyw, jeśli pragnie rozwikłać zagadkę, musi zapoznać się ze środowiskiem, w którym się ona zrodziła, poznać historię okolicy, zrozumieć jej dzieje, także te najstarsze”. Nie pamiętasz? Tak nas uczono. To są podstawy. Zbrodnia nie rodzi się w próżni! Dlaczego facet działa wyłącznie na terenie Trójmiasta? Dlaczego posługuje się historycznym symbolem Gdańska, jakim jest ten tryptyk? Czemu podrzuca przedwojenne niemieckie pocztówki z Wolnego Miasta? I do tego ten akcent! Przypadek? Nie wierzę w przypadki! A jaka jest historia Gdańska? Co ją odróżnia, co czyni ją szczególną? No? To, że zawsze było to miasto wielokulturowe, wielonarodowościowe, Polacy, Żydzi, Niemcy, Kaszubi, styk kultur, pogranicze, ważny port, przedmiot pożądania i konfliktów narodowościowych, kulturowych, politycznych, od zarania dziejów. Całe Pomorze zresztą. Tego chyba uczyłeś się już w podstawówce?! Ja nie twierdzę, że ten zajob musi być cudzoziemcem, ale coś mi mówi, że to miasto ma jakiś cholerny związek z tymi zabójstwami. Zebra zastanowił się.

- No dobra, może i masz rację - przyznał w końcu. - Ty się zdystansowałeś - od zawodu, mam na myśli, więc może lepiej to widzisz. My nie mamy czasu na grzebanie w historii. Ale okej, coś w tym twoim gadaniu jest. A już się przestraszyłem, że jesteś... tego... Że stałeś się nacjonalistą.

- Puknij się w czaszkę! - oburzył się Emil. - Co to ma do rzeczy?! Nienawidzę ciemnoty, wiesz o tym bardzo dobrze. Ale nie ma co zamykać oczu na rzeczywistość. Ludzie to ludzie, wszyscy jednakowi. Fanatyk i szaleniec znajdzie się wszędzie. A na takim gruncie,

jaki tutaj mamy, szczególnie. Historia tego regionu to tygiel, z którego aż kipi. Idealna pożywka dla paranoików wszelkiej maści.

- Ale równie dobrze może to być paranoja, na przykład na tle religijnym. - zauważył sceptycznie Zebra.

- Też możliwe. - Emil wzruszył ramionami. - Jedno zresztą nie wyklucza drugiego. Może chodzi o jakieś motywy wyznaniowe?

Zapalił kolejnego papierosa.

- Opróżnij tę popielniczkę, bo się wysypuje - zauważył Zebra. - Też chcę z niej skorzystać. Najgorsze, że ciebie namierzył - kontynuował, gdy Emil wrócił do pokoju z czystą popielniczką. - Nie podoba mi się to. Z wariatem nigdy nic nie wiadomo. Wariaci są nieprzewidywalni.

- Odkrycie! - prychnął Emil. - A szczerze mówiąc, od samego początku czuję się obserwowany. Zaczęło się od tej cholernej teczki. Ten świr wie o mnie wszystko. Mam zamiar wysłać Emilę z dzieciakiem na wakacje. Wariat działa tutaj, więc sądzę, że poza Trójmiastem będzie bezpieczniej. Co jeszcze mogę zrobić?

- Uważać jak cholera. - Tym razem to Marek wzruszył ramionami. - Dobrze robisz, że ich stąd ekspedujesz. Niech wyjadą jak najszybciej.

Emil pokiwał głową, a Zebra zmienił temat.

- Nic więcej nie możesz powiedzieć o tym samochodzie?

- Nic. Wyrwał koło mnie chyba setką. I nawet nie wiem, czy to na pewno był ten facet.

- Ale jesteś pewien, że ktoś cię śledził?

- Nawet tego nie mogę być pewien, kurde. - Emil podrapał się w głowę. - Czułem jego wzrok na swoich plecach. Nie pierwszy raz. Uciekał przede mną, krył się między samochodami. Ale nie mam, cholera, pewności! Może to jakiś Bogu ducha winny facet i to ja go wystraszyłem, goniąc po osiedlu? Może mam już paranoję?!

Emil przerwał swój wywód, ponieważ w tym momencie zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Zebra spokojnie dopił swoją kawę, lecz po chwili - zaalarmowany dziwnie napiętym głosem kolegi, podniósł czujnie głowę.

- Co?! - krzyczał Emil podniesionym głosem. - Jak to?! Gdzie teraz jesteś?... Cholera jasna! Zaraz do ciebie jadę. Nie, nie dzwoń na policję. Policja jest tutaj ze mną. Za chwilę będziemy.

- Co jest? - zapytał Marek, gdy przyjaciel odłożył słuchawkę.

- To Marta... - odparł Emil, bardzo blady i z błędnym spojrzeniem. - Właśnie ktoś ją

napadł.

Równie blada, choć już opanowana Marta siedziała w fotelu pod oknem, a na jej kolanach spoczywał Bolero. Zdenerwowany Emil, paląc papierosa za papierosem, kursował w tę i z powrotem po pokoju; rudy kot śledził jego ruchy wzrokiem pozornie sennym, lecz pełnym uwagi. Zebra z zainteresowaniem obserwował twarz Marty. Do tej pory znał ją tylko z opowiadań kolegi. Teraz zauważył, że tych dwoje łączy coś więcej niż tylko luźna znajomość. Nie dziwił się Emilowi. Marta podobała mu się, choć bardziej jako człowiek niż jako kobieta. Zdecydowanie wolał klasyczną urodę Marii Braniewskiej. Marta miała jednak w sobie wiele naturalnego uroku i widać było, że byle co jej nie złamie. Zebra cenił sobie otwartych i silnych ludzi.

- Czyli w ogóle nie widziałaś faceta? - zapytał. Od razu, w naturalny sposób przeszli na ty, Emil przedstawił ich sobie i tak już zostało.

- W zasadzie nie - odparła. - Zaskoczył mnie. Mój przedpokój jest dość ciemny, a ja byłam w szoku. Miał coś na twarzy, chyba kominiarkę. Czarną.

- A wzrost, sylwetka? Stary, młody? Mogłaś się zorientować po ruchach?

- Wyższy ode mnie, to pewne. - Marta pogłaskała kota. - Chyba średniego wzrostu. Na pewno nie starzec, sąsiadka widziała, jak przeskakiwał przez parkan, kiedy uciekał. Ale młody chłopiec też raczej nie. Nie wiem, średni wzrost, średnia tusza, średni wiek. Chyba niewiele wam pomogę - zaśmiała się gorzko.

- Szedł za tobą?

- Możliwe - odparła. - Wcześniej ktoś zadzwonił na moją komórkę i nie odezwał się. Tak samo jak poprzednio. Nie mam pojęcia, czy szedł za mną, czy czekał na klatce. Ale fakt, że ktoś mnie osaczał, tak to czułam.

Emil usiadł wreszcie przy stole.

- Sprawdziałaś, z jakiego numeru dzwonił?

- Z prywatnego.

- Sprawdzimy to - wtrącił Zebra. - Na pewno nic ci nie zginęło?

Marta dotknęła łańcuszka na szyi. Rzucił się w oczy, stara misterna robota, srebrny wąż z główką z zielonego kamienia.

- Zerwał mi wisiołek - powiedziała. - Zamieniłam łańcuszek, ten stary leży na stole. O, proszę. Nie wiem, czy zrobił to celowo czy przez przypadek, w trakcie szarpaniny.

- Oczywiście zbadamy odciski palców, chociaż, jeśli twierdzisz, że miał na sobie rękawiczki...

- Na pewno miał - skrzywiła się - tego akurat jestem pewna.

- I spłoszył go - Zebra uśmiechnął się z sympatią, wskazując palcem Bolera - ten tu waleczny tygrys?

- Sto procent - odwzajemniła uśmiech, przytulając czule rudego dryblasa.

- Zasłużył na medal - przyznał Marek.

- Chyba go polubię - mruknął Emil, zerkając na kocura, który spojrzał na niego lekceważąco. - Ale raczej bez wzajemności.

- Bolero kocha mnie miłością bezwzględna - oznajmiła Marta z uśmiechem.

- Chyba nie tylko on - mruknął Marek, aż Emil spiorunował go wzrokiem, a Marta udała, że nie dosłyszała; zarumieniła się jednak nieznacznie.

- Żarty na bok - Zebra chrząknął i zapalił papierosa z leżącej na stole paczki Emila. - Jak ty się czujesz? Jesteś pewna, że nie potrzebujesz pomocy? Czy te sąsiadki nie mogły od razu wezwać pogotowia?.

- Daj spokój - machnęła ręką. - Nic mi nie jest. Tylko szyja trochę mnie boli, mam sińce, ale to przyszcz! Tylko... Trochę się boję. Wiem, że to głupie, przecież on na pewno nie spróbuje po raz drugi, ale... To mieszkanie w tej chwili szczególnie na mnie działa.

- Pojedziesz do mnie! - zdecydował Emil stanowczo. - Jestem ci coś winien. Jeśli chcesz, to sam pojedę do Zebry.

A. w razie czego mam łóżko polowe. Pakuj siebie i kota, będzie robit za przyzwoitkę.  
- Ale...

- Dobra, to ja będę leciał - przerwał im Zebra. - Trochę się spieszę. Pożycz mi ten wisiołek, dobrze? I daj namiar na swoją komórkę. Nie, nie podnoś się, nie trzeba. To na razie!  
- mruknął do Emila, by ten odprowadził go do drzwi.

- Ona wie? - zapytał w przedpokoju.

- Trochę - przyznał Emil. - Ale chyba nie łączy tego napadu z tamtą sprawą.

- Więc lepiej niech łączy - powiedział Marek. - Będzie ostrożniejsza. A to jest w tej chwili najważniejsze. Dobrze jej pilnuj. Bo teraz już widać, że raczej nie popadłeś w paranoję. Niestety.

Emil nie odpowiedział, namyślając się nad czymś głęboko. Zebra, już z ręką na klamce, spojrzał na niego pytająco.

- Słuchaj... - odezwał się wreszcie Emil z wahaniem. - Nad jednym się zastanawiam. Gdyby tak można było pobrać materiał genetyczny... z pazurów kota?

Marek zmarszczył brwi.

- A wiesz... Nie pomyślałem o tym. Może to nie jest głupi pomysł. Marta nie będzie chyba miała nic przeciwko temu?

- Nie sędzę.

- Zaraz kogoś do was podeślę. Tylko uprzedź Martę!

- Podeślij do mnie - odparł Emil. - Zaraz się stąd wynosimy.

- Skoro tak twierdzisz - Zebra uśmiechnął się znacząco. Emil puścił tę uwagę mimo uszu.

- Daj znać, gdyby coś z tego wyszło.

- Odezwę się jutro. Trzymaj się! - mrugnął raz jeszcze i wyszedł. - jakby co, to naturalnie możesz spędzić noc u mnie - dodał jeszcze szeptem zza progu, zanim Emil z hukiem zatrzęsął za nim drzwi.

Emil wrócił do pokoju, gdzie Marta wciąż nie ruszyła się z miejsca.

- No! - ponaglił ją. - Na co czekasz?

- Jesteś pewny? - zapytała, zabawnie przechylając głowę na bok. - Nie musisz robić za miłosiernego Samarytanina.

- Ale chcę. - Wzruszył ramionami. - Szkoda czasu, pakuj się!

- Dobra. - Podniosła się wreszcie z fotela. - Skoro sam chcesz. Czy możesz zabrać z kuchni torbę z kocią karmą? Stoi obok lodówki. I miseczki. Ja wezmę tylko przybory toaletowe i coś do spania. Emil, słuchaj. Ten, co mnie napadł... To nie był przypadek, co? To ten wariat od Sądu Ostatecznego, prawda?

Emil zrobił wielkie oczy. Nie przypuszczał, że przyszło jej to do głowy.

- Nie jestem naiwna - uśmiechnęła się, widząc jego reakcję. - Łatwo sobie to wszystko połączyć.

- Pogadamy u mnie - odparł. - Właśnie też myślałem, że powinniśmy poruszyć ten temat.

- A masz coś na kolację?

- Kupimy po drodze - zapakował do foliowego worka dobytek Bolera. - Z tym nie ma problemu.

- O tej porze?! - Marta puknęła się w czoło. - Nie będziemy chyba szukać teraz nocnych sklepów? Zabiorę coś. Jestem głodna. Mam zamiar zrobić dziś coś naprawdę pysznego do żarcia. Oczywiście, jeśli pozwolisz? - dodała grzecznie, wiążąc na szyi niebieską jedwabną chusteczkę, tak by zakryć coraz bardziej widoczne siniaki.

## ROZDZIAŁ 18

Mężczyzna był zadowolony. Gotów nawet puścić w niepamięć poprzednie niepowodzenia. Najpierw kapuś prawie go przyłapał. O mały włos, a zobaczyłby jego twarz. Na przyszłość musi być ostrożniejszy. Kapuś już wie, że ktoś go śledzi. A potem suka kapusia. Nierządnica - dała mu powody do gniewu!

Mężczyzna dotknął piekącego, podrapanego czubka głowy. Głębokie zadrapania miał nawet na czole i nosie. Nie pomogło zasłonięcie twarzy. Diabelskie stworzenie wspomogło nierządnicę. Czarownica. Przeklęta czarownica. Miała na szyi ten naszyjnik! To z pewnością ten sam naszyjnik! To znak. Doskonale znał go z opisów, słuchał o nim od dzieciństwa setki razy.

Początkowo miał zamiar tylko nastraszyć nierządnicę i kapusia. Na razie, feschce nie czas. Jednak... Gdy na jej szyi ujrzał naszyjnik - zapragnął natychmiast wydusić z niej życie. Wycisnąć jak cytrynę. Nie udało się. Ale to jeszcze nie koniec, o nie! Pójdiesz do piekła, ty... ty czarownico! Pójdiesz, już wkrótce. Cierpliwości. Trzeba tylko poczekać na właściwy czas. Gdy nadejdzie kolejny znak od Naszego Pana. Cierpliwości. Czas się zbliża.

A póki co, może być zadowolony. Wchodzi właśnie za kolejną potępioną do jej przybytku rozpusty - obrzydliwej nory w starej sopockiej kamienicy. Znalazł tę grzesznicę przypadkiem. Sama do niego podeszła. Dziwka. Wszetecznicza. Jawnogrzesznica. Usłyszał głos. Otrzymał wskazówki. „To ta” - powiedział mu głos. Szatani już na nią czekają.

Prostytutka rozbiera się, w świetle lampy z purpurowym abażurem obnaża swe wyuzdane, grzeszne ciało, splugawione przez węża. Rozpuszcza ufarbowane na czerwono włosy. Mężczyzna czeka, rozparty w fotelu. Nie zgrzeszy. Poczeka tylko, aż stanie przed nim naga, obnażona jak Ewa w raju - gdyż tak samo naga musi wstąpić w bramę piekieł.

Niczego więcej mu nie trzeba. Na samą myśl o tym, co się za chwilę wydarzy - doznaje upojnego orgazmu.

Ale kobieta jest czujna. Coś jej się chyba nie spodobało. A może dostrzegła to w jego oczach. Była już niemal rozebrana, tylko w koronkowym gorsecie z fiszbinami, czarnych pończochach i butach na szpilce, gdy nagle coś się w niej odmieniło. Na brzydkiej, upudrowanej twarzy odmalowały się podejrzliwość i przestrasz.

- Wynoś się! - zapiszczała chrapliwym głosem. - Spadaj stąd! Ty jakiś popierdolony jesteś! Nic z tego nie będzie. Wynocha!



Jednocześnie zaczęła cofać się przed nim w kierunku porysowanej komody naprzeciwko rozbebeszonego łóżka, nakrytego tylko z wierzchu wypłowiałą narzutą ze sztucznego pąsowego atlasu. Nie mógł czekać dłużej. Jeszcze chwila, a zaczęłaby krzyżeć. Zerwał się z fotela i jednym skokiem dopadł sukę. Złapał ją za włosy i już, już miał zacisnąć palce na miękkiej, zwiotczalej szyi - gdy raptem w jej dłoni coś zabłyśło. Był to chłodny, metaliczny odblask. Coś huknęło w powietrzu, zanim zdążył wykręcić jej rękę. Zaraz potem zaczęła wrzeszczeć, a ostry, przeraźliwy krzyk wibrował mu w czaszce. Walnął ją na oslep pięścią w twarz i rzucił się do drzwi.

Dzwonek telefonu o świcie wyrwał Emila ze snu. Śpiąca obok kobieta zamruczała i oswobodziła się z jego ramion, naciągając na głowę kołdrę. Szybko podniósł słuchawkę, by nie rozbudziła się całkiem.

- Halo - mruknął zaspanym głosem.

- Słuchaj, mam bombę! - Rozpoznał podniecony głos Zebry. - Chyba jest przełom w sprawie! Ocknij się! Jesteś sam? - zreflektował się nagle.

- Nie - bąknął Emil. - Ale gadaj...

- No więc dziś w nocy w Sopocie była napaść na prostytutkę - ciągnął Zebra, wciąż podekscytowany. - Całe szczęście kobieta to zgłosiła, zresztą i tak pół kamienicy było świadkami zdarzenia, słyszało wystrzał, krzyki, trzaskanie drzwiami i hałasy na klatce schodowej. Przed chwilą właśnie skończyliśmy przesłuchiwać poszkodowaną. Otóż nasza dama lekkich obyczajów poderwała klienta na ulicy. Facet od początku wydawał się jej dziwny. Określiła go jako niemowę, bo ani razu się nie odezwał. Tylko dyszał, kiedy się rozbierała, wszystko działo się w wynajmowanym przez nią lokalu. A. w oczach podobno miał szaleństwo. Odezwał się w niej więc zawodowy instynkt. Intuicja. Przestraszyła się i chciała go spławić, a wtedy się na nią rzucił. Babka jest jednak, że tak powiem, zaradna, posiadała broń, notabene niezarejestrowaną. Nieważne. Wystrzeliła w czasie szarpaniny, facet dał nogę. Ale czegoś zapomniał. Na stoliku znaleźliśmy pocztówkę. Zgadnij jaką.

- Sąd Ostateczny Memlinga - nonszalancko rzucił Emil.

- Dokładnie! - zawołał Zebra. - Tym razem współczesną, wydaną przez Muzeum Narodowe. No, to chyba nie może być przypadek. Mordercy chyba wreszcie powinęła się noga!

- Macie rysopis?

- Mamy. Facet w nieokreślonym wieku, średniego wzrostu i średniej tuszy, o nieokreślonym kolorze włosów, ubrany w jasny garnitur. Nosił okulary, które w międzyczasie schował do kieszeni. Czyli nie musi ich nosić przez cały czas. Ale jest i coś

charakterystycznego: miał podrapaną twarz.

Emil zerknął z uznaniem na Bolera, śpiącego w nogach łóżka.

- Cudów nie ma - odparł. - To on. Tylko gównu nam przyjdzie z tego opisu. Macie coś konkretnego? Odciski palców?

- Niestety, facet był w rękawiczkach, jasnych, zamszowych. Między innymi i to zastanowiło naszą panienkę. Kto w środku lata zakłada rękawiczki?

- Cholera - mruknął. - Ale zawsze coś. W razie czego ktoś będzie go mógł zidentyfikować. Tylko niech ona teraz na siebie uważa! Możecie dać jej jakąś ochronę?

Zebra zaśmiał się.

- Zobaczą, co da się zrobić - odparł. - Możemy ją zatrzymać na jakiś czas. Przy okazji znaleźliśmy prochy. No i ta niezarejestrowana broń.

- To jest też nie najgorsze rozwiązanie. - Emil uśmiechnął się pod nosem. - Dla jej dobra. Dzięki za informacje. Jesteśmy w kontakcie.

- Czekaj, czekaj! - Marek powstrzymał go przed odłożeniem słuchawki. - Jak rozumiem, Martę ty chronisz? A, tak w ogóle... Wszystko w porządku?

- Spadaj!

- Ja się tylko troszczę - zachichotał Zebra. - Nie możesz zwierzyć się kumpłowi?

- Nie o tej porze. - Żądło spojrział na zegar: trzecia nad ranem. - Bądź człowiekiem i daj bliźnim jeszcze trochę pospać.

Odłożywszy słuchawkę, położył się znowu obok Marty i objął ją ramieniem. Otworzyła na moment jedno oko.

- Coś ważnego? - zapytała, ziewając.

- Nie - odparł lekko. - Potem ci powiem. Jeszcze wcześniej. Śpij.

Zasnęła niemal natychmiast. Emil natomiast nie mógł już zmrużyć oka. Zdecydowanie za dużo wrażeń jak na swój wiek - pomyślał. Lecz po raz pierwszy od bardzo dawna, mimo niesprzyjających okoliczności - czuł się szczęśliwy.

## ROZDZIAŁ 19

Obudził go zapach jajecznicy.

- Cześć. - Marta stała nad nim z patelnią w ręku. - Zapraszam na śniadanko.

Emil nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie dość, że Marta naprawdę była u niego - to na dodatek z jajecznicą! To nie sen.

- Już wstałaś? - zapytał odruchowo.

- Jak widać - zaśmiała się. - Za to ciebie nie można dobudzić. Jesteś gorszy od Bolera. A tu taka pyszna jajeczniczka czeka - sugestywnie powąchała patelnię.

Nagle Emil przypomniał sobie poranny, czy też może raczej nocny telefon Zebry. No tak. Musiał później zasnąć i to jak kamień. Zerwał się z łóżka.

- Zaraz będę gotowy! - zawołał, całując Martę w policzek na przywitanie. - Tylko się trochę opłuczę!

Myjąc się pospiesznie i podśpiewując radośnie pod nosem, przypominał sobie wczorajszy wieczór.

Pobranie próbki genetycznej z pazurków Bolera przeszło bezboleśnie. Kocur, przyzwyczajony do regularnego przycinania pazurów, nie odczuwał stresu, a nawet z dość zabawnym zainteresowaniem obserwował zabiegi sympatycznej policjantki. Gdy procedura dobiegła końca i znaleźli się wreszcie sami, Marta przygotowała spaghetti po neapolitańsku, a Emil przyrządził sałatkę. Otworzyli białe wino, które jakimś cudem uchowało się nietknięte w barku Emila. Kolację zjedli przy świetle świec - nie ze względu na romantyzm sytuacji, a tylko dlatego, że nad miastem przeleciała krótka, lecz gwałtowna burza i przez około pół godziny nie było prądu. Przy okazji stworzył się właściwy nastrój. Niemal filmowy. Po kolacji Emil wyjął z ręki Marty kieliszek i pocałował ją - wciąż w blasku świec. Jej miękkie wargi pachniały winem. Nieśmiało wodził dłońmi po jej plecach i ramionach, muskał ustami obolałą szyję. Lecz to ona pierwsza rozpięła guziki przy jego koszuli.

Kochali się przy akompaniamencie burzowych grzmotów, obserwowani przez baczne i niebotycznie zdziwione spojrzenie Bolera, który najwyraźniej wahał się, czy powinien bronić swojej pani, czy też raczej zignorować idiotyczne ludzkie igraszki. Ostatecznie wybrał to drugie rozwiązanie i ułożył się do snu w jedynym fotelu, stojącym przed komputerem. W nocy jednak znalazł się pomiędzy nimi - jakby pragnął zmanifestować swoje prawa - co Emil odczytał także jako aprobatę dla swojej osoby. Nad ranem kocur, po spokojnym i bez

świadków zwiedzeniu nowego terytorium, ułożył się w nogach łóżka i tak dotrwali razem aż do świtu, kiedy to zadzwonił Zebra.

No właśnie, Zebra. Trzeba będzie pogadać o tym z Martą. Choć to nie najszcześniejszy temat przy pierwszym wspólnym śniadaniu.

- No, wyłaż wreszcie! - usłyszał wołanie Marty. - Jajecznicę stygnie!

Prędko odwiesił ręcznik, narzucił na siebie dżinsy i koszulę. Dziwne, ale poczuł się wreszcie jak w prawdziwym domu.

Marta wyglądała świeżo i ponętnie, ubrana w jego podkoszulek i uczesana w luźny koński ogon. Tylko na jej szyi wciąż widać było ślady po spotkaniu z szaleńcem. Pocałował ją jeszcze raz, gdy nakładała jajka na talerze. W dzbanku - zapomniał nawet, że takowy w ogóle posiada - parowała mocna, aromatyczna herbata, którą Marta przezornie przywiozła z domu.

Po jedzeniu wtajemniczył ją z grubsza w najnowsze informacje uzyskane od Zebry.

- Wszystko się zgadza - stwierdziła. - To on!

- Wnosisz to z opisu? - Uśmiechnął się.

- No jasne - odparła. - Jego cechą jest nijakość. To ten sam facet, mówię ci.

- Powinniśmy teraz zachować ostrożność - oświadczył ostrożnie. - Może nie pojedziesz dzisiaj do pracy?

- Nie mogę. Muszę jak najszybciej dostarczyć faktury do księgowości, poza tym mam sporo roboty.

- Dobra, odwiozę cię i potem po ciebie przyjadę. Sama się nigdzie nie ruszaj.

- Martwię się tylko o Bolera. A jak świrowi przyjdzie do głowy się na nim mścić? - martwiła się Marta.

- Nie spuszczę z niego oka, nie bój się - obiecał.

- Ale my nie możemy zostać tutaj - zmieszana spojrzała na niego czujnie. - U siebie mam wszystkie materiały, potrzebne mi do pracy, książki, wszystko.

Emil posmutniał.

- Pogadamy o tym później - stwierdził w końcu, pragnąc odsunąć jej decyzję w czasie.

- Na razie zostaw tu Bolera. Damy sobie razem radę.

- Co to jest? - zapytała nagle Marta, spoglądając na wydruk jego artykułu o tryptyku dla „Rozgwiazdy”, leżący na biurku. - Napisałeś tekst o Memlingu?

- Tak - przyznał nieśmiało. - Właśnie chciałem, żebyś go przejrzała.

- Jasne. - Uśmiechnęła się. - Ale nie teraz, dobrze? Naprawdę nie mogę spóźnić się do pracy.

- Po pracy? - zaproponował uszczęśliwiony. To oznaczało, że wieczorem oboje wrócą razem, tutaj.

- Dobra - zgodziła się. - A co to za zdjęcia?

- No właśnie, je także przejrzyj. Muszę wybrać coś do zilustrowania tekstu. Są tam zdjęcia z bazyliki, muzeum z zewnątrz, zdjęcia tryptyku, dworca z obrazem. No, rozumiesz. Pomożesz mi coś wybrać?

Marta szybko przejrzała zdjęcia. Nagle zmarszczyła brwi i zatrzymała wzrok na jednym z nich.

- Skądś znam tego gościa - powiedziała powoli, przyglądając się fotografii w skupieniu.

- Którego?

Podawała mu zdjęcie. Przedstawiało budynek muzeum od strony głównego wejścia. Zrobił je chyba wówczas, gdy był tam pierwszy raz. Rzeczywiście, na chodniku między drzewami stał jakiś facet.

- Powtarza się na paru ujęciach. - Marta powoli przeglądała odbitki. - Tutaj wyraźnie się gapi, a tu odwraca głowę, jakby kapnął się, że możesz go przypadkiem sfotografować. Znam skądś tę twarz, tylko nie mogę skojarzyć.

- Daj spokój - machnęła ręką, przyglądając się fotografii.

- Fotografowałem elewację. Faceta ledwo widać. Jest za daleko i do tego zamazany. Nieostry albo poruszony, trudno nawet rozróżnić rysy.

Marta wzruszyła ramionami i odłożyła zdjęcia.

- Pewnie masz rację, może mi się tylko wydaje. Potem coś z tego wybierzemy, dobrze? - odparła. - Muszę się ubrać.

- Ale to nie ten facet, co wysiaduje przed tryptykiem?

- Nie, tamten jest stary! - odkrzyknęła z przedpokoju.

- Tamtego goniłeś wtedy, co ci go pokazywałam. To na pewno nie ten sam!

- Pewnie przypadkowy przechodzień - zbagatelizował Emil, wrzucając zdjęcia do torby. - Albo jakiś zwykły gość muzealny, może znasz go z widzenia?

- Możliwe - powiedziała, wchodząc do pokoju z torebką w ręku, wiążąc apaszkę na szyi. - Jedziemy?

Ale w tym samym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

- Chyba ci nie przeszkadzam?! - Emila, opalona na brąz, wymalowana i wystrojona, niedwuznacznie demonstrowała stanowczy zamiar wtargnięcia do mieszkania choćby po trupach.

- Prawdę mówiąc, właśnie wychodzę. - Zmieszany Emil niezbyt chętnie usunął się jej z drogi.

- Nie zajmę ci dużo czasu. - Usta Emili wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu. - Przyszłam po pieniądze... O! - Zatrzymała się jak wryta w progu pokoju. - Widzę, że jednak przeszkadzam. Proszę, proszę... Nie sądziłam, że przyjmujesz gości z samego rana!

Marta ze stoickim spokojem wytrzymała jej szydercze spojrzenie, a nawet je odwzajemniła.

- Dzień dobry - powiedziała. - Zapraszamy. Na chwilę, ponieważ zaraz musimy wyjść. Spojrzała pytająco na Emila.

- Moja była żona. - Żądło poczuł się w obowiązku przedstawić sobie obie kobiety. - Moja... przyjaciółka.

- Marta - dokończyła za niego pozornie swobodnym tonem.

- Rozumiem, rozumiem... - przeciągłym tonem odparła Emila, mierząc ją znaczącym spojrzeniem.

- Zostawiłaś Bartka samego?! - zaatakował Emil.

- Spokojnie. - Przeniosła wreszcie wzrok na niego. - Bartek jest pod dobrą opieką. Zostawiłam go u sąsiadów. Jak rozumiem, pani tu mieszka? - zwróciła się ponownie do Marty.

- Nie. Przebywam tutaj chwilowo. - Aha...

- Emil, może ja lepiej pojedę tramwajem? - Marta spojrzała na zegarek. - A ty załatw swoje sprawy z żoną.

- Teraz rozumiem, czemu chcesz nas odesłać - rzuciła mu Emila, lekko podniesionym tonem. - Po prostu chciałaś pozbyć się dziecka!

- Co ty za brednie wygadujesz?! - zdenerwował się Emil. - Marta, zaczekaj jeszcze chwilę, zaraz jedziemy - spojrzał na Emilę, starając się panować nad sobą. - Powiem ci jeszcze raz krótko: grozi wam niebezpieczeństwo. Szczególnie Bartkowi. Lepiej mi uwierz. Chroń go przed kontaktem z obcymi ludźmi, nie spuszczaaj z oka. Dostaniesz kasę, zaraz. Tylko musimy podjechać do bankomatu. I wyjeżdżajcie jak najprędzej z Gdańska. Wychodzimy. Zatrzymamy się przy najbliższym bankomacie, tam wezmę pieniądze, wysadzę cię i odwożę Martę. Później jeszcze się z tobą skontaktuję. Zrozumiałaś mnie dobrze?

Emila nie odpowiedziała. Nadąsana spojrzała na Martę z niechęcią.

- Może mu pani wierzyć - pokiwała głową Marta i rozwiązała na moment apaszkę. - Proszę popatrzeć. To pamiątka po spotkaniu z wariatem, który prześladowuje Emila. I niestety, nie tylko jego.

Emila wzruszyła ramionami, lecz w jej oczach pojawił się jakby cień niepokoju. Odruchowo dotknęła ręką własnej - trzeba przyznać, że nad wyraz ponętnej - szyi.

- Mówiłam, że znowu się w coś wplątał! - popatrzyła na niego oskarżycielsko. - No dobra, jedźmy do bankomatu i skończmy z tym wreszcie.

Emil wyskoczył z auta i w drodze do bankomatu przeliczał szybko stan swojego konta. Nie było już na nim zbyt wiele. Będzie musiał szybko napisać coś dla Klęczki. Szymon zaproponował mu wprawdzie napisanie artykułu o hotelach i pensjonatach w Trójmieście, lecz dużej kasy z tego nie będzie - zwłaszcza że nawet się jeszcze nie zabrał za robotę. Zgodził się bardziej z sympatii dla „Rozgwiadzy”. I ze względu na to, że temat stanowił idealny pretekst do rozejrzenia się po hotelach oraz gościach hotelowych.

Tymczasem postanowił wziąć pieniądze z karty kredytowej, której posiadaczem był od niedawna. Mówi się trudno. Najważniejsze to wysłać synka jak najdalej od tego miasta.

Wręczył Emili zwitek banknotów. Przeliczyła je starannie, po czym schowała do swojej lakierowanej torebki

- Muszę przyznać, że jesteś hojny. Nie musisz dzwonić - rzekła na odchodnym z godnością. - Jutro rano wyjeżdżamy. Nie musisz wiedzieć dokąd, jak będziesz chciał się z nami skontaktować, dzwoń na moją komórkę. Do widzenia pani - zwróciła się do Marty z przesadną grzecznością. - Życzę szczęścia!

- Ładna - stwierdziła Marta, odprowadzając wzrokiem oddalającą się dumnie deptakiem, postukującą wysokimi obcasami Emilę. - Dlaczego się z nią rozwiodłeś?

- Różnice charakterów. - Skrzywił się, wykręcając z parkingu. - Ale wolałbym teraz na ten temat nie rozmawiać.

- Okej - skwitowała. - Myślisz, że naprawdę wyjadą?

- Wyjadą - odparł z przekonaniem. - Chyba udało mi się ją naprawdę nastraszyć, i tobie też. Dzięki. Nie wierzę, że ten psychol skrzywdziłby dziecko, ale... Z takimi nigdy nie wiadomo.

- Dlaczego sądzisz, że nie skrzywdziłby dziecka? Naprawdę podejrzewasz go o jakieś ludzkie uczucia?

Emil zastanowił się.

- Nie o to chodzi. Na obrazie nie ma dzieci - powiedział wreszcie. - Dzieci nie są grzesznikami.

- Oby przecucie cię nie myliło - westchnęła. - Ale to prawda, na obrazie nie ma dzieci. Dziwne. Dopiero teraz zwróciłam na to uwagę. Jednak nie zaufałabym mu za grosz. Szaleńcy są nieprzewidywalni!

- I właśnie dlatego wolę, żeby Bartek wyjechał z Gdańska - pokiwał głową Emil. -  
Będę spokojniejszy.

W głębi ducha daleki był jednak od uczucia spokoju.

Umówili się, że Emil przyjedzie po nią po południu, a potem zdecydują, co dalej  
robić. Marta kazała mu jak najszybciej wracać do Bolera. Bała się o swego pupila. Poza tym -  
jak tłumaczyła - kocur z pewnością czuje się zagubiony w obcym miejscu.

Gdy Emil wszedł do mieszkania, rudzielec wybiegł do drzwi, lecz - widząc tylko jego  
skromną osobę - rozczarowany wycofał się do pokoju i ostentacyjnie usadowił w fotelu.  
Emanował obojętnością, lecz bynajmniej nie wyglądał na zagubionego.

- Co, kocie? - zaśmiał się Emil. - Chyba jesteś dziś na mnie skazany. Ale nie dąsaj się,  
to nie moja wina. Czekaj, zaraz nasypię ci chrupków, Marta kazała mi cię nakarmić. Co my tu  
mamy? Proszę, tuńczyk z makrelą. Pychota!

Jego monolog został przerwany przez dzwonek telefonu. Zerknął na wyświetlacz -  
ukazał się na nim napis „numer prywatny”.

- Halo?

Odpowiedziały mu tylko trzaski w słuchawce.

- Halo?! Milczenie.

Połączenie zostało przerwane.



## ROZDZIAŁ 20

Od wczorajszego wieczoru Emil miał jeszcze trzy głuche telefony. Poprosił Zebra o sprawdzenie numeru, z którego dzwoniono, lecz Marek przekazał mu niezbyt budującą informację. Po sprawdzeniu telefonu Marty okazało się, że ktoś wydzwaniał z komórki zarejestrowanej na pierwszą ofiarę mordercy, ową Wiolettę Górczyk. Przy okazji Zebra oddał Emilowi naszyjnik Marty. Oczywiście nie znaleziono na nim żadnych podejrzanych odcisków. Udało się natomiast wyodrębnić materiał genetyczny pobrany z pazurków Bolera. Nic to jednak nie wniosło na razie do sprawy z powodu braku materiału porównawczego.

Marta uparła się poprzedniego popołudnia, że chce wracać do swojego mieszkania.

- Dobrze mi z tobą, ale brakuje mi moich rzeczy, książek, drobiazgów - tłumaczyła. - U siebie mimo wszystko czuję się jakoś pewniej. Pozamykam się na wszystkie zamki i nie będę nikomu otwierać. Przepraszam... Może nie jestem jeszcze gotowa.

- Czy to przez Emilę? - zapytał.

- Nie, skąd! - Machnęła ręką. - Czy wyglądam na taką delikatną? Ja po prostu jestem trochę jak kot. Trudno mi zmieniać przyzwyczajenia. Nie dąsaj się. Zostawmy na razie wszystko tak, jak jest.

- Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo. No i co z kotem?

- Bez przesady. Będę uważała. Cały dzień i tak jestem w pracy, a potem przecież po mnie przyjedziesz. Bolera oddam na czas mojej nieobecności sąsiadom. Zna ich i lubi, a tam zawsze ktoś jest w domu.

Nie było sensu dłużej się upierać i późnym wieczorem odwiózł Martę do domu. Dziś rano zadzwoniła, że wszystko w porządku, Bolero pod dobrą opieką, ona w pracy. Umówili się, że Emil przyjedzie do muzeum o siedemnastej.

Gdy podjechali pod jej dom, wszystko wyglądało w porządku. Emil dokładnie sprawdził mieszkanie, potem poszli po kota do sąsiadów, piętro wyżej. Marta była zmęczona i rozbita. Wprawdzie póki co nikt już nie zakłócał jej spokoju - tajemnicze telefony urwały się, a o tym, że teraz ktoś dzwoni do niego, Emil wolał jej na razie nie mówić - jednak ostatnie dni pełne były wrażeń.

- Dobrze zamknij drzwi i zdrzemnij się - powiedział, całując ją na pożegnanie. - Ale musimy być w stałym kontakcie. Dzwonimy do siebie na zmianę, co godzinę. Ty pierwsza, jak tylko się obudzisz. I gdyby coś było nie w porządku. I gdybyś się bała... Pamiętaj!

Marta uśmiechnęła się promiennie. Na jej szyi zamigotał naszyjnik, którego blask maskował ślady siniaków. Mimo podkrążonych oczu i wyraźnie widocznego na twarzy zmęczenia wyglądała przepięknie. Przynajmniej w jego oczach.

- Tak jest, szefie! - Zasalutowała żartobliwie i pocałowała go w czubek nosa. - Nie martw się. Jedź już i też odpocznij.

Skręcając na Przymorze, pomyślał, że to dobry pomysł. Zapomnieć choć na chwilę o Sądzie Ostatecznym oraz wariacie mordującym ludzi i zwyczajnie przespać resztę dnia. Ostatniej nocy za bardzo się denerwował, by spać.

Jednak gdy tylko włożył klucz w zamek, przekonał się, że coś jest nie w porządku. Drzwi były otwarte. Uchylił je lekko, przystanął w progu i przez moment zastanawiał się, czy mogło być tak, że zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Nie. Dokładnie pamiętał, że zamykał. Nawet sprawdzał dwa razy.

To, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach...

Mieszkanie nie było nawet splądrowane. Wszystko znajdowało się chyba na swoim miejscu. Tyle że coś przybyło. Na wszystkich ścianach widniały reprodukcje Sądu Ostatecznego Memlinga. Ktoś poprzyklepał je taśmą klejącą wprost do tapet. Obraz w całości i zbliżenia poszczególnych fragmentów. Na jednej z nich - największej i umieszczonej w najbardziej widocznym miejscu, nad łóżkiem - zauważył coś jeszcze: dwa nagie ciała, kobiety i mężczyzny, zakreślono grubym, odblaskowym, czerwonym flamastrem.

- Słuchaj, ty się może lepiej odczep od tego śledztwa! - rzucił mu w twarz wyjątkowo zdenerwowany Zebra. - To już jest jawna pogrożka! Kurwa mać, on chce cię dopaść! Swoją drogą, wyjątkowo atrakcyjne pozy dla was wybrał, sukinsyn - dodał, jeszcze raz zerkając na zakreślone czerwonym flamastrem postaci.

- Gdyby chciał, to już by dopadł - odparł Emil. - To pogrożka, owszem, ale także wyzwanie! Nie mam zamiaru skurwielowi odpuszczać.

- Ale Martę już zaatakował - rzucił Zebra, podczas gdy policyjny fotograf robił zdjęcia mieszkania, a technicy szukali śladów. - Chcesz ryzykować?

- Głupi jesteś! Marta tak czy inaczej jest powiązana z tryptykiem. Dopadnie ją, jeśli odpuszczę. Dopóki facet bawi się z nami w kotka i myszkę, ona jest bezpieczna. Tak czuję. To jest jego gra. Dlatego telefonował. Rajcuje go to. Poza tym będę chronił Martę. Czekaj, muszę do niej zadzwonić!

Wyszedł z komórką na klatkę schodową.

- Marta?

- Coś się stało? - jej zaspany głos stał się czujny.

- Było do mnie włamanie - odparł. - U ciebie wszystko w porządku?

- Tak... Jakie włamanie?! Ten wariat?

- Tak. Reprodukce Sądu... Opowiem ci wszystko później, teraz jest tu policja.

Nikommu nie otwieraj, klucze zostaw w zamku.

- Przyjedź.

Serce zabiło mu mocniej.

- Dobrze, przyjadę po wszystkim - obiecał. - Nie wiem, kiedy to będzie, ale przyjadę.

Na razie się pilnuj. Może zaprosiłabyś którąś z sąsiadek na herbatę?

- Zastanowię się.

Emil wrócił do mieszkania.

- Zależy ci na niej? - Pokiwał głową Zebra.

- Zależy.

- A co z Emila i dzieckiem?

- A co ma być?! - zachnął się Emil. - Jesteśmy dawno po rozwodzie. Nie masz już o czym gadać w takiej chwili?

- Idioto, mam na myśli, czy już wyjechali!

- Cholera, mieli wyjechać dziś rano, ale Emila przysłała esemesa, że coś jej wypadło i wyjeżdżają jutro. - Zdenerwował się. -- Sądysz, że...

- Sam do niej zadzwonię - przerwał mu Marek. - Będzie oficjalnie.

Zadzwonił ze służbowej komórki. Rozmowa trwała minutę.

- Wszystko jest okej - powiedział do Emila, rozłączywszy się. - Mają pociąg jutro o siódmej trzydzieści rano. Wyślemy do niej zwiadowcę. Musisz być z nią w kontakcie, dziś i jutro. Chyba ją trochę nastraszyłem.

- To dobrze.

- Czyli sobie nie odpuścisz? - Nie.

Zebra wzruszył ramionami.

- Cieszę się, bo sporo nam pomagasz - przyznał. - Ale nie szarżuj. Odpowiadam również za twoje bezpieczeństwo.

- Jasne.

- Gotowe? - Zebra odezwał się do ekipy. - No, to my już tu kończymy. Zleczę dyskretną obserwację twojego domu. Bądź ostrożny.

- Dzięki.

- Trzymaj się.

Gdy policja odjechała, Emil spakował laptop, najważniejsze papiery, szczoteczkę do

zębów i kilka łąchów do przebrania. Zdecydowany był nie spuszczać oka z Marty. Pojedzie do niej i zostanie tak długo, jak będzie trzeba. Może spać na kanapce, może nawet i na wycieraczce. Ma tylko dwie ważne dla siebie osoby: syna oraz Martę. Oni muszą być bezpieczni. Jeśli ktoś ma się narażać, to tylko on. I niech się dzieje, co ma się dziać.

Odpuścić nie zamierza. Dorwie sukinsyna. Choćby nawet miał postradać przy tym własne zasrane życie. Ono nie jest w końcu aż tak wiele warte.

## ROZDZIAŁ 21

I znowu przenikliwy dzwonek telefonu wyrwał go z objęć Marty. Niezbyt przytomnie zerknął na zegar ścienny, wiszący na przeciwległej ścianie - dochodziła dziesiąta! Słońce zaglądało już przez ażurowe firanki, rzucając rozproszone, jasnozłote smugi na pościel. Marta usiadła, jeszcze nie do końca rozbudzona. Na jej nagie, gładkie jak aksamit ciało również padły jasne promienie. Sygnał nie ustawał. To rozdzwoniła się komórka Emila.

- Boże drogi, co się znowu dzieje? - jęknęła przestraszona Marta. Jej głos zdrzął lekko w przeczuciu kolejnego zagrożenia.

Emil poczuł nagle bicie serca. Bartek! Porwał telefon z nocnego stolika.

- Słucham?! - wykrzyknął zachrypniętym głosem.

- Gdzie jesteś?! - W głosie Zebry brzmiało napięcie.

- U Marty. Co się stało?

- Przyjeżdżaj. Jestem u ciebie w domu.

- Co? Nie rozumiem.

- Kurwa, nie musisz nic rozumieć! Nikt nic nie rozumie! Nie otwierałeś, więc wyważyliśmy drzwi!

- Mów, co się stało!

Emil pochwycił przerażone spojrzenie Marty. Znieruchomiała z kołdrą ściśniętą kurczowo pod brodą.

- Znalezione naszego wywiadowcę, martwego - usłyszał z drugiej strony słuchawki zduszony głos przyjaciela. - W samochodzie pod twoim domem. Uduşony, rozebrany do naga, upozowany jak na obrazie. Na siedzeniu obok leżała pocztówka, wiesz jaka, wydanie muzealne. To był, kurwa, młody chłopak. Miał żonę i małe dziecko, które teraz zostało sierotą. Oni jeszcze, kurwa, o niczym nie wiedzą.

Emil poczuł, że coś podchodzi mu do gardła i wypełnia oczy wilgocią.

- To moja wina - powiedział głucho. Zebra zachnął się.

- Nie pieprz głupot! - odparł wzburzony. - Bałem się, że i ciebie znajdę w tym samym stanie. Musisz teraz zmienić zamki. To nie twoja wina, tylko tego szajbusa. Kto mógłby coś takiego przewidzieć?! Jeśli już, to prędzej ja powinienem. Szkoda czasu, możesz zaraz przyjechać? A najlepiej przyjeżdżajcie oboje. Mam parę pytań do Marty.

- Co się stało? - zapytała, gdy rozłączył się i siedział nieruchomo, wpatrzony martwo

w ścianę. Bolero wskoczył na łóżko, polizał Martę w nos, a następnie - z wahaniem - otarł się o rękę Emila, który pogłaskał go odruchowo po grzbiecie.

- Zabił policjanta - odparł. - Przed moim domem.

- Boże... - jęknęła. - Kiedy to się wreszcie skończy?

- Zaspaliśmy. Idziesz dzisiaj do pracy?

- Jest sobota. - Marta objęła go pocieszająco. - Mam wolne. Dlatego nie nastawiałam budzika. Myślałam, że... Nieważne. Przestraszyłam się, że... że coś się stało twojemu synkowi.

- Ja też. Ale ten policjant był młody. Osierocił inne dziecko. I także był czyjś synem. Niech to szlag trafi! To moja wina.

Marta wstała i założyła szlafrok.

- Daj spokój - powiedziała. - Nie ty go zabiłeś. To straszne, ale nie dokopuj sobie więcej niż to potrzebne. Ten wariat morduje dla przyjemności. Zabiłby i tak, jeśli nie tego policjanta, to kogoś innego.

- Ubierz się, musimy jechać do Zebry - pominął milczeniem jej argumenty. Wiedział, że ma rację, ale i tak czuł się winien.

- Ja też?

- Prosił o to.

- Dobrze. Zaniosę Bolera do sąsiadki. - Marta skierowała się do łazienki. - Nastaw wodę, napijmy się chociaż kawy.

- Wypijesz kawę? - zdziwił się.

- Dzisiaj tak - uśmiechnęła się blado. - Jako lekarstwo...

Usiedli z Zebłą przy stoliku w mieszkaniu Emila. Marek w niczym nie przypominał dziś zrównoważonego, wesołego człowieka, jakim był na co dzień. Jego spojrzenie stało się chmurne, a twarz blada.

- Wezwałem już ślusarza - powiedział na wstępie. - Pokryjemy koszty.

- Daj spokój - mruknął Emil. - Opowiadaj, co ustaliliście.

- No więc, to musiało stać się w nocy, bliżej świtu, bo o pierwszej jeszcze rozmawiałem z chłopakiem. Meldował się, wszystko było normalnie. A o czwartej rano przyjechał zmiennik i go znalazł. Szczęście w nieszczęściu, że pora nietypowa, nie było gapiów. Poza tym jak zwykle. Brak jakichkolwiek śladów. Nic. Trzeba jednak bydlakowi przyznać, że jest cwany.

- I ostrożny.

- Tak. Rozmawiałem z twoją byłą żoną, są już w drodze. Nasz człowiek odstawił ich

do autobusu, a po przyjeździe miejscowy posterunek będzie miał na nich oko. Nic im nie grozi, mam nadzieję. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, gdzie są. Ale ty kontaktuj się z nimi na bieżąco.

- Tak ustaliliśmy - skinął głową Emil. - Dzięki, Zebra. Za wszystko.

-- To mój obowiązek. Masz tu coś do picia?

- Piwo?

- Dawaj. Do diabła z przepisami. Emil przyniósł trzy puszki i szklanki.

- Też się napijesz? - zapytał Martę.

- Poproszę.

Marek wyciągnął z teczki pocztówkę.

- Znasz ją? - Podsunął obrazek w stronę Marty.

- To nasze wydawnictwo - przytaknęła, nie dotykając go. - Ze zbioru reprodukcji.

Aktualnie w sprzedaży.

- No właśnie. - Marek schował zdjęcie. - Facet musiał kupić ją u was. Albo w inny sposób miał dostęp do tych rzeczy. Chcielibyśmy, żebyś spisała nam wszystkie osoby, pracujące w muzeum razem z krótką charakterystyką. Funkcja, kariera, wiek, płeć, ciekawostki, plotki. Wszystko, co się da. i żebyś zastanowiła się, czy ktoś z gości muzealnych nie rzucił się wam ostatnio w oczy z jakiegoś powodu. Popytaj innych pracowników. Ale dyskretnie. Możecie się i tak spodziewać najazdu zwiedzających. Już się rozniosło, że Memling ma coś wspólnego z tymi morderstwami. Niczego nie uda się zbyt długo utrzymać w tajemnicy. No, to chyba wszystko. I żebyś miała oczy wokół głowy. Mogę cię o to prosić?

- Oczywiście.

- Wspomniałaś kiedyś o tym starszym facecie, który często przesiaduje przed tryptykiem - przypomniał sobie Emil. - Tym, którego mi pokazywałaś przed muzeum, wiesz?

- Tak, rzeczywiście - skinęła głową. - Przychodzi chyba od lat. Taki dziwak.

- Macie nagrania z kamer?

- Jasne.

- Wpadnę do ciebie do pracy, pokażesz mi go - ożywił się Zebra. - A jeśli ten gość przyjdzie, to natychmiast dzwoń do mnie albo do Emila, gdybym był niedostępny.

- Dobrze.

- Emil, ochraniaj Martę. Zdaje się, że jesteście w... bliskiej przyjaźni - Zebra urwał, spoglądając na nich spod oka. - Najlepiej, gdybyście zamieszkali chwilowo razem. Niech ona nigdzie poza pracą nie bywa sama.

Marta udawała, że patrzy za okno. Emil zapalił kolejnego papierosa.

- Poruszyłem drażliwy temat?

- Nie. - Marta odwróciła wzrok od widoku zza okna i uśmiechnęła się lekko. - Emil wprowadził się już do mnie. Na jakiś czas. Bo boję się mieszkać sama.

Marek pokiwał głową z aprobatą.

- To super. Do ciebie także mam prośbę - zwrócił się do Emila. - Wspomniałeś niedawno, że masz napisać coś o hotelach w Trójmieście dla jakiejś gazety?

Emil skinął głową.

- Tak, takie zestawienie, coś w rodzaju rankingu dla turystów - odparł.

- Powiesz przy okazji.

- Już na to wpadłem.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Przyszedł ślusarz. Zebra wstał.

- Idę - powiedział ze smutkiem.

- Teraz łap mnie u Marty. - Emil odprowadził go do wyjścia. - Spakuję trochę rzeczy, zaczekam, aż ślusarz skończy, i zamykam to mieszkanie na cztery spusty. Tylko, proszę, nie zostawiaj nam już więcej wywiadowcy. Naprawdę czuję się... czuję się z tym źle - dokończył ponuro. Marek klepnął go w plecy.

- To ja czuję się fatalnie - odparł na odchodnym. - Zlekceważyłem problem. Powinienem postawić tam dwóch ludzi. Ale nie, dziś nie zostawię nikogo. To miało być tylko na jedną noc. Po włamaniu do ciebie, po tych jego bezpośrednich groźbach... Myślałem, że go namierzemy. A wyszło zupełnie inaczej. Teraz już musicie sami się pilnować. Nie stać nas na zapewnienie nikomu stałej ochrony. Czego zresztą bardzo żałuję.

- Dam sobie radę - powiedział Emil.

- Musisz - zgodził się Marek niewesoło i dodał: - Musisz obronić tę przemiłą dziewczynę, którą zresztą uwielbiasz. To przecież widać. Poza tym też jesteś gliną. Gliniarzem nigdy tak naprawdę nie przestaje się być. A ja jadę teraz do... do wdowy.

Zebra urwał. Wbił wzrok w podłogę, wyglądał na zrezygnowanego.

- Nie możesz wysłać tam kogoś? - Emil spojrzał na przyjaciela ze współczuciem.

- Nie chcę. To mój obowiązek. Osobiście wysłałem chłopaka na śmierć i osobiście powiadomię o tym jego rodzinę. - Podkomisarz odwrócił się i zbiegł po schodach.

Zniknął Emilowi z oczu, zanim ten wymyślił jakąś sensowną odpowiedź. O ile taka w ogóle istniała.

Bo co miałby powiedzieć Markowi? Że będzie trzymał za niego kciuki?



## ROZDZIAŁ 22

Mężczyzna starannie układał w walizce swoje rzeczy. Dziś zwolni apartament w hotelu i na jakiś czas zatrze za sobą ślady. Z trudem, ale jednak udało mu się - w pełni sezonu - zarezerwować miejsce w samolocie. Musi na trochę opuścić to miasto.

Wokół niego zrobiło się zbyt gorąco. Nie wolno ryzykować. Tak powiedziały mu głosy. Nie można dopuścić do tego, by siły nieczyste przeszkodziły w misji, jaką ma do wypełnienia.

Należy się na jakiś czas przyczaić, odczekać.

I przygotować do sfinalizowania sprawy.

Poczekajcie, grzesznicy... Przeznaczenie musi się dopełnić. Tak mówi Pismo. Nie ominie was Armagedon!

Mężczyzna miał świadomość, że odesłanie do piekła jednego z agentów Szatana rozsierdzi siły ciemności i wzmoże ich atak na niego. To jest wojna. Wojna dobra ze złem, Archaniola z Lucyferem. Psychomachia, jak nazywają ją grzeszący pychą, którym wydaje się, że pozjadali wszystkie rozумы, przynależne tylko i wyłącznie Naszemu Panu. Podniósł karzącą dłoń na jednego z nich - a tego mu nie darują. Zewrą swoje szeregi, a nienawiść do sprawiedliwości podwoi ich skuteczność. Niedoczekanie!

Co do tego policyjnego psa - nie zaplanował tego. To był impuls. Natchnienie. Głos odezwał się w jego głowie nagle i niespodziewanie. Nie mógł zignorować rozkazu. Musiał wypełnić zadanie.

Po naznaczeniu mieszkania tajniaka z wielką radością obserwował jego dom. Widział pozostałe psy, które zbiegły się na żer. Jak stado sępów. Widział też jednego siedzącego w nieoznakowanym samochodzie. Zaobserwował, jak jeden z psów, którzy wyszli z mieszkania tajniaka, podszedł i zamienił z nim kilka słów. Mężczyzna śmiał się z nich w duchu, pękał wprost ze śmiechu.

Natchnienie przygnało go tu jeszcze raz, późną nocą. Bez żadnych określonych zamiarów. Pocztówkę z muzeum wziął ze sobą tylko na wszelki wypadek. Z przyzwyczajenia. Obserwacja tajniaka - i przyssanych do niego grzeszników - weszła mu już w nawyk. Zaparkował w oddali i udając pijaczka, przeszedł obok samochodu z psem. Siedział tam. Tak, jak mężczyzna się domyślał. Siedział tam, ziewał i palił papierosa. Cicho nastawione radio nadawało jakąś wstrętną, rozpustną muzykę. To właśnie wtedy, zagłuszając

nieprzyzwoite dźwięki, odezwał się głos. Powiedział mu wyraźnie: „To Ten. Czekamy na niego”. Mężczyzna udał więc, że potrzebuje ognia. Reszta poszła jak z płatka i stanowiła czystą przyjemność. Nikt mu nie przeszkadzał. O takiej godzinie ulice są wyludnione. Wszystko nie potrwało nawet dwudziestu minut. Pies niczego się przecież nie spodziewał. Nie zdążył nawet pomyśleć, gdy został potraktowany paralizatorem. Mężczyzna znał swoje obowiązki, nie popełniał błędów. Rozebranie i upozowanie zwłok nie sprawiło mu najmniejszego trudu. Miał wprawę.

Wracał do hotelu, chichocząc sam do siebie przez całą drogę. A to ci niespodziankę sprawił psom! Koniecznie musi być tutaj rano, gdy już odkryją jego dzieło! Nie podaruje sobie tej satysfakcji.

Jednak teraz musi opuścić miasto. Nie na długo. Wkrótce powróci, by wypełnić misję do końca. Tajniak i jego nierządnicą będą musieli zaczekać. Zanim wyjedzie, ma jeszcze tylko jedną rzecz do zrobienia. Szczęnię tajniaka. Wie, gdzie jest. Szczęniak zwierzył się dzieciakom z podwórka, że wyjeżdża na wakacje. Mężczyzna śledził ich, jechał za autokarem. Sądzi, że są w stanie cokolwiek przed nim ukryć! He, he...

Podobno dzieci są bez grzechu. No cóż. Tamte dzieci także były.

Mężczyzna będzie posłuszny nakazom. Choć jego własne serce podpowiada mu co innego.

To, co zamierza uczynić, nie będzie sprzeczne z odwiecznym prawem.

To będzie tylko taki mały figielek.

Należy mu się w końcu odrobina osobistej przyjemności. W końcu cały poświęcił się dziełu. Złożył z siebie ofiarę całopalną. Pożąda teraz tej małej namiastki szczęścia tylko dla siebie.

Zamknął za sobą drzwi pokoju hotelowego i udał się do windy. Za moment wymelduje się, wypożyczy samochód i ruszy w drogę. Samolot ma jutro z samego rana. Zdąży. Musi zdążyć.

Jest mocarzem. Udało mu się wszystkich wyprowadzić w pole. Jest wielki. Jest potężny. Zwycięży Antychrysta. Czuwa nad nim sam Archanioł Gabriel.

## ROZDZIAŁ 23

Emila zadzwoniła na komórkę, gdy był akurat w drodze z jednego hotelu do drugiego. Roztrzęsiona zdała mu relację z dziwnego faktu: jakiś zupełnie obcy mężczyzna zaczepił na plaży Bartka. Znal jego imię i dał dzieciakowi jakiś tekst w niezaklejonej kopercie. Wydruk komputerowy, coś jakby artykuł na temat jakiegoś starego obrazu. I kazał go oddać tatusiowi. Bartek przyleciał z tym do matki, a Emila szybko podniosła się z leżaka, żeby wypytać tego mężczyznę, o co tu chodzi - lecz on ulotnił się błyskawicznie, dosłownie rozplynął w tłumie plażowiczów.

- Przecież nikt nie wie, gdzie jesteśmy! - Emila naprawdę była wystraszona. - Mówiłeś komuś?

- Nikomu nie mówiłem - odparł, niczym rażony obuchem w łeb. Coś mu zaświtało. - Możesz mi przeczytać początek tego tekstu?

Już po pierwszych słowach zorientował się, że jest to jego artykuł o tryptyku dla „Rozgwiadzy”. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że po włamaniu nie widział wydruku na biurku. Wysłał redakcji plik komputerowy wraz ze zdjęciami do wyboru, również w plikach - gdyż w końcu zapomnieli wybrać je razem z Martą - i nie interesował się więcej wydrukiem, nawet nie zauważył jego straty. Założył, że nic mu nie zginęło z domu. Lecz wygląda na to, że było inaczej.

- Emila, posłuchaj - starał się mówić opanowanym głosem. - Nigdzie nie wychodźcie, nikomu nie otwierajcie drzwi. Nie spuszczaaj Bartka z oczu. Będę u was za dwie, góra trzy godziny.

Do Krynicy Morskiej było stosunkowo niedaleko, a tam właśnie przebywała Emila z Bartkiem. Postanowił jechać natychmiast.

Trasę pokonał w rekordowym tempie, wyciskając ze swojego staruszka, ile się tylko dało. Emilę i syna zastał w tym samym domu, w którym niegdyś dwukrotnie spędzali wakacje. Tyle że wtedy była to chata rybacka, a teraz już całkiem wypasiona willa z pokojami do wynajęcia.

Emila jakby spokorniała, stała się wyciszona i spięta. Chyba wreszcie potraktowała zagrożenie poważnie. Podała mu dużą kopertę z plikiem kartek, w których już z całą pewnością rozpoznał swój wydruk. Były na nim nawet ręcznie naniesione przez niego poprawki.

- Bartek, skup się. - Emil przykucnął przed synkiem. - Jak wyglądał ten facet?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Zwyczajnie - odparł lekko przestraszony. Nie miał pojęcia, czego od niego chcieli, jednak wyczuwał, że jego spostrzeżenia są ważne. - Miał ciemne okulary. I był ubrany.

- Jak był ubrany?

- Nie pamiętam. - Bartek zmarszczył czoło. - Był ubrany, chociaż na plaży wszyscy są goli. I miał rękawiczki! Białe.

- Co powiedział?

- No, że wie, jak się nazywam, i że mam to pokazać tacie.

- Zwracał się do ciebie po imieniu?

- Tak.

- A potem zaraz sobie poszedł?

- No. - Chłopak energicznie pokiwał głową. - Nawet popchnął jakiegoś pana. Spieszyło mu się.

- Nie zauważyłeś, czy był stary czy młody, gruby czy chudy?

Mały zakłopotał się.

- Nie wiem - odparł. - Był zwyczajny. Taki sobie.

- A mówił z akcentem?

- Co to znaczy?

- No... Tak trochę dziwnie - starał się wytłumaczyć Emil. - Na przykład jak obcokrajowiec? Albo tak, jakby miał wadę wymowy?

- Nie wiem. - Na twarzy chłopca malowała się dezorientacja. - Może...

- Na plaży był hałas, a Bartuś był zaskoczony - wtrącała się Emila. - Nie zauważyłby takich rzeczy. Zresztą to była dosłownie chwila.

- Pakujcie się - zdecydował Emil, wkładając artykuł do plastikowej teczki. - Wyjeżdżamy stąd. Zawiozę was do dziadków.

- Znowu? - Bartek był rozczarowany. - Ja już byłem u dziadków!

Ale Emil pozostał nieugięty. Tam przynajmniej nie będą sami. A posterunkowego znał osobiście jeszcze z dawnych lat.

- Tam też będzie fajnie - Emila, o dziwo, przyszła mu z pomocą. - Będziemy się kąpać w rzece. I zbudujesz z dziadkiem czółno. Poza tym babcia pisała, że tydzień temu urodziły się cztery piękne szczeniaki!

- A będę mógł jednego wziąć do domu?

- Zobaczymy.

- Pojadę, jak obiecasz!

Po chwili zapakował pogodzonego już z losem synka do samochodu. Milcząca Emilia usiadła obok niego. Po drodze - kiedy chłopiec zasnął na tylnym siedzeniu - wtajemniczył ją pobieżnie w sprawę.

- Uważaj na niego i na siebie - zakończył.

- Ty też na siebie uważaj - odparła bez zwykłego szyderstwa.

Były to pierwsze cieplejsze słowa, jakie usłyszał od niej od lat.

Po powrocie do Gdańska podjechał na komisariat, by podzielić się informacjami z Zebłą. Był już wczesny wieczór, jednak Marek wciąż tkwił na stanowisku pracy.

- Dobrze zrobiłeś, że ich stamtąd wywiozłeś - stwierdził. - Z rodziną będą się czuli pewniej. A co do tego - wskazał podbródkiem na teczkę z wydrukiem - musiał to podprowadzić z twojego biurka. Nie wiem, w jaki sposób dowiedział się, gdzie oni są. Najwyraźniej śledził was wszystkich. Ale nie przywiązywałbym do tego wielkiej wagi. To pokazówka. Zabawił się i tyle. Robi się coraz bezczelniejszy. Chce pokazać swoją władzę. Fakt, że ma nad nami przewagę. On wie o nas wszystko, a my o nim nic. Może bawić się z nami w ciuciubabkę, gnida cholerna!

- Mógł uprowadzić Bartka.

- Najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Starczył mu tani efekt. Chcesz, żebyśmy to zbadali?

- Bez sensu. - Emil machnął ręką. - Facet miał na sobie rękawiczki, fak zwykle. Bartek je zauważył.

- No tak, gość nie popełniłby takiego błędu. - Pokiwał głową Zebra. - Poprosiłem naszego psychiatrę, by sporządził portret psychologiczny. Ma być gotowy jutro.

- Znasz mój stosunek do portretów psychologicznych.

- Wzruszył ramionami Emil. - Nie jestem psychiatrą, ale sam mógłbym ci go sporządzić.

- Mężczyzna, wiek średni, samotny, kompleks albo uraz z dzieciństwa, mania wielkości, nienawiść do ludzi, te rzeczy?

- Zebra uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Właśnie - zgodził się Emil. Marek spochmurniał.

- Najgorzej, że wciąż nic nie mamy - powiedział ponuro.

- Jesteśmy bezradni, pogubiliśmy się jak dzieci we mgle. Jeszcze wczoraj rano mieliśmy podejrzanego. Tego gościa z muzeum, o którym wspominała Marta. Ustaliliśmy jego personalia. To emerytowany kościelny z bazyliki. Ale dupa w kwiatach! - parsknął

rozgoryczony. - Facet ma alibi na ten czas, gdy zamordowano naszego człowieka. Leżał z zawałem w szpitalu. Nie mógł ani zabić policjanta, ani włamać się do twojego mieszkania. To zresztą kompletny wrak człowieka. Za młodu alkoholik, z wiekiem schorowany bigot, lecz to każdemu wolno. Na wszelki wypadek porównaliśmy nawet jego DNA z materiałem genetycznym pobranym od kota Marty. Nie zgadza się, co było do przewidzenia. Gość okazał się po prostu cichym, za to wiernym i namiętym wielbicielem obrazu Memlinga oraz gorącym orędownikiem jego powrotu na łono Kościoła. Może i lekko zbzikowanym, ale z pewnością całkowicie niewinnym.

Emil skinął głową bezradnie. Jeden trop szlag trafił. Ale przynajmniej ta zagadka znalazła wyjaśnienie.

- Aha - przypomniał sobie Zebra. - Namierzyliśmy komórkę, z której do was dzwoniło. Jej położenie. Wynikało, że znajduje się w centrum Gdańska. Łapiesz? Tę, co należała kiedyś do ofiary, mówiłem ci? I wiesz, co się okazało? - Zacisnął zęby ze złością. - Zgadza się. Znalazł ją jakiś dzieciak, a matka odniosła do nas, kiedy zadzwoniliśmy na ten numer, bo się przestraszyła. Bydlak podrzucił telefon w centrum miasta. Oczywiście, żadnych odcisków palców, oprócz odcisków dzieciaka i matki. Starannie wytarta.

Emil nie zdziwił się.

Słowa Zebry przypomniały mu o Marcie i że godzina jest późna. Zerwał się z krzesła.

- Jadę po Martę - powiedział z rezygnacją w głosie. - Miała czekać na mnie w muzeum. Pewnie się już denerwuje.

- Podziękuj jej jeszcze raz za pomoc - poprosił Marek. - Zrobiła nam szczegółową listę, o którą ją prosiłem. Przed nami teraz żmudna robota. A co w hotelach?

- Powolutku - odparł Emil od drzwi. - Parę już obskoczyłem, jutro ciąg dalszy. Od cholery ich tu teraz, kiedyś tego aż tyle nie było. Doszło sporo niewielkich moteli i pensjonatów. Zacząłem od tych droższych, ważniejszych, położonych w centrum albo nad samym morzem. Tysiące gości. Najgorsze, że właściwie nie mam bladego pojęcia, czego albo kogo tak naprawdę szukam!

- Portret psychologiczny - Zebra zachichotał, po czym zdobył się na odrobinę rozpaczliwego optymizmu. - Dopadniemy go w końcu.

- Oby tylko on znów nie dopadł kogoś pierwszy. - Emil skrzywił się z niesmakiem. - Zaczął się wyścig z czasem. Przynajmniej dla nas. Bo jak dotąd to właśnie on wciąż dyktuje nam tempo.

## ROZDZIAŁ 24

Dwa miesiące później

- Dzwonił Kleczko! - zawołała Marta przez uchylone drzwi łazienki. Emil wrócił właśnie do domu ze świeżymi rogalami na śniadanie.

- Czego znowu chciał? - zapytał. Nastawiał właśnie wodę na herbatę, kiedy Marta pojawiła się w drzwiach kuchni.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odparła. - Był wściekły. Masz jak najszybciej przyjechać do redakcji.

- On zawsze jest wściekły - skwitował wiadomość Emil. Usiedli przy kuchennym stole. Na parapecie zadowolony

Bolero połykał swoje śniadanie. Przez okno zaglądał do wnętrza mieniący się w słońcu barwami miedzi i złota stary klon. Jesień tego roku była równie piękna jak lato.

- Kleczko domaga się reportażu na temat tych morderstw - mruknął Emil, smarując rogala marmoladą. - Nie pojmuje palant, że sprawa nie jest jeszcze zakończona? Co mam mu napisać? Ze jakiś wariat pozalał kupę ludzi i rozpląnął się w powietrzu?

Marta spojrzała na niego spod oka.

- Napisz mu, co chce - podsunęła nieśmiało. - Nie masz wpływu na to, co się dzieje. A wobec tego Klęczki po prostu wywiąż się z zadania i będziesz miał święty spokój. Całe szczęście zresztą, że morderca zrezygnował. Od dwóch miesięcy jest spokój. Nikt więcej nie zginął. To chyba dobrze?

- Skąd wiesz, że zrezygnował? - Emil spojrzał na Martę z oburzeniem. - Może wróci następnego lata? Może to taki sezonowy zabójca? - Zaśmiał się szyderczo. - ja czuję, że to nie koniec. Rozumiesz? Czuję to!

Marta wstała od stołu i dołała sobie herbaty.

- Ty wcale nie chcesz, żeby to był koniec - oświadczyła po chwili.

- Dziwi cię to? Mam się cieszyć, że morderca jest na wolności? Że jest bezkarny? Ze młodzi, wartościowi ludzie, jak Dorota i jej chłopak, gryzą ziemię, że wdowa po policjancie leczy się z depresji, a jego dzieciak został sierotą, podczas gdy zwyrodnialec śmieje się z nas wszystkich w kułak? Z tego mam się cieszyć?! - Emil odsunął od siebie resztki śniadania i zapalił papierosa.

- Emil... - Marta podeszła i objęła go uspokajająco. - To nie twoja wina. Powiedziałam

ci już: nie masz na to wpływu. Może tego szaleńca dopadła już sprawiedliwość? Może zginął w jakimś wypadku, może umarł? Nie wiemy tego. A jeśli nawet żyje, to z pewnością w końcu dosięgnie go jego własne piekło. Najważniejsze, że przestał zabijać.

- Nie - pokręcił głową. - Mylisz się. Piekło dotyczy tylko takich ludzi, którzy jeszcze mają sumienie. Tacy jak on sami są piekłem. Ja czuję, że ten przeklęty skurwysyn żyje. I śmieje się z nas.

- Masz obsesję. Trudno, może kiedyś ci minie. Czy to znaczy, że nie zamierzasz pojechać do redakcji?

- Zamierzam - mruknął niechętnie. - Odwiozę cię do pracy i podjadę tam.

Emil szedł na spotkanie z Kleczką z niesmakiem. Zdawał sobie sprawę, że rozczarował naczelnego. Obiecywał mu złote góry, a tymczasem czas płynął, Kleczko musiał zadowolić się paroma komentarzami na gorąco; natomiast z sensacyjnego reportażu, jak dotąd, wyszły nici. Jednak Emil nie chciał wypisywać bzdur. Sensacja dla sensacji - szczególnie gdy morderca wciąż był bezkarny, a ludzkie nieszczęście nie doczekało się nawet cienia sprawiedliwości - napępiała go obrzydzeniem.

Od dwóch miesięcy - paradoksalnie - chodził jak struty. Frustracja i poczucie bezsilności nie pozwalały mu normalnie funkcjonować. Porażka zatrula mu umysł i serce. Marta powtarzała mu czasem ze zdziwieniem i dezaprobatą, że zachowuje się tak, jakby wręcz z niecierpliwością oczekiwał kolejnej tragedii. Musiał przyznać, że w pewnym sensie tak właśnie było. Nikomu nie życzył nieszczęścia, chciał tylko złapać i unieszkodliwić mordercę. Tymczasem morderca zniknął. Emil był przekonany, że tylko gra na zwłokę, by uśpić ich czujność. Cóż, dylemat moralny to cena, jaką płaci się w tym zawodzie - wmawiał sobie. Póki morderca nie uderzy ponownie, nie ma szansy na jego schwytywanie. Facet po prostu rozpułnął się w powietrzu.

Kleczko przyjął go z marsową miną. Tym razem zrezygnował nawet ze złośliwych komentarzy. Demonstracyjnie okazywał mu swoją urazę.

- Dosyć tego, Żądło - oznajmił na wstępie. - Nie będę dłużej czekał. Dupę zawracasz, a potem każesz mi się wypchać sianem, jak zwykle! Masz mnie za frajera? Czas to pieniądz, a ja nie sram pieniędzmi! Masz już ten superreportaż, czy nie?!

Emil wpatrywał się w niego z coraz większą irytacją. Jeszcze moment, a on także wybuchnie.

- Mam napisać rzecz bez zakończenia? - opanował się z trudem. - Czy może coś zmyślić, żeby ci dogodzić?

- Rób, co chcesz! Możesz wymyślać, możesz nawet zacząć mordować, a potem sam



siebie aresztować, bylebyś tylko miał o czym pisać. Kumasz? Czytelnik jest żądny krwi! Masz mu ją dać! - Kleczko spurpurowiał ze złości.

- To ty jesteś żądny krwi - oznajmił Emil. Czuł, że pogarda zaczyna rosnąć w nim jak wrzące mleko w garnku. - I oceniasz czytelnika własną żalosną miarą.

- Ty sobie, Żądło, nie pozwalaj! - wrzasnął Kleczko. - Bo cię wykopię na zbity pysk! Czekam jutro na tekst, dotarło?! Jutro!

- Czego oczekujesz?

- Ma być barwnie i mocno. Brutalnie. Tekst ma robić wrażenie, nikt nie może pozostać na niego obojętny. Kontekst seksualny, obowiązkowo!

- Nie stwierdzono, by był kontekst seksualny.

- Gówno mnie to obchodzi! Ma być i kropka! Zdjęcia. Wyciągnij coś od glin. Twarze i przyrodzenia zamażemy, ale niech będzie widać...

- Krew - dokończył Emil szyderczo.

- Ty nie graj, Żądło, świętoszka. - zarechotał Kleczko.

- Wszyscy wiemy, że tak jak każdy w tym zawodzie żerujesz tylko na cudzej krzywdzie. Nie jesteś lepszy ode mnie! Dla kasy to robisz, dla kasy, a za byle gówno buli ci nie będę!

Nagły chłód ogarnął Emila od stóp do głów. W jednej chwili stał się soplem lodu. Emocje już nim nie targały. Wstał z krzesła z cynicznym uśmiechem na ustach.

- Goń się, Kleczko - powiedział z całkowitym spokojem.

- Pisz sobie sam. Mam gdzieś twoje pieniądze. Powodzenia!

Kleczko siedział jak zamurowany. Tylko usta rozdziawił w niedowierzaniu.

- Co to ma znaczyć? - wybełkotał wściekle.

- To, co słyszysz - uśmiechnął się Emil, odwracając się już od drzwi. - Rezygnuję. Cześć.

- Zaraz! Zaraz! - zerwał się od biurka naczelny. - Nie tak szybko! To jest zerwanie umowy!

Emil zaśmiał się sucho.

- Pokaż umowę - powiedział. - Nie mamy żadnej umowy na piśmie. Twoje cwaniactwo kazało ci odłożyć podpisanie umowy na post factum. Możesz mi skoczyć.

- Dostałeś zaliczkę!

- I to wszystko. W międzyczasie napisałem dla ciebie parę artykułów. Grosza za to do tej pory nie ujrzałem. Ale jeśli chcesz, przygotuj rozliczenie i mi je prześlij. Jeśli okaże się, że naprawdę jestem ci coś winien - zwrócę.

Trzasnął za sobą drzwiami gabinetu.

Po chwili, gdy już oddalał się korytarzem do głównego wyjścia, a ciekawskie głowy wychylały się z kolejnych pomieszczeń, drzwi gabinetu naczelnego otworzyły się ponownie. Wybiegł z niego siny z wściekłości Kleczko, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- To skandal! - krzyknął łamiącym się histerycznie głosem.

- To kolejny skandal z twoim udziałem, Żądło! Wszyscy się dowiedzą! Zniszczę cię! Chyba że, najdalej do końca tygodnia, otrzymam tekst! Do końca tygodnia! Słyszysz?!

Emil odwrócił się.

- Wszyscy słyszą - odparł. - Nie kompromituj się już, Kleczko. Nie jestem zainteresowany.

Po powrocie do domu, głaszcząc przelotnie rudego kocura, który powitał go w przedpokoju, Emil - po wypaleniu kilku papierosów z rzędu - zadzwonił do Szymona Madera i zaproponował mu stałą współpracę. Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że kiedyś umieścił chłopaka w kręgu podejrzanych. Teraz, gdy sprawdzili dokładnie, co porabiał w czasie poszczególnych zbrodni, wiedział już, że Szymon jest niewinny jak niemowlę. Cieszyło go to, ponieważ od początku go polubił. Cieszył się także ze względu na sympatyczną, rozsądną Ewę. Miała rację, oceniając charakter młodego człowieka. I aczkolwiek wcześniej wyrażała się o nim z pewnym dobrotliwym lekceważeniem - to jednak współpraca układała im się pomyślnie. „Rozgwiazda” wyraźnie się rozwijała. Zaczęła wychodzić w miarę regularnie, zyskała na objętości. Firmy chętnie zamieszczały w niej swoje reklamy, a jakość tekstów wzrosła. I nie chodziło tylko o pracę. Zdaje się, że od pewnego czasu Ewa i Szymon byli parą. Emil życzył im szczęścia.

Szymon na propozycję zareagował z radością.

- Pańskie nazwisko przyniesie nam chwałę! - oznajmił.

- To dla nas zaszczyt. Pan wie, że zawsze pana podziwiałem. Nie wiem tylko, czy będzie pan zadowolony z honorariów, jakie możemy zaproponować. Pan wie, że nie są najwyższe.

- Nie kłopotcie się tym - powiedział Emil. - Pismo jest rozwojowe. Jak tam artykuł o Memlingu? Dobrze się sprzedał?

- Jasne! - ożywił się Szymon Mader. - Zwłaszcza teraz, pan wie, po tym wszystkim. Bo podobno te zabójstwa miały coś wspólnego z Memlingiem. Tak słyszałem. No więc ludzie się zainteresowali.

- Wiem. W muzeum ostatnio opędzić się nie mogą od amatorów Sądu Ostatecznego - zaśmiał się Emil. - Nawet w sezonie nie było tylu zwiedzających!

- Tak - westchnął Szymon. - Ludzie to czasem są jak sępy. Ale przynajmniej poznają coś wartościowego. A nie ma nic nowego w śledztwie, nie wie pan?

- Na razie nic - odparł. - Oprócz tego, że śledztwo wciąż nie jest zamknięte. Gdy tylko będzie coś nowego, pan może liczyć na informacje z pierwszej ręki. Ze źródła.

- Naprawdę?!

- Napiszę dla was specjalny reportaż - obiecał. Czuł się teraz, odkąd definitywnie pożegnał się z redakcją Kłęczki, na nowo wolnym człowiekiem. - Na wyłączność.

W tym samym momencie rozdzwoniła się komórka Emila.

- Przepraszam, muszę kończyć - powiedział szybko. - Mam drugi telefon. Odezwę się. Do usłyszenia!

Wyjął aparat z kieszeni i zerknął na wyświetlacz: Zebra!

- Halo?

- Zaczęło się na nowo! - zakomunikował podkomisarz bez wstępów. - Przyjeżdżaj. Na parking na tyłach urzędu miejskiego. Pospiesz się! Mamy zwłoki.

Emil jechał na miejsce kolejnej zbrodni z bijącym sercem. A jednak. Nie pomylił się. Ze wstydem stłumił w sobie uczucie podniecenia. To tak, jakby się cieszył. Wstyd. Nie chciał upodobnić się do Kłęczki. Żałował zabitego człowieka, kimkolwiek on był. Ale jednocześnie - nie miał na to wpływu - odczuwał przyływ adrenaliny. Tym razem morderca przegra. Musi przegrać.

Zbiegowisko ujrzał już z daleka. Kordon policjantów odgradzał zaintrygowany, napierający od terenu parkingu tłum. Na wszelki wypadek wyjął z kieszeni swoją legitymację, lecz młody posterunkowy rozpoznał go albo może otrzymał już odpowiednie instrukcje. Gdy tylko wysiadł z samochodu, podszedł do niego wzburzony Zebra.

- No, teraz to ten skurwiel pojechał po bandzie! - sapnął. - I chyba nie przez przypadek. Ty wiesz, kim jest ofiara?!

- No?!

- To radny! Radny miejski! Pojmujesz?!

Nagie zwłoki korpulentnego czterdziesto, może czterdziestokilkuletniego mężczyzny umieszczone zostały głową w dół w otwartym, obszernym bagażniku eleganckiego, czarnego samochodu. Podkurczone nogi i sprośnie wypięte pośladki stanowiły, rozpoznawalną z daleka, perwersyjną wizytówkę mordercy. Szczególnie przykre wrażenie robił widoczny profil ofiary - wybałuszone w wyrazie przerażenia oko, zaczesane do góry włosy i fragment czarnego wąsika. Zapewne za życia starał się być zadbanym, eleganckim mężczyzną.

W zaciśniętej kurczowo dłoni martwy urzędnik coś ścisnął. Coś płaskiego. Jakby

kawałek kartki. Emil nachylił się niechętnie nad ciałem i przyjrzał się z bliska kolorowemu kartonikowi. Oczywiście. Ujrzał znajomy widok: pocztówka z fragmentem Sądu Ostatecznego.

A więc wszystko jasne.

„Szatan” wznowił polowanie.

- Został zabity we wczesnych godzinach rannych - wyjaśnił Zebra. - Uduşony. Gdzie indziej. Zwłoki zostały tu podrzucone i to pewnie niedawno. Znalazł je przypadkowy obywatel, który akurat zaparkował naprzeciwko. Doznał wstrząsu. Jest w szoku, musieliśmy wezwać pogotowie. No cóż, nie jest to najprzyjemniejszy widok, choć my zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić.

- Co wiadomo o ofierze? - zapytał Emil, domyślając się już odpowiedzi. Przeczynał, że tym razem morderca dał im kolejną, bardziej konkretną wskazówkę. Ofiara z pewnością nie została wybrana przez przypadek.

Zebra podrapał się lekko po nosie. Był to typowy dla niego gest zakłopotania.

- Cóż... - odchrząknął, rozejrzał się wokół i zamilkł z dziwnym wyrazem twarzy, spoglądając na Emila znacząco.

- Rozumiem, że potwierdza to moje wcześniejsze domysły? - wszedł mu w słowo Emil. Wokół nich kręcili się młodszy rangą funkcjonariusze. Rozumiał, że Markowi niezręcznie jest poruszać w ich obecności ten dość drażliwy temat.

- Owszem - odetchnął Zebra i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy. - Owszem. Potwierdza.

## ROZDZIAŁ 25

Mężczyzna wychylił lampkę szampana w pokoju hotelowym, wznosząc toast do swego odbicia w lustrze i śmiejąc się radośnie na cały głos. Był z siebie dumny. Głosy jednoznacznie udzieliły mu pochwały. Wiedział, że wielkimi krokami zbliża się wreszcie do celu.

Niebawem Wielki Finał.

Dopiero co przyleciał do Danzig, a już miał za sobą pierwszy znaczący sukces. Ponownie zachichotał. Tak, to było nawet łatwiejsze niż przypuszczał. Próżność i pycha to wielkie grzechy, ale jakże łatwo je wykorzystać przeciwko grzesznikowi!

Zdawał sobie sprawę z tego, że jego pierwszy po przerwie występ musi być spektakularny. Muszą wiedzieć, że rozpoczął się kolejny, wyższy etap. I powinni otrzymać konkretną wskazówkę - tak, by pojęli ogrom swych win. Aby zrozumieć, dlaczego zostali osądzeni. I z jakiego powodu pójdą do piekła. Świadomość grzechu jest bardzo istotna. Odpuszczenia nie będzie, ponieważ wybiła godzina. Kara będzie ciężka, lecz sprawiedliwa. On będzie jej narzędziem.

Zaledwie przedwczoraj rano usłyszał w lokalnej telewizji wypowiedź tego grzesznika. I już wiedział, że ma do czynienia z potępionym. Wiedział, zanim jeszcze usłyszał głos. Czekало go tym razem trudniejsze zadanie. Nawet trudniejsze niż wtedy z policyjnym psem. Ale on lubi trudne zadania.

Niczego się nie ulęknie.

Nic go nie powstrzyma.

Bo Ty, o Panie, jesteś ze mną.

Najpierw sprawdził wszystkie potrzebne informacje o grzeszniku. To było proste. Banalnie proste. Miał w tym zakresie wprawę. Wiedział już, jak się nazywa, kim jest, gdzie urzęduje. Reszta to drobiazg. Zajęło mu to raptem kilka godzin. Umówił się na spotkanie. Wszak pieniądze załatwią w tym kraju wszystko. Nie skłamał, podając się za biznesmena zainteresowanego działalnością grzesznika, pragnącego, być może, w dowód szczególnego uznania dofinansować jego szczytne idee. A zuchwalcom wciąż mało zaszczytów i komplementów. Pycha. Pycha to wielki grzech.

Umówili się na kolację w restauracji poza miastem. Grzesznik, odpowiednio poinstruowany, sam postarał się o zachowanie dyskrecji - zrezygnował nawet z użycia

własnego samochodu. Mężczyzna zamówił butelkę najdroższego trunku i szczerze raczył nim swojego gościa. A przy okazji cierpliwie wysłuchał jego poglądów, o których tamten, gdy tylko język mu się rozwiązał, rozwodził się śmiało i bez ograniczeń.

Gdy stan potępionego był już odpowiedni, mężczyzna zaofiarował się zawieźć go na miejsce, gdzie mieli „sfinalizować transakcję”. To miejsce nie znajdowało się zbyt daleko, zaledwie w pobliskim lasku.

Mężczyzna uśmiechnął się do siebie, rozpamiętując tę scenę.

Trochę żałował, że grzesznik odszedł do piekła w trakcie pijackiej drzemki. W ostatnim jednak momencie ocknął się, ściskając kurczowo w dłoni kartonik z własnym wizerunkiem, który otrzymał zamiast spodziewanego pliku banknotów.

Mężczyzna ponownie zaśmiał się z uznaniem.

Co było dalej? Zawiózł trupa na parking, włożył do bagażnika czarnej limuzyny, należącej do grzesznika i zamknął bagażnik. Wrócił do hotelu, przespał się, wypoczął. Poczekał do godzin szczytu, tak, by mieć odpowiednią widownię. Lubił dobre spektakle. Na dobrych spektaklach nie powinno zabraknąć publiczności. Następnie podjechał z powrotem na parking, zaparkował w pobliżu, zdalnie otworzył bagażnik limuzyny, po czym spokojnie odjechał. Kluczyki wrzucił do Motławy.

Perfekcyjna robota.

A teraz, już wkrótce - Armagedon!

Dopiero wtedy odzyska spokój.

Wieczny.

## ROZDZIAŁ 26

Na prośbę Zebry Emil i Marta ślęczeli nad listą wytypowanych gości z wszystkich hoteli trójmiejskich z ostatnich kilku miesięcy. Emil miał ją na ekranie komputera, Marta korzystała z wydruków. Ich zadaniem było wyodrębnienie osób, których czas zameldowania w hotelu jest zbieżny z dokładnym czasem dokonania poszczególnych zabójstw, a szczególnie gości, którzy wyjechali pod koniec lata i w ostatnich tygodniach wrócili do Trójmiasta. Informatycy policyjni opracowali specjalny program komputerowy do wyszukiwania i segregowania danych, więc wręczona im lista zawierała już tylko ograniczoną liczbę mężczyzn przybyłych z Niemiec - lecz mimo to wciąż była ona długa. Obco brzmiące nazwiska i imiona pulsowały im w oczach i mąciły umysł. Marta stwierdziła, że śnią jej się po nocach - ludzie bez twarzy, za to z nazwiskami; setki nazwisk osaczających ją i atakujących ze wszystkich stron.

A zaczęło się od tego, że Marta - robiąc porządki na biurku - znalazła kopertę.

- Hej, co to za koperta? - zawołała do Emila. - To twoje?

- Pokaż.

Emil obrócił w dłoni dużą kremową kopertę. Rozpoznał ją po sekundzie - to tę kopertę przekazał Bartkowi tajemniczy osobnik na plaży w Krynicy. Wydruk wciąż był w środku. Emil podał kopertę Marcie:

- Wrzuć do szuflady, na wszelki wypadek - poprosił. Marta zerknęła na kopertę, po czym nagle podniosła ją do oczu.

- Tu jest coś napisane - sięgnęła po okulary. - Preis... Cena! W euro.

Podniecony Emil przyjrzał się drobnemu drukowi. Koperta pochodziła z Niemiec. Podejrzany włożył skradziony z jego mieszkania wydruk do koperty wyprodukowanej w Niemczech. Że też wcześniej tego nie zauważył! Kolejne ogniwo, zbliżające go do jego mglistej do tej pory teorii. No, tego już Zebra nie będzie mógł zlekceważyć!

Koperta z Niemiec doprowadziła ich do list gości hotelowych.

W pokoju, mimo uchylonego okna, było pełno dymu, gdyż podczas tej nudnej pracy oboje palili. Co jakiś czas wychodzili tylko do kuchni, by zaparzyć świeżą herbatę. Obrażony Bolero wyniósł się do sypialni, w której w powietrzu nie unosiły się sinoniebieskie smugi. Nie przekonały go nawet poniewierające się po podłodze kartki z wydrukami. Na niektórych już wprawdzie naostrzył sobie pazurki, przesadę uznając jednak za zdecydowanie niezdrową.

- Marta - zagadnął raptem Emil. - Memling nie był Holendrem?

- Nie - odparła z roztargnieniem, pochylona nad wydrukami z ołówkiem w ręku. - Był Niemcem. A czemu pytasz?

- Tak sobie.

Spojrzała na niego sponad okularów do czytania:

- To ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem.

- No, gadaj! - zniecierpliwiła się. - Co ci znowu chodzi po głowie?

- Nic, tylko tak mi się to wszystko jakoś dziwnie układa. Emil zapalił papierosa. Marta spiorunowała go wzrokiem.

- Nie, to nic konkretnego - dodał pospiesznie. - Tylko takie... raczej dość mgliste przecucia. Nie wiem, czy słyszałaś, ale ten zamordowany radny znany był ze swoich skrajnych, antysemickich, antyeuropejskich, ale przede wszystkim antyniemieckich poglądów. Rozumiesz, na tym budował swoją tożsamość polityczną, obrzucał obelgami Grassa, mitologizował historię. Niedwuznacznie i niewybrednymi słowami wyrażał się publicznie na temat „wypędzonych”, bagatelizował niemiecki wkład w kulturę dawnego Gdańska.

- Jednym słowem, oszołom, niech mu ziemia lekką będzie

- skwitowała Marta, w dalszym ciągu spoglądając pytająco na Emila.

- On sam uważał się za prawdziwego patriotę. No cóż, jego prawo. Ale jeśli takie... oszołomy, jak ich nazywasz, są także z drugiej strony? - Emil spróbował przyoblec swoją myśl w słowa. - I jeśli u pewnych jednostek przybierze to obłąkańczą formę?

- Oszołomy wszystkich nacji łączcie się? - parsknęła śmiechem.

- Sęk w tym, że oni się raczej nie połączą - odparł.

- Wręcz przeciwnie. Będą walczyć ze sobą na śmierć i życie, gdyż są śmiertelnymi wrogami.

- Po tylu latach?!

- Dlaczego nie? - Wzruszył ramionami. - Fanatycy mierzą czas inną miarą niż my.

Marta zastanowiła się.

- To dość przerażająca wizja - zauważyła w końcu.

- Ale nie nierealna, prawda?

Wrócili do pracy. Emil zajął się szczegółową weryfikacją wyodrębnionych nazwisk, które spisali na oddzielnej kartce. Marta poprosiła o wydrukowanie kolejnej grupy i poszła do kuchni, by zaparzyć herbatę. Gdy z pełnymi kubkami wróciła do pokoju, zastała Emila z



roziskrzonym wzrokiem, krążącego wokół stołu.

- Mam go! - oświadczył z tryumfem.

- Serio?

- Niejaki Alfred Baumann. Aktualnie hotel „Neptun”. Facet był w Gdańsku przez całe lato, od maja do sierpnia. Potem wyjechał na dwa miesiące. Wrócił tydzień temu. Tuż przed zabójstwem radnego.

- Nie ekscytuj się tak! - upomniała go. - To może być tylko zbieg okoliczności.

- Ale nie musi - upierał się Emil. - Był w Gdańsku w czasie pierwszego morderstwa, tego, kiedy zabito kelnerkę. Potem wyjechał na około miesiąc. Przyjechał znowu, zmienił hotel i nie zwalniał pokoju przez całe wakacje. Właśnie wtedy znów zaczęły się te zabójstwa. Wyjechał zaraz po zabiciu policjanta. Wrócił tuż przed ostatnim morderstwem i zameldował się w kolejnym hotelu! To ci wygląda na przypadek?!

- Po prostu trzeba będzie go sprawdzić. - Marta nie wyglądała na przekonaną. - Może to po prostu jakiś biznesmen, który prowadzi u nas interesy i stale kursuje pomiędzy różnymi miastami?

- Właśnie, biznesmen! To też by się zgadzało. I obywatel niemiecki - dodał z satysfakcją. - Dzwonię do Zebry!

- A ja zamawiam pizzę - oświadczyła Marta. - Od czasu do czasu trzeba coś zjeść. Jak tak dalej pójdzie, to facet nie będzie musiał nas zabijać, padniemy trupem we własnym zakresie. Siedzimy nad tym chłaniem przez cały weekend, prawie bez snu i bez żarcia. Obyś miał rację z tym Niemcem. Boże, niech to się wreszcie skończy, ten cały horror!

- Marek sprawdzi tego Baumanna - oświadczył Emil, gdy siedzieli nad pizzą przy kuchennym stole. - Czekaj, otworzę wino. Do pizzy musi być wino! Inaczej to aż grzech jeść.

Rozlał tanie francuskie wino do kieliszków.

- Ma sprawdzić to nazwisko na listach pasażerów samolotów i na przejściach granicznych - kontynuował. - I w razie czego będą mieć na niego oko. Oczywiście zleci dyskretną obserwację faceta. Trzeba też będzie dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

- No dobrze, ale jaki mógłby mieć motyw? - Marta ze spokojem odkroiła kawałek pizzy, podzieliła go na drobne kawałeczki i wrzuciła do miseczki Bolera. - Przecież gdyby twoja teoria była słuszna, to facet musiałby być już stary jak świat!

- A ten radny? Był mniej więcej w naszym wieku.

- Ale ten radny nikogo nie mordował!

- Bo był zdrowy psychicznie. Swoje poglądy wykorzystywał raczej dla kariery. Ale granica jest płynna. A gdyby jego teorie padły na podatny grunt? I jakiś maniak

potraktowałby je zbyt serio? Nieszczęście gotowe!

- No, może...

Marta broniła się, jak mogła, przed takimi myślami.

- W zasadzie powinno się zabronić ludziom jątrzenia i gadania głupot! - wybuchnęła zniechęta. - Ludzie nie odpowiadają za swoje słowa, plotą, co im ślina na język przyniesie, a potem dziwią się konsekwencjom.

- To nie takie proste - odparł Emil. Odezwał się w nim dziennikarz. - Nie można zakazać ludziom mówić, co myślą.

- Myśleć sobie można. Ale zanim się coś palnie, lepiej dobrze się zastanowić. Słowa trafiają w końcu do ludzi. Różnych ludzi - powiedziała z naciskiem.

Do wieczora zabijali czas w oczekiwaniu na wieści od Zebry. Marta zajęła się swoimi sprawami, Emil raz jeszcze sprawdził listę gości hotelowych - lecz nikt nie pasował do okoliczności tak idealnie jak Baumann. W końcu odezwał się dzwonek telefonu.

- To chyba wreszcie Zebra! - Poderwał się Emil. - Może już coś ma!

Rozmawiali tylko przez chwilę.

- Baumann przyjechał do Polski z Hamburga - oznajmił, gdy Marta spojrzała pytająco znad książki. - Trzy dni przed zabójstwem tego radnego. To rzeczywiście biznesmen. Taki drobny. Handluje klimatyzatorami dla hoteli, sklepów i tak dalej. Porusza się wynajętym samochodem, zajmuje apartament w hotelu. Zwyczajny człowiek. Niczym się podobno nie wyróżnia. Cichy, spokojny, niekarany. Ale psychopaci zwykle sprawiają wrażenie normalnych ludzi. Potrafią się dobrze kamuflować i często są bardzo inteligentni. Jutro będziemy o nim wiedzieć więcej.

- Dobra - Marta uśmiechnęła się i objęła go ramionami za szyję. - Wobec tego do jutra mamy trochę czasu dla siebie?

- Mamy! - Emil podniósł ją bez wysiłku i zabawnie pożądlwym spojrzeniem ogarnął jej dekolt, na którym kusząco i zielonkawo zamigotała główka srebrnego węża.

- Tylko nie patrz na mnie wzrokiem szaleńca! - zachichotała. - Dobrze wiesz, że ja się boję wariatów.

- Ale ja jestem wariat - odparł śmiertelnie poważnym głosem. - Na twoim punkcie całkiem zwariowałem. Czarownico!

Pocałował ją w usta.

Na ten widok wielki rudy kot - kot czarownicy, jakby nie było - ziewnął i ostentacyjnie wymaszerował z kuchni, by zająć sobie tapczan, zanim tych dwoje wariatów dotrze do sypialni.

## ROZDZIAŁ 27

Następnego dnia rano, gdy Marta szykowała się do pracy, zadzwoniła Emila z propozycją, by Emil odebrał Bartka ze szkoły i zabrał go tego popołudnia na jakieś lody lub do McDonalda. Początkowo Emil nie mógł uwierzyć w bezinteresowną wspałałomyślność byłej żony, lecz tłumaczyła propozycję tym, że chłopiec tęskni za ojcem. Naturalnie zgodził się bez namysłu i zaraz po odwiezieniu Marty do muzeum - tego dnia zaczynała pracę o dwunastej - podjechał pod szkołę. Synek już na niego czekał. Pojechali do McDonalda, zamówili hamburgery, frytki, mrożone napoje i ciastka. Mały przez kwadrans opowiadał ojcu o szczeniaku imieniem Bambo, którego mama pozwoliła mu w końcu przywieźć od dziadków, a następnie oświadczył:

- To Zenek ją namówił, żeby pozwoliła mi mieć psa. Zenek to fajowy gość!

- Kim jest Zenek? - zapytał zdumiony Emil.

- To facet mamy! - zawołał Bartek. - Nie znasz go? Mają mieć niedługo ślub.

Emil zaniemówił. Wiadomość byłaby dobra, gdyby nie fakt skrzętnego jej ukrywania.

W grę wchodził przecież jego syn.

- I teraz mama jest z Zenkiem? - No!

- A dawno już... są ze sobą?

- Dawno - stwierdził energicznie chłopiec. - Już od wakacji!

- Aha... A ty lubisz tego... pana Zenka?

- Lubię. - Bartek energicznie pokiwał głową. - I Bambo go lubi. A psy przecież znają się na ludziach!

- No, jasne.

Nie mógł jednak opanować paniki.

- Bartek, posłuchaj... - Urwał, ponieważ nie wiedział, jak sformułować myśl. Odczuwał niemiłą świadomość, że zaczyna chyba cierpieć na manię prześladowczą. - Ten Zenek... On nie sepleni?

Bartek wytrzeszczył na niego oczy i parsknął śmiechem.

- Zenek? Nie!

- I to na pewno nie ten sam człowiek, który podszedł do ciebie wtedy, na plaży w Krynicy?

- Tato! Co ty! - Chłopak pokręcił głową z wyższością. - Tamten pan był zupełnie inny! Ale wiesz co - dodał po chwili w zamyśleniu - jeden facio dzwonił dziś rano, jak mama wyszła już do pracy. Bo ja miałem na dziewiątą. Pytał, czy oddałem ci wtedy ten... no, te papiery...

Emil zerwał się od stolika.

- I dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?! - zdenerwował się. - A mama o tym wie?! Mówiłeś jej?

- Zapomniałem - obraził się Bartek. - O jejku! Zapomnieć nie można? Siadaj, tato, przecież jeszcze nie zjadłem. Ten pan był całkiem miły. Podziękował mi. I powiedział, jak się nazywa. Tylko nie pamiętam. Tak jakoś strasznie śmiesznie. Aż język się może poplątać. Ingblem, Lingblem... Jakoś tak. Dziwacznie! I ten pan seplenił! - dodał z dumą.

Emilowi zrobiło się zimno.

- Nie Baumann przypadkiem?

- Nie. - Z przekonaniem pokręcił głową chłopiec. - Na pewno inaczej.

- Wychodziłeś do szkoły sam? Nikt za tobą nie szedł?

- Nie sam. Z kolegą. I nikt za mną nie szedł!

W samochodzie, gdy wracali już do domu, Bartek zapytał Emila:

- Tato, myślisz, że ten pan to jakiś bandyta?

- Nie wiem, synku - odparł Emil. - Ale na wszelki wypadek musisz być bardzo ostrożny. I jak tylko ten człowiek znowu się do ciebie odezwie, to natychmiast musisz do mnie zadzwonić!

- Dobra.

Gdy Emil odprowadził Bartka do domu, drzwi otworzył nieznajomy mężczyzna. Był to wysoki, sympatyczny blondyn o wyglądzie intelektualisty. Młody. Znacznie młodszy od Emila.

i od Emili również.

- Cześć, Zenek! - zawołał radośnie Bartek i pobiegł do swojego pokoju.

- Dzień dobry panu - odezwał się młody człowiek. - Cieszę się, że mogę nareszcie pana poznać.

W przedpokoju pojawiła się Emila. W obcisłej czarnej spódnicy i jedwabnej bluzce wyglądała tego dnia wyjątkowo ponętnie. Emil przyjrzał się jej krytycznym wzrokiem: musiał przyznać, że ostatnio wyraźnie odmłodziła.

- Wejdiesz na chwilę? - zapytała.

Zaprosiła go do pokoju i poczęstowała kawą. Usiedli przy stoliku we trójkę.

- Bartek na pewno wszystko ci już wygadał - oznajmiła. - Ale to może i lepiej. Zamierzamy się pobrać. - Spojrzała czule na Zenka. - Wiem, że to dla ciebie niespodzianka, ale decyzję podjęłam dopiero niedawno. Znamy się z Zenkiem od lat, pracujemy razem. Dla ciebie to chyba dobra nowina? Też masz przecież przyjaciółkę. Naturalnie, zachowujesz prawa rodzicielskie do Bartka i mam nadzieję, że również obowiązek alimentacyjny. Nie będziesz chyba krzywdził swojego dziecka?

- Nie bój się - odparł. - Życzę wam szczęścia. Zwracajcie tylko większą uwagę na Bartka. Podobno dziś rano wychodził sam do szkoły. A tuż wcześniej ktoś do niego dzwonił. Konkretnie tamten facet z Krynicy. Pytał, czy dotarły do mnie papiery, które przekazał Bartkowi.

Emila zeszywniała.

- To niemożliwe! Skąd znałby nasz numer telefonu?! - krzyknęła z nutą hysterii w głosie, spoglądając na niego oskarżycielsko - Boże, w co ty nas wpakowałeś! Mam tego dość. Chcę mieć wreszcie święty spokój w życiu!

Zerknął na Zenka. Ten wyglądał na lekko oszołomionego, lecz przejętego sytuacją. Uspokajająco ścisnął dłoń swej wybranki, przyglądając się Emilowi z wyraźną ciekawością. Emil doszedł do wniosku, że lepiej uczynić z niego swego sojusznika, przynajmniej w tej konkretnej kwestii.

- I będziesz miała, obiecuję ci to. Sprawa się jeszcze nie skończyła - powiedział Emil, wstając. - Nie trać czujności. Pan także, jeśli wolno prosić. Bartek pana polubił, zapewne ma pan na niego wpływ. Pilnujcie go dobrze, dzieciak zawsze jest łatwym celem. Gdyby się coś takiego powtórzyło jak ten telefon albo inne podejrzane historie - zerknął na byłą żonę - to od razu dzwoni do mnie albo do Zebry. Pójdę jeszcze pożegnać się z Bartkiem. Dzięki za kawę.

Policja pod dowództwem Zebry była teraz w stałej gotowości. W telefonach Marty i Emila, a także Emili założono podsłuchy - na razie jednak nikt podejrzany nie zadzwonił. Ich domy znalazły się pod stałą obserwacją. Radiowozy patrolowały pobliskie ulice oraz okolice muzeum.

- Moi ludzie wzięli pod lupę także tego twojego Baumanna - opowiadał Marek Emilowi, gdy spotkali się w komisariacie. - Ale jak na razie nie stwierdziliśmy niczego podejrzanego. Normalny facet. Skonfrontujemy jego zdjęcie z zeznaniami świadków, tej prostytutki i twojego syna, niestety, też... Dam ci znać, co ewentualnie z tego wynikło. Dostanę jego życiorys z Niemiec, może się czegoś doszukamy. Sądzę jednak, że musimy być przygotowani, że z tym Baurnannem to fałszywy trop. Nie mamy nic, dosłownie nic, oprócz czasu jego pobytów w Trójmieście, co łączyłoby tego faceta z zabójstwami. Nawet cienia

motywu! Niczego sensownego. Chcemy poszperać raczej w kontaktach naszego radnego i jeszcze raz przeanalizować nagrania z muzeum. Poza tym trzeba by przejrzeć listę byłych pracowników muzealnych oraz ich rodziny. Ktoś z nich może mieć na przykład kuku na tle zawodowym, może leczyć się psychiatrycznie. Już poprosiłem o to Martę, zgodziła się. Część z tych ludzi zna zresztą osobiście. Tym lepiej. A ty szukaj na listach hotelowych nazwiska podobnego do tego, które wymienił Bartek.

- już to zrobiłem. Nie ma tam nikogo o podobnym nazwisku. - Emil potarł dłonią czoło. Był nieco zniechęcony. Coś, co już wydawało się bliskie, ponownie się oddalało. Jeśli to nie Baumann, są równie daleko od rozwiązania sprawy, co dwa miesiące temu! A tymczasem morderca gotów uderzyć znowu.

- Cholera! - zaklął Zebra. - No nic, pewnie je zmyślił. Trudno przypuszczać, że morderca przedstawi się własnym nazwiskiem.

- Pewnie tak.

## ROZDZIAŁ 28

Następnego dnia Emil obudził się z ciężką głową. W nocy nie mógł spać, dręczyły go frustracja i niepokój. Co chwilę kładł się obok śpiących Marty i Bolera, po czym znowu wstawał, gdyż sen uparcie nie nadchodził. Szedł do kuchni i palił papierosa za papierosem. Przysnął wreszcie nad ranem, a ocknął się dopiero wtedy, gdy Marta, ubrana już do wyjścia, szukała czegoś w szafie sypialni.

- Która godzina? - Usiadł na łóżku. - Zaspałem?

- Po dziewiątej. Zaraz wychodzę. Śpij dalej, słyszałam, jak całą noc kursujesz - odparła Marta, wyciągając z szafy torebkę.

- Czekaj, zaraz wstanę, odwiozę cię.

- Mowy nie ma, pojedę kolejką. Odpocznij sobie, bo w końcu zwariujesz od tego wszystkiego.

Pocałowała go w czoło i zanurzyła twarz w futrze pochrapującego obok Bolera.

- Trzymajcie się, chłopaki. Lecę!

Emil wyciągnął się z powrotem na łóżku, lecz - mimo szczypiących oczu - sen już od niego odpłynął. Powrócił za to niepokój. Wstał w końcu, wziął prysznic, zrobił śniadanie. Przeżuwając grzankę z miodem, zastanawiał się, co zrobić z nadchodzącym czasem. Nie potrafił czekać bezsilnie na ustalenia Zebry. Z papierosem w ustach i kubkiem kawy w dłoni zadzwonił na komórkę przyjaciela. Dowiedział się od niego, że nadeszły już drogą elektroniczną materiały z Niemiec na temat Baumann.

- Nie miałem jeszcze czasu ich przejrzeć - powiedział Marek. - Wpadnij, jak chcesz, może zrobimy to razem. Co dwie głowy, to nie jedna.

- Jadę!

Jak zwykle poprosił sąsiadkę o opiekę nad Bolerem i z nową dawką energii pobiegł do samochodu.

- Można powiedzieć, że to z pochodzenia gdańszczanin - zauważył Zebra, tłumacząc na gorąco z niemieckiego. - Urodzony już w Hamburgu, w pięćdziesiątym czwartym. Ale rodzina pochodzi z Gdańska.

- Niemcy gdańscy?

- Trudno stwierdzić. Mieszane korzenie, jak często bywało na tych terenach. Ale musieli uważać się za Niemców, skoro wyemigrowali. Czekaj, zaraz!... No, no. Dość

tragiczne dzieje, wynika z tego...

- Czytaj dalej! - Emil poczuł przyspieszone bicie serca. Wciąż czuł, że instynkt nie może go zawieść.

- Przed wojną dziadek Baumanna, Helmut Jeschke, tak jak i jego ojciec, trudnił się handlem wyrobami złotniczymi. Specjalizowali się w srebrze i bursztynie, ale także biżuterii egzotycznej, głównie dalekowschodniej, przywożonej przez marynarzy. Posiadali parę sklepów jubilerskich na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Helmut miał kilkoro dzieci, w tym matkę naszego Alfreda. Zaczekaj... O, tu zaczyna się ważne! Helmut Jeschke zginął na froncie wschodnim. Jego żona, babka naszego Alfreda - pod koniec stycznia czterdziestego piątego roku, gdy Ruscy napierali już w kierunku Gdańska i Niemcy przystąpili do ewakuacji swojej ludności - znalazła się na pokładzie słynnego już dziś transportowca MS „Wilhelm Gustloff”. Udało jej się zabrać ze sobą tylko trójkę młodszych dzieci. Niestety statek został storpedowany przez Rosjan i zatonął. Była to podobno największa katastrofa morska w dziejach ludzkości, pochłonęła około dziesięć tysięcy ofiar. Niemieckie jednostki, które przybyły na pomoc, zdołały uratować tylko około ośmiuset rozbitków. Ale nikt z rodziny Jeschke nie ocalał. W Gdańsku pozostały dwie starsze córki pod opieką dziadka, ojca Helmuta. Mieli dołączyć do rodziny później, być może również drogą morską. Lecz nie zdążyli. Ta część relacji jest niejasna, brakuje konkretnych danych. Przypuszczalnie dziadek wraz z młodszą wnuczką musieli zginąć jakoś pod koniec wojny, już po wyzwoleniu Gdańska. Bo do Niemiec, późniejszym transportem lądowym, wywożącym tak zwanych „wypędzonych” z terenów Pomorza, dotarła tylko starsza dziewczynka. Matka Alfreda Baumanna.

Miała wtedy czternaście lat. Trafiała do sierocińca, a dopiero po dwóch latach przygarnęli ją jacyś dalsi krewni. Po kilku latach wyszła za mąż za Eryka Baumanna, mieli jedno dziecko: Alfreda właśnie. Są tu dane... Anna Jeschke, lat dwadzieścia, urodzona w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, ojciec Helmut Jeschke, matka Helga Jeschke, primo voto... O cholera. Lingmem...

- Co?! - Emil jak oparzony zerwał się na równe nogi. - To jest nazwisko panięskie babki Alfreda Baumanna?! Tej, która zatonąła?

- Właśnie. - Zebra spojrzał na niego dziwnie.

Zanim zdążył skojarzyć fakty, Emil wyszarpnął z kieszeni telefon i zadzwonił na komórkę synka.

- Tato, mam lekcje... - wysyczał Bartek szeptem. - Pani patrzy. Dobrze, że nie zapomniałem wyłączyć dzwonka, tylko zostawiłem wibracje. Zadzwoni na przerwie.



- Czekaj, Bartek - zawołał pospiesznie Emil. - Przeproś panią, to ważne! Ten facet, który do was dzwonił miał na nazwisko Lingmem?!

- O, właśnie! - ucieszył się chłopiec. - Mówiłem, że tak jakoś dziwacznie.

- Jesteś pewny?

- Tak. Muszę już kończyć.

Emil odwrócił się do przyjaciela tryumfalnie.

- Mamy go! - oznajmił. - To on! A nie mówiłem? Zebra gorączkowo dzwonił już do podwładnych.

- Cholera! - warknął przez zęby. - Trzeba jak najszybciej skonfrontować jego zdjęcie ze świadkami. Może jeszcze dziś się uda. Wygląda na to, że intuicja cię nie zwiodła. Przyskrzynimy go jutro z samego rana. Byle go tylko nie spłoszyć. Słuchasz mnie czy nie? Co ty tam teraz bazgrzesz?!

- Co? - bąknął Emil. - Zaraz...

Po chwili podsunął Markowi pod nos kawałek wyrwanej z notesu kartki. Widniało na niej napisane drukowanymi literami nazwisko: LINGMEM.

- No i co? - zdziwił się Zebra.

Emil zakreślił czerwonym flamastrem, znalezionym na biurku kolegi dwie sylaby.

- Nie widzisz?

- Czego?

- Przeczytaj to słowo od tyłu! - zdenerwował się Emil. - Najpierw ostatnia sylaba, potem pierwsza.

- MEM... Jasna cholera! Memling! Jak wół!

- Dokładnie! - Emil odruchowo zapalił papierosa, mimo że w pomieszczeniu widniał zakaz palenia. - Otóż to! To klasyczny anagram! Nazwisko Lingmem to anagram nazwiska Memling.

## ROZDZIAŁ 29

- Uważaj na siebie! - poprosiła Marta, wysiadając z samochodu przed tylnym wejściem do muzeum.

- Ty także - odparł. - Może dziś uda się zakończyć sprawę. Trzymaj kciuki. I zadzwoń, kiedy mam po ciebie przyjechać.

- Dobrze. Jeszcze jeden całus poproszę.

Przez chwilę obserwował z uśmiechem jej smukłą sylwetkę w dżinsach i brązowej welwetowej kurteczce, na której kołnierzu opadały rude fale włosów, zlewając się kolorystycznie zarówno z materiałem, jak i z barwami dojrzałej jesieni, panującej dookoła. Kochał tę porę roku. Kochał tę kobietę. Myślał, jakie to dziwne, że dwoje outsiderów spotyka się niby przypadkiem, a wszystko jest właśnie tak, jak powinno być od zawsze, jakby przez całe życie czekali tylko na siebie.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

- To ja - odezwał się w słuchawce Zebra. - Jesteś już wolny? prostytutka zidentyfikowała faceta, jest prawie pewna, że to ten sam! Tyle że wtedy nosił okulary lustrzanki. Ale fakt, gość wygląda tak pospolicie, że stu innych także by pewnie rozpoznała. No, ale zawsze coś, są jakieś podstawy do zatrzymania. Nasza funkcjonariuszka rozmawiała też z twoim synem.

- I co powiedział Bartek?!

- Że to na pewno ten sam facet, który zaczepił go w Krynicy.

- No to ja mu wierzę - oświadczył Emil stanowczo. - Bartek jest cholernie spostrzegawczy. Skoro powiedział, że na pewno ten sam, to się nie myli!

- Widać, że pokładasz zaufanie w potomku - zaśmiał się Zebra.

- Ty nawet nie masz pojęcia, jak spostrzegawcze i dociekliwe są dzieciaki. - Emil uśmiechnął się z wyższością. - Zdziwiłbyś się! One widzą wszystko. Czasem to aż szlag może człowieka trafić. Ale do rzeczy: co teraz?

- Jadę do hotelu Baumanna. Są tam już nasi ludzie, pilnują go od wczorajszej nocy. Chcę go dziś zgnać, ale bez niepotrzebnego zamieszania. Jeśli możesz, to dołącz do nas.

- Gdzie teraz jesteś? Już w drodze?

- Dojeżdżam do centrum. Jak nie wpakuję się w korek, to za piętnaście minut będę.

- Dobra, to będę czekał przed wejściem do hotelu. - Emil rozłączył się i wycofał

samochód z parkingu.

Nie dawały mu spokoju okulary lustrzanki. W podświadomości utrwalił mu się obraz mężczyzny w lustrzankach. Gdzieś go na pewno widział. Owszem, ludzi w takich okularach - szczególnie latem - widuje się dość często. Ale jemu narzucał się jakiś jeden konkretny wizerunek. Tyle że zanim mógłby się nad nim zastanowić - rozplywał mu się w pamięci bez śladu...

Przed hotelem czekał najwyżej pięć minut. Zebra nadjechał już po chwili. Emil nie zdążył nawet wypalić całego papierosa.

Na parkingu znajdowało się dwóch policjantów w cywilu - obserwowali wejścia hotelowe z samochodów. W środku było jeszcze kilku ludzi Marka, jeden w holu udawał znudzonego gościa, wertującego kolorowe czasopisma, a kolejni pilnowali korytarza w pobliżu pokoju Baumanna, a także baru i restauracji.

- I jak tam? - rzucił Zebra, przysiadając się do tego z gazetą.

- Jest u siebie - odparł tamten. - Wychodził tylko dwa razy, na krótko: raz do baru na śniadanie, a drugi raz do kiosku. Wrócił po dziesięciu minutach. Od tej pory więcej nie opuszczał apartamentu.

- Ok. Masz zdjęcia?

Mężczyzna podał mu gazetę. Zebra skinął na Emila, zajął więc wolny fotel obok - wyglądali po prostu na znających się z widzenia ludzi, pogrążonych w zdawkowej rozmowie podczas przeglądania prasy. W środku gazety znajdowały się odbitki z polaroidu. Widniał na nich mężczyzna w różnych ujęciach, mężczyzna o pospolitym, niczym niewyróżniającym się wyglądzie. Dość przysadzisty blondyn o przerzedzonych włosach, zaczesanych do tyłu, ubrany w szary garnitur. Taki, na jakiego nie zwraca się uwagi. A jednak Emil był już niemal pewien, że widział gdzieś tego właśnie faceta. W wyobraźni dorobił mu lustrzanki... Już, już prawie miał to na końcu języka, jednak wrażenie niemal natychmiast umknęło.

- Znam go skądś - mruknął do Marka.

- Skąd?

- Właśnie nie mogę skojarzyć, cholera.

- Może ci się przypomni - powiedział Zebra. - Jak go zobaczysz na żywca. To co? Bierzemy go?

- On na pewno nie domyśla się, że jest obserwowany? Trzeci mężczyzna pokręcił głową.

- Niby skąd? Zachowaliśmy pełną ostrożność. Nasz człowiek jest w wolnym pokoju naprzeciwko apartamentu gościa. Wynajęliśmy go już wczoraj. Ma oko na wszystko, ale

dyskretnie.

- Zadzwoń do niego i zapytaj, co się dzieje - polecił mu Zebra.

- Wszystko w porządku - odparł ten po chwili. - Facet nie wychodził z pokoju.

- Personel hotelu jest zorientowany w sytuacji? - zapytał Emil, zerkając przelotnie w kierunku recepcji.

- Nie. Miało nie być zamieszania.

- Może mógłbym... - Emil urwał, ponieważ w tym momencie odezwała się jego komórka. Na wyświetlaczu ukazał się numer telefonu Marty.

- Chwileczkę - pstryknął w słuchawkę. - Tak?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że kończę dziś trochę później, bo mam spotkanie - oznajmiła szybko Marta. - Nie wiem, jak długo to się przeciągnie, zadzwonię.

- Dobrze.

- Wszystko w porządku? Zgodnie z planem?

- Tak. Wszystko pod kontrolą. Nie wychodź sama. Będę czekał na telefon.

- Całuję.

- Ja też. Pa!

Zebra uśmiechnął się pod nosem.

- Wszystko gra?

- Tak.

- Zacząłeś coś mówić? Emil zawahał się.

- Myślałem, że może mógłbym pójść do niego - dokończył. - Sam. Wasz człowiek siedzi w pokoju naprzeciwko, więc obstawa w razie czego jest. Może udałoby mi się sprowokować go, wyprowadzić pod jakimś pretekstem na zewnątrz.

- On cię zna - zauważył Zebra.

- I właśnie dlatego da się sprowokować.

- Może - zastanowił się Marek. - Masz jakiś pomysł?

- Będę improwizował. Wywabię lisa z nory.

- Jeden warunek. Nie wejdiesz do jego pokoju. Możesz z nim gadać na korytarzu, w barze, w holu... w miejscu publicznym, kapujesz? Moi ludzie przez cały czas mają cię widzieć. Założymy ci podsłuch i nagramy całą rozmowę. Usuwasz się, jeśli zaczniesz uciekać. Łapać go będzie policja, jasne?

- W porządku.

- Cholera, w zasadzie nie wiem, czy powinienem się na to godzić! W końcu mnie on też zapewne zna! - zirytował się nagle Zebra. - Równie dobrze sam mógłbym tam iść.

- Po pierwsze, ciebie zna jako oficera policji, prowadzącego oficjalne śledztwo - perswadował uparcie Emil. - Pary z gęby nie puści bez obecności adwokata! A mojej roli nie potrafi jednoznacznie określić. Po drugie, prowadzi ze mną jakąś chorą grę. Jest szansa, że uzna moje pojawienie się za jej dalszy etap.

- Po prostu masz z nim osobiście na pieńku i życzysz to sobie rozegrać aż do końca!

- To pewnie też.

Ściszyli głos, ponieważ minęła ich właśnie grupka gości hotelowych, jakaś para w średnim wieku z dwojgiem dzieci oraz staruszka w przeciwdeszczowym płaszczu. Zebra patrzył na Emila z mieszaniną jednocześnie irytacji i zrozumienia. W końcu uśmiechnął się kącikami ust.

- Wkurzasz mnie - mruknął.

- Już się zgodziłeś. - Emil również przywołał na twarz cień uprzejmego uśmiechu. - A nawet postawiłeś warunki. Podobno nigdy nie rzucasz słów na wiatr?

- No i nie rzucam - wzruszył ramionami Zebra. - Mówię tylko, że mnie wkurzasz. Warunki znasz. Zaraz dam cynk na górę. Tam założą ci podsłuch. Za tobą pójdzie jeszcze jeden człowiek i będzie czekał za zakrętem korytarza.

- Mam swój dyktafon - zauważył Emil. - Nie wystarczyłby? Nie szkoda czasu na podsłuchy?

- Nie. A niby dokąd tak ci spieszo? - uciął Marek. - Gość i tak nie ucieknie. Dobra, festeś gotowy?

- Tak.

- Wy też? Wiesz, co macie robić? - Zebra zwrócił się do trzeciego mężczyzny, który potwierdził skinieniem głowy.

- Zachować najwyższą ostrożność - dodał podkomisarz. - Wokół są ludzie. Który to pokój?

- Dwieście piętnaście - odparł wywiadowca. - Drugie piętro, pośrodku korytarza.

- No to ruszaj, brachu. - Zebra uśmiechnął się uprzejmie, jakby żegnało się ze sobą dwóch przygodnych znajomych po miłej pogawędce. - Powodzenia!

Emil wysiadł z windy na drugim piętrze. Policjant w cywilu zablokował windę i gestem wskazał mu właściwy kierunek. Prosto i na lewo. Gruby dywan tłumił kroki, wokół panowała martwa cisza. Znalazł drzwi oznaczone numerem dwieście piętnaście. Zatrzymał się przy nich, nasłuchując chwilę. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Ale morderca tam był. Wywiadowca mówił przecież wyraźnie, że facet od pewnego czasu nie opuszczał pokoju. Drapieżnik musiał tkwić w swojej jamie.

Bez wahania nacisnął klamkę sąsiedniego apartamentu. Zgodnie z ustaleniami drzwi ustąpiły. W środku czekało dwóch policjantów w cywilu; jeden z nich sprawnie założył mu standardowy podsłuch, drugi zaś przez cały czas nasłuchiwał pod drzwiami.

- Pamięta pan ustalenia? - zapytał ten od podsłuchu. - Podkomisarz kazał się upewnić.

- Pamiętam - odparł. - Bez obaw.

Był lekko spięty i prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, jak rozegra tę sprawę. Polegał na swoim instynkcie i dziennikarskim wyczuciu okoliczności. Wszystko będzie zależało od rozwoju sytuacji.

- Jest pan gotowy? Raz kozie śmierć.

- Jestem - przytaknął, by za długo się nie namyślać.

- No to proszę ruszać. - Gliniarz skinął głową, sięgając po słuchawki. - Ubezpieczamy pana.

Emil cicho zamknął za sobą drzwi. Gdy stukał do pokoju mordercy - miał już pewność, że to właśnie ten człowiek - czuł tylko lekko przyspieszone bicie serca. Poza tym był czujny i całkowicie opanowany.

Jednak odpowiedziała mu cisza.

Zastukał ponownie, tym razem głośniej.

Żadnej odpowiedzi.

Przystawił ucho do drzwi, lecz nie usłyszał żadnych kroków ani choćby szelestu.

Lekko nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

Skonsternowany rozejrzał się wokół. Zdawało mu się, że dobiegł go jakiś dźwięk. Daleko z tyłu korytarza, patrząc w kierunku odwrotnym do schodów i windy, ujrzał uchylone drzwi jednego z pokoi. Ruszył w ich kierunku. W pokoju krzątała się sprzątaczką. Na podłodze stał odkurzacz, a kobieta ściągała właśnie brudną pościel z dwóch łóżek.

- Przepraszam bardzo - zagaił grzecznie, lecz z niepokojem w głosie. - Byłem umówiony z przyjacielem w jego pokoju, ale nikt nie odpowiada na pukanie.

- Może wyszedł? - Spojrzała na niego niechętnie.

- Ale ja jeszcze przed chwilą dzwoniłem do niego z recepcji.

- Emil przybrał bardzo zaniepokojony wyraz twarzy. - Powiedział wyraźnie, że czeka na mnie u siebie w pokoju. Boję się, że może zasłabł. To człowiek poważnie chory na serce!

Sprzątaczką zakłopotana odłożyła stertę trzymanego w ręku prania na posłane już łóżko.

- A niech pan jeszcze raz spróbuje zadzwonić. Może tylko był w toalecie?

- Już długo tu jestem, stukam i stukam - odparł. - Ale dobrze, spróbuję zadzwonić na

komórkę.

Wyjął telefon i wykręcił numer domowy Marty.

- Widzi pani? Nic, cisza. Nie odpowiada! - Teraz jego twarz wyrażała już szalone zdenerwowanie. I nawet nie do końca udawane. - To taki pan w średnim wieku, cudzoziemiec. Nazywa się Baumann. Alfred Baumann. Może ja to powinienem gdzieś zgłosić? Musiało się coś stać!

- Znam tego pana z widzenia - westchnęła kobiecina.

- Choruje, mówi pan? A kto teraz nie choruje? Takie czasy. Dobrze, chodźmy tam.

Pan idzie ze mną.

Podreptała ku pokojowi dwieście piętnaście, a Emil posłusznie poszedł za nią. Energicznie zastukała w drzwi, raz i drugi.

- Pan jest pewny, że ten pan powinien tu być? - zapytała trochę niepewnie.

- Oczywiście! - podniósł lekko głos. - Przecież tłumaczyłem już pani... Trzeba to komuś zgłosić!

- Zaraz - wyjęła z kieszeni fartucha pęk kluczy. - Może nie trzeba robić hałasu. Zobacz się. Na pana odpowiedzialność! - zastrzegła.

Poszukała odpowiedniego klucza i przekręciła go ostrożnie w zamku. Usunęła się na bok, a Emil pchnął drzwi.

Jednym rzutem oka ogarnął pomieszczenie. Pokój był pusty.

Z niedowierzaniem wszedł do środka. Schludnie zasłane łóżko. Idealny porządek. Zanim sprzątaczką zdążyła zaprotestować, uchylił drzwi szafy. Ujrzał tylko parę powieszonych w rzędzie garniturów i pustą walizkę. Zajrzał do łazienki. Nikogo tu nie było.

- I co? Przyjaciół wyparował? - odezwała się sprzątaczką z przekąsem, teraz już stojąc dumnie w drzwiach.

- Nic nie rozumiem... - wymamrotał Emil. - Przepraszam panią. I dziękuję. Widocznie musiał jednak wyjść. Może się nie dogadaliśmy. Poszukam go w barze. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- A nie ma sprawy! - odparła dobrodusznie, zamykając drzwi z powrotem. - Pan się nie martwi. Zguba na pewno zaraz się znajdzie!

Skierował się w kierunku windy. Czekał tam na niego zaniepokojony wywiadowca.

- Co się, do kurwy nędzy, dzieje? - wysyczał.

- Nie mam pojęcia - odparł Emil. - Jedź pan na dół i zamelduj podkomisarzowi, że ptaszek odfrunął. Będę czekać w pokoju naprzeciwko.

Wyjrzał ostrożnie zza węgła, by sprawdzić, czy sprzątaczką zniknęła już z pola

widzenia, po czym udał się do apartamentu. Tam czekali już na niego jeszcze bardziej zaniepokojeni gliniarze.

- To niemożliwe! - przywitał go ten, który zakładał mu podsłuch. - Nie wychodził z pokoju! Cały czas miałem go na oku.

- A jednak wyszedł. - Emil wzruszył ramionami, ściągając urządzenie podsłuchowe. - Facet zniknął. I cholera wie, gdzie go teraz szukać.

- Zapewne tu wróci.

- Nie sądzę - usiadł zrezygnowany na krześle. - Coś mi mówi, że tutaj już go więcej nie zobaczymy.

W tym momencie do pokoju wpadł Zebra z jeszcze jednym policjantem w cywilu.

- Co jest, do cholery?! - warknął. - Gdzie ten swolocz?!

- Wyparował. - Emil zacytował słowa sprzątaczkii.

- Trzeba zawiadomić kierownictwo hotelu - zdecydował Zebra. - Nakaz jest. Koniec z tajemnicami. Musimy przeszukać jego pokój.

- Prawie nic tam nie ma - poinformował go Emil. - Kilka marynarek, pusta walizka. On tu już raczej nie zamierza wracać.

- Jego wynajęty samochód wciąż stoi na parkingu. Emil ponownie wzruszył ramionami:

- Sam mówisz, że wynajęty. A obowiązek zwrotu widocznie scedował na ciebie - zauważył z sardonicznym uśmieszkiem.

- Szlag by to trafił, zwieje nam! - Zebra aż poczerwieniał z bezsilnej złości. - Jednak skapował się, bydlak, że go obserwujemy. Będzie trzeba zawiadomić lotniska, przejścia graniczne, postawić na nogi drogowców.

Emil wpatrywał się ponuro w podłogę.

- Oby tylko nie załatwił jeszcze kogoś po drodze - zauważył. - Pamiętajcie, że to wariat. Chryste Panie! - zerwał się nagle na równe nogi, obmacując kieszenie w poszukiwaniu telefonu komórkowego. - Marta!



## ROZDZIAŁ 30

Mężczyzna chichotał pod nosem, zbliżając się do celu. Celu w podwójnym tego słowa znaczeniu. Celu w postaci konkretnego budynku z czerwonej cegły oraz celu swojej misji, która wreszcie dobiegała końca...

Zbierało mu się na śmiech za każdym razem, gdy przypominał sobie, jak przechytrzył głupie gliny. Już z samego rana przeczuwał, że jest obserwowany. Czuł na plecach te świdrujące spojrzenia. Pan Zastępów dał mu tę moc. Moc odbierania sygnałów. Tak jakby ktoś mówił mu:

„Uważaj... Uciekaj... Siedzą cię... Ktoś cię obserwuje... To wróg!”.

Celowo udał się do kiosku z gazetami, by uzyskać pewność. A uzyskał stuprocentową, gdy przez oszklone drzwi hotelowego holu zauważył samochód tajniaka. Sam tajniak - Emil Żądło we własnej osobie - siedział w środku, kopcąc nieodłącznego papierosa.

Wiedział już. Należało zostawić wszystko i uciekać, zanim przeszkoda mu w spełnieniu misji. Tylko jak? Głos wciąż powtarzał mu: „Patrz... Obserwują cię... Uważaj!”.

Nie dając niczego po sobie poznać, spokojnie powrócił do swego pokoju. Zadzwoił tam, gdzie miał zadzwonić. Zajął mu to minutę. Następnie zapakował najpotrzebniejsze rzeczy do sakiewki, którą umieścił sobie na szyi. Najważniejszą walizkę trzymał w bagażniku samochodu. Będzie musiał podejść tam niepostrzeżenie. Ale najpierw należało wydostać się jakoś z hotelu. Wyjrzał przez okno, wychodzące na niewielki balkonik. I nagle tknęła go myśl. To było natchnienie. Otrzymał wskazówkę. Okno wychodziło na tyły hotelu. Mieściło się tam ogrodzone podwórze, na które o świcie podjeżdżały samochody dostawcze, ale o tej porze panowała tu tylko martwa cisza. Tuż pod balkonem znajdował się dach niewielkiej przybudówki.

Przed lustrem łazienki dokonał niezbędnej charakteryzacji. Siwa peruczka, nieco pomady i bladego pudru, okulary, chusteczka. Jeszcze tylko płaszcz przeciwdeszczowy, aby ukryć figurę i schować pod nią sakiewkę. Pogoda była odpowiednia, jesienna mgiełka zapowiadała mżawki.

Był sprawny fizycznie. Swoją kondycję ćwiczył starannie przez długie lata, tak by nigdy go nie zawiodła. Żołnierze Chrystusa muszą być pod każdym względem niezawodni.

Gdy upewnił się, że wokół nie ma żywej duszy, przez barierkę wydostał się sprawnie na gzyms tuż obok balkonu i przytrzymując się żelaznych sztachetek, opuścił się w dół.

Odległość od dachu przybudówki nie była zbyt duża. W butach na gumowej podeszwie udało mu się zeskoczyć bez problemu.

Rozejrzał się szybko dookoła, po czym wykonał jeszcze jeden skok na wybetonowany podjazd. Gdyby ktoś go tu zauważył, udałby rozwścieczoną starą wariatkę. Lecz w pobliżu nie było nikogo, z podwórzem sąsiadowały tylko jakieś hotelowe magazyny. Jedynie wielkie, bure kocisko wylegiwało się na schodku przybudówki. Diabelskie stworzenie. Splunął w jego kierunku i oddalił się szybko. Nienawidził kotów. Wciąż pamiętał bolesne szramy na głowie i twarzy, pozostawione przez kota Czarownicy.

Zamierzał wydostać się poza ogrodzenie, lecz brama była zamknięta, a mur zbyt wysoki, by się na niego wdrapać. Czyżby okazało się, że znalazł się w pułapce? Rozejrzał się. Jedyne drzwi widniały w miejscu, gdzie leżał kot. Z rozeznania wynikało, że musi to być tylne wejście do hotelu, wejście dla dostawców i niższego personelu. Musiałby jednak przejść obok kota. No, w razie czego kopnie go zdrowo.

Gdy zbliżał się do schodków, paskudny stwór rozdziawił paszczę, ukazując kły, zasyczał jak rozbudzony wąż i podniósł się niespiesznie, wyginając grzbiet w potężny garb, a jego ogon nastroszył się niczym u smoka z piekła rodem.

- Raus! - rzucił mężczyzna, tupiąc nogą.

Lecz kot, zamiast uciec, rzucił się na jego łydkę, uniósł uzbrojoną w pazur łapę i zdzielił go nią z całej siły. Mężczyzna syknął, z trudem tłumiąc krzyk i zamachnął się nogą, lecz parszywe stworzenie skoczyło już na dach przybudówki jednym zwinnym susem, szydząc sobie z jego zamiarów.

Bydlę.

Szatański pomiot.

Nacisnął klamkę, drzwi na szczęście nie były zamknięte. Znalazł się w mrocznym przedsionku, z którego wydostał się do wąskiego korytarzyka, prowadzącego do hotelowego magazynu. Błąkał się przez jakiś czas niczym w labiryncie, aż tymczasem z kolejnych drzwi wyszła jakaś młoda dziewczyna w szarym fartuchu. Na widok intruza zatrzymała się jak wryta:

- A co pani tutaj robi?!

- Przepraszam, dżeczko, zgubiłam się... - zajęczał płaczliwym głosem, patrząc na dziewczynę błagalnym wzrokiem krótkowzrocznej staruszki.

- Pani jest gościem hotelowym?

- Tak, tak... Zgubiłam się.

- Ojej - roześmiała się dziewczyna - Pewnie pomyliła pani drzwi w toalecie? To się od

czasu do czasu u nas zdarza!

- Tak, tak, właśnie...

Dziewczyna zaprowadziła go do kolejnych drzwi, które okazały się wejściem do publicznej toalety, przeznaczonym dla personelu sprzątającego. Toaleta była ogromna, rzeczywiście na upartego można się było pomylić. Szczególnie gdy chodziło o starą kobietę.

- O, proszę. - Uśmiechnęła się młoda osoba i wskazała drzwi na wprost. - Musi pani wyjść tędy...

- Dziękuje, dziękuje - wyjęczał, uśmiechając się pod nosem. Idiotka... Nawet nie przypuszczała, że o mały włos uniknęła śmierci. Gdyby okazała się bardziej dociekliwa - pożegnałaby się z życiem, nieco wcześniej trafiając do piekła, gdzie zapewne jej właściwe miejsce.

Gdy dziewczyna zniknęła za drzwiami, poprawił w lustrze swój wygląd, przerzucił sakiewkę na plecy i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. W holu, na wprost recepcji, zauważył tajniaka i rudego glinę, którego marchewkowe włosy z daleka rzucały się w oczy. Aby dotrzeć do wyjścia, będzie musiał przejść obok nich.

Z baru albo z windy wysypała się właśnie jakaś hałaśliwa rodzina z dziećmi. Wymknął się, idąc za nimi i wmieszał w grupkę gości hotelowych. Przechodząc przez hol, zgarbił się pod swoim przeciwdeszczowym płaszczem. Woreczek na plecach wzmocnił efekt. Mijając tajniaków, udał, że wyciera nos wyjętą z kieszeni chusteczką. Nawet nie zwrócili na niego uwagi, tak byli pogrążeni w rozmowie!

Spokojnie przeszedł pod samym nosem policjantów. Znów zaśmiał się w duchu, rozpamiętując ten obraz: policjantów, którzy mieli go śledzić, oraz tego durnia - Emila Żądło.

Walizeczkę z bagażnika udało mu się wyjąć bez trudu, jego auto stało z tyłu, w rzędzie wielu innych samochodów. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Makijaż zmył w toalecie kawiarni po drodze do przystanku tramwajowego, a peruczkę wrzucił do kosza na śmieci.

Satysfakcja łagodziła ból w łydce, jaki odczuwał po starciu z diabelskim pomiotem. Tuż wkrótce takie głupstwa przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Cel jest blisko.

Coraz bliżej.

Od wyjścia z tramwaju jeszcze tylko mały kawałek dzielący go od spełnienia.

Najważniejszą rzecz już wykonał. Przeznaczył na to kilka ostatnich dni i nocy. Nie wolno zawieść. Wszystkie tryby w tej maszynie muszą zadziałać bezbłędnie.

Najważniejsza ofiara czeka.

Złoży ją na Ołtarzu Mistrza.

A potem...

Potem zacznie się Sąd Ostateczny.

Armagedon.

Marta przeglądała listę odczynników potrzebnych do konserwacji dwóch cennych romańskich ołtarzy. Czekwała na przedstawiciela zaprzyjaźnionej firmy chemicznej, który miał zaprezentować najnowsze - podobno rewelacyjne jakościowo - produkty z tej dziedziny oraz zostawić ich próbki. Dostała informację od szefowej, że przedstawiciel jest w Gdańsku przejazdem i może wpaść do muzeum tylko tego dnia późnym popołudniem, postanowiła więc zostać po godzinach, by jednak się z nim spotkać. Gorzej, jeśli w ogóle nie przyjdzie. Straciłaby tylko niepotrzebnie czas. Ale w takiej sytuacji raczej by chyba zadzwonił i odwołał spotkanie, ma przecież zamiar jej służbowej komórki. Zależało jej na tych odczynnikach, a nigdzie się w końcu nie spieszyła. Rozmawiała wcześniej z Emilem, wiedziała więc, że u niego wszystko w porządku - zidentyfikowany szaleniec znajduje się pod obserwacją policyjną, być może nawet dziś już zostanie zatrzymany. Podejrzewała, że Emil będzie w tym zatrzymaniu uczestniczył. Może wreszcie zakończy się cały ten koszmar i będą mogli zacząć normalne życie? Po cichu liczyła na to, że gdy Emil po nią przyjedzie, będzie już po wszystkim i wrócą do domu wolni jak ptaki.

Gdyby tak jeszcze udało jej się sfinalizować dziś sprawę ołtarzy, byłby to naprawdę udany dzień. Taki dobry znak na nowy początek. Do tych ołtarzy miała osobisty stosunek. Darzyła szczególnym sentymentem sztukę romańską, jej szczerą, naiwną świeżość i prostotę. Pewnie, że to nie to samo, co taki na przykład Hans Memling - prawdziwy geniusz i jej zdecydowany faworyt - ze swoją elegancją, erudycją i mistrzowskim warsztatem malarskim. Inna epoka, inne widzenie świata, inna świadomość artysty. Ale w historii sztuki nie jaśnieją w końcu same gwiazdy. Skromniejsze dokonania znaczyły wcześniej drogę wielkich mistrzów, bez nich być może nigdy nie stworzyliby oni swoich arcydzieł.

Drzwi uchyliły się, zajrzała koleżanka, ubrana już do wyjścia.

- Jeszcze siedzisz? - zapytała. - Ja wychodzę, za chwilę mam autobus. Tobie to dobrze, pewnie przyjeżdża po ciebie ten twój?

- Przyjeżdża. - Uśmiechnęła się Marta. - Odwieźlibyśmy cię, ale muszę jeszcze zostać przynajmniej z godzinę, przyjdzie facet od odczynników.

- No to trudno, zabiorę się z wami innym razem.

- Jasne, nie ma sprawy, choćby jutro. Ktoś jeszcze został?

- W muzeum? Nie. Już zamykamy. No to lecę. Trzymaj się, do jutra!

- Cześć - odparła Marta. - Mam prośbę: powiedz ochronie, że jeszcze siedzę i że ktoś

do mnie przyjdzie, dobrze?

- Jasne. No to na razie. - Pa.

Korzystając z samotności, Marta zapaliła papierosa, zerkając przy okazji na zegarek. Ponownie zadzwoniła do Emila, lecz jego numer był zajęty. Rozłączyła się, nie czekając na sygnał poczty głosowej. Oddzwoni, gdy zobaczy, że telefonowała. Za kilka minut powinien zjawić się gość. Rozmowa zajmie z pół godziny, nie więcej. Marta zganiała się za niecierpliwość. Odrobinę się niepokoiła, choć zdawała sobie sprawę, że wszystko jest na dobrej drodze i na tym etapie nie powinno już być żadnych więcej niespodzianek, zagrożenie jest opanowane, facet obstawiony - musi się udać.

Zerknęła jeszcze w lusterko, poprawiając włosy, które z okazji wizyty zaplotła w schludny warkocz. Zastanowiła się, czy zdjąć roboczy fartuch, lecz w końcu uznała, że w nim będzie wyglądała poważniej i bardziej oficjalnie. Pod spodem jak zwykle miała na sobie stare dżinsy i spraną, „roboczą” bluzkę.

Po chwili rozległo się stukanie do drzwi. Zgasiła papierosa.

- Proszę! - rzuciła, wstając zza biurka.

Od razu, gdy wszedł do gabinetu i zagaił rozmowę, ujrzał w oczach kobiety błysk zrozumienia. Rozpoznała go. Ladacznica. Stała za biurkiem, mając za sobą tylko wysoko umieszczone, lekko uchylone okno i szafę z regałami z boku. Nie mógł dopuścić jej do drzwi. Postawił na podłodze neseserek ze swoim skarbem. Nie usiadł na krześle, tylko napierał na nią, omijając biurko i jednocześnie, stopniowo coraz bardziej podniesionym głosem - częściowo po niemiecku, częściowo po polsku - perorując jakieś banialuki na temat swojej miłości do zabytków, aż w końcu nie wytrzymał i zszedł na ulubiony temat, na Sąd Ostateczny. Powiedział jej, że to on jest samym mistrzem, że długo, bardzo długo, całe wieki, czekał na ucieleśnienie swego przesłania. I że po to tu przyszedł, a nie, by dawać swoje pieniądze na jakieś głupie stare, zeżarte przez korniki ołtarze.

Zachichotał, widząc popłoch na jej gładkiej twarzy, lecz dalej mówił, coraz głośniejszym i coraz szybciej, by nie dać wiedźmie czasu do namysłu. Cofała się czujna jak kot, jak ten jej diabelski pomiot, robiąc uniki, gdy zbliżał się do niej, udając głębokie zainteresowanie jego słowami. Cały czas widział wisior na jej szyi, poruszający się, gdy ona się poruszała - zwinięty wąż z zielonym oczkiem, diabelski symbol. Zieleń kamienia kontrastowała z rudymi splotami włosów czarownicy. Jakie to dziwne, swoją drogą, że pozwolono nosić coś takiego dziecku, lichu nie śpi... Mógł to być spisek sił nieczystych. Tak, to na pewno ten przeklęty naszyjnik ściągnął na nie tamto nieszczęście, trzeba zniszczyć ten znak, który na szyi czarownicy stawał się ochronnym amuletem. Lecz on zerwie ten szatański talizman z jej

białej szyi, zanim - nie mógł się już doczekać tej upojnej chwili - zaciśnie na niej swoje dłonie.

Rozejrzał się szybko w poszukiwaniu kamer, lecz w tym pomieszczeniu nie było ich z całą pewnością. Dwóch ochroniarzy na dole zajętych było grą w karty, gdyż ich czujność uśpiło przekonanie, że w zamkniętym muzeum nic się nie dzieje - nawet nie patrzyli na monitory - wolał jednak zyskać pewność. Załatwi, co ma do załatwienia, i spokojnie wyjdzie, żegnając się z nimi grzecznie, by tuż potem obserwować wielki spektakl, ostatnie przedstawienie, wielki finał. Armagedon.

No, dość tej zabawy.

Najwyższy czas przystąpić do rzeczy, zanim psy zwęszą, co się dzieje.

Na jego ustach pojawił się zadowolony uśmiech.

Wyciągał już drżące z emocji ręce w kierunku szyi czarownicy, gdy nagły i przenikliwy dźwięk telefonu zastopował go w miejscu, zaskakując i dekoncentrując. Skorzystała na tym, rzucając się jak szalona w kierunku biurka, by złapać dzwoniącą komórkę. Prawie jej się to udało. Prawie. Dosłownie w ostatniej chwili złapał ją i wytrącił telefon z dłoni, a ten z hukiem roztrzaskał się o posadzkę. Przy okazji z nosa tej przeklętej lafiryndy spadły okulary do czytania - rozdeptał je wściekle czubkiem buta, usiłując jednocześnie dosięgnąć drżącą z emocji ręką jej gardła.

Czarownica odepchnęła go z całej siły i skoczyła do wyjścia. Lecz on także był szybki. Dopadł ją, gdy jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i zaczerpnęła już oddechu, by wzywać pomocy. Zatkanął jej usta ramieniem, usiłując wciągnąć z powrotem do środka. Jednak w tym momencie kopnęła go z rozmachem w rozoraną przez kota - przeklęty czarci pomiot!

- obolałą łydkę.

Syknął, z trudem powstrzymując okrzyk wściekłości i bólu

- i na moment rozluźnił uchwyt. Wybiegła na długi, dość wąski korytarz.

- Ratunku!

Jej krzyk rozdarł ciszę, panującą dookoła i odbił się zwielokrotnionym echem w jego głowie.

Lekko utykając, rzucił się w pogoń - instynktownie nie zapomniał jednak o neseserze. Złapał go dosłownie w biegu. Nie mógł ryzykować. Wiedział, że nie wolno mu ani na chwilę stracić go z oczu. On był tu najważniejszy, bez niego dzieło nie mogłoby się dokonać...

Mimo obolałej nogi oraz bezcennej walizeczki, kurczowo ściskanej w spoczonej dłoni, błyskawicznie dopadł czarownicy. Przeklinając w ojczystym języku, złapał ją wolną ręką za na wpół rozpleciony warkocz, lecz udało mu się jedynie zerwać z jej szyi przeklęty naszyjnik.

Ona sama wyrwała mu się i pobiegła dalej. Wisiorek z rozerwanym łańcuszkiem upadł z metalicznym grzechotem na posadzkę. Nie miał czasu, by się po niego schylać. Ladacznica znów wyprzedzała go o kilka metrów. Znikła już za załomem korytarza, biegła teraz w kierunku wyjścia z części administracyjnej i naukowej budynku. Gdyby tam dotarła, sprawy mogły się niepotrzebnie skomplikować. Jeszcze chwila, a znajdzie się na głównych schodach muzeum. I może te dwa tępe woły w recepcji spojrzą akurat na monitor albo usłyszą jej krzyk. Wezwą policję, zanim zdąży im w tym przeszkodzić.

Szybciej! Po naszyjnik wróci później, by - gdy już będzie po wszystkim - wrzucić go do Motławy. Niech pochłoną go wody kanału. Oby szczęśliwie tam w ciemnicy. Początkowo zamierzał pogrzebać go w tej ziemi, zwrócić dziecku jego własność. Teraz jednak zmienił zdanie. Wiedźma splugawiła go dotykiem swojej nieczystej skóry, a może nawet był on od początku narzędziem Szatana.

Huknęły drzwi. Czarownica wypadła na podest klatki schodowej. Był jednak tuż za nią, musiała czuć jego oddech na swojej szyi. Echo ich kroków odbijało się głucho od kamiennej posadzki i wysokiego, łukowego sufitu. Skierowała się ku schodom, lecz mężczyzna wyprzedził ją o krok i pchnął, odcinając drogę ucieczki w dół. Przy okazji uderzył ją kantem walizki w brzuch. Upadła. Z wrażenia - a może z bólu - nie mogła już chyba nawet krzyżeć. Ale mimo to podniosła się błyskawicznie i na oślep rzuciła ponownie do rozpaczliwej, beznadziejnej ucieczki. W przeciwnym kierunku. Dobrze znał rozkład muzeum. Biegła teraz ku głównej części budynku, ku salom ekspozycyjnym.

Marta biegła na oślep poprzez dawne korytarze, krużganki i refektarze, w których obecnie mieściły się sale muzealne. Momentami zdawało jej się, że to wszystko jej się śni, że ten koszmar nie może być prawdą. Czuła na swoim karku oddech szaleńca, słyszała jego kroki i - od czasu do czasu - upiorny chichot. Poznała tego człowieka. Spotkała go już kiedyś w muzeum, dawno temu, co najmniej przed rokiem. Wypytywał, kupował pamiątki, narzucając się pracownikom muzeum, którzy z rozbawieniem próbowali uczynić zadość jego zachciankom i kaprysom. Sprawiał wówczas wrażenie pedantycznego, ale zarazem pełnego entuzjazmu turysty. Widziała go także na zdjęciach Emila, choć wtedy nie mogła skojarzyć, skąd zna tego mężczyznę. Jednak sylwetka, lustrzane okulary, ogólne wrażenie; to wszystko wydało jej się znajome. Teraz była pewna, że to ten sam człowiek, który teraz dyszy tuż za jej plecami - o ile jeszcze można go nazwać człowiekiem, a nie jakąś dziką, krwiożerczą bestią.

Nie myślała, działała instynktownie. Klucząc między eksponatami, liczyła chyba na cud. I cud, zdawałoby się, nadszedł. Ukryła się w cieniu figury świętego Jerzego, licząc na to, że prześladowca nie dostrzeże jej w półmroku. I w tym samym momencie usłyszała z oddali

tupot nóg i okrzyki strażników. A potem wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie - przynajmniej ona tak utrwaliła to w pamięci.

Morderca zawahał się i stanął tuż koło niej. Ostrożnie postawił obok swych stóp małą walizeczkę. Dwaj strażnicy nadbiegali w jego kierunku, wołając coś ostrzegawczo. Szalenie zaśmiał się i błyskawicznie sięgnął do kieszeni swego obszernego, przeciwdeszczowego płaszcza. Usłyszała strzały, zanim zdążyła zrozumieć, co się naprawdę stało. Ujrzała, jak ciała ochroniarzy powoli osuwają się na marmurową posadzkę. Morderca śmiał się szyderczo. Chwilę później - nie potrafiła określić upływu czasu, mogła być to wieczność i równie dobrze ułamek sekundy - nadbiegł trzeci strażnik, zaalarmowany widocznie odgłosami wystrzałów. Zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Chciała ostrzec mężczyznę, który oszołomiony przykucnął nad ciałami kolegów, lecz nie zdążył nawet dobrze się unieść, gdy kolejne puknięcie podcięło go i powaliło na podłogę na jedno z leżących bezwładnie ciał, gdzie po krótkich drgawkach zastygł w kałuży krwi.

Znieruchomiała, nie mogąc poruszyć się ani wydobyć z siebie głosu. Dookoła zapadła martwa cisza, słyszała tylko przyspieszone bicie swojego serca. W tej ciszy - znowu jakby na zwolnionym filmie - obserwowała mordercę, który z rozanielonym uśmiechem na ustach zbliżał się do niej przyczajonym krokiem drapieżnika. Oprzytomniała, gdy złapał ją za poły fartucha i pociągnął brutalnie ku sobie. Nad sobą ujrzała sylwetkę rycerza w złotym płaszczu, który z filozoficzną zadumą, jak gdyby przyglądał się całej scenie, lecz nie mógł - albo nie chciał - pospieszyć jej z pomocą.

A może jednak coś działał, bo poczuła jakby nowy przypływ siły: jeszcze raz zdobyła się na rozpaczliwy wysiłek i wyrwała się z rąk szaleńca.

Znow biegła na oślep, słysząc za sobą obłąkańczy chichot. Zapadał coraz większy mrok, eksponaty majaczyły zaledwie w nadchodzących coraz szybciej ciemnościach - lecz jej to akurat nie przeszkadzało. Znała rozkład sal i korytarzy jak własną kieszeń. Postanowiła zawrócić, by uciekać w kierunku wyjścia, co wydawało jej się jedynym sensownym rozwiązaniem. Skorzystała z okazji, gdy prześladowca na moment stracił ją z oczu pomiędzy gablotami, i przemknęła za jego plecami w przeciwną stronę. Czuła się niczym ścigana zwierzyna, szukająca ratunku w znajomej topografii lasu, który do tej pory był dla niej domem i schronieniem - a raptem stał się pułapką bez wyjścia. Zorientowała się szybko, że morderca nie daje się wywieść w pole. Tak, jakby sprzyjał mu jakiś szósty zmysł. Jakby zwycięstwo zła było już przesądzone... Czas zatrzymał się. Nie widziała już przed sobą żadnej przyszłości, żadnego jutra, ani odrobiny światła, ani krztyny nadziei. Miała wrażenie, że strach i ciemność nie skończą się nigdy, będą trwać wiecznie. Znalazła się w piekle.



Dopał ją na progu salki z Sądem Ostatecznym. Zdawało jej się, że nie ma już siły, by walczyć. Najłatwiej byłoby poddać się, przeciąć ten koszmar, przyspieszyć nieunikniony już przecież koniec.

Poczuła, jak morderca przypiera ją do ściany, zaciska zimne palce na jej szyi, chucha w jej twarz odorem czosnku, mamrocząc coś do siebie, rozrywa bluzkę, rozplata włosy i zdiera fartuch.

Marta ostatni raz zebrała siły. Kopnęła szaleńca w goleń, szarpiąc się w jego żelaznym uścisku. Walczyła jak tygryś o swoje życie. Jeszcze jeden kopniak - tym razem kolaniem w krocze. Zdołała uwolnić się spod dłoni, ściskających jej gardło - z całej siły ugryzła go w rękę. Mężczyzna, wrzeszcząc wściekle, uderzył ją mocno w głowę. Marta poczuła, jak ciało jej wiotczeje, osuwa się, a świadomość pogrąża się w gęstej, lepkiej mgle...

Gdzieś spoza niej, z całkowicie nierealnego już świata nadpływa jakiś nasilający się zbawienny dźwięk.

Dźwięk policyjnej syreny. Zbliżał się, narastał. Mężczyzna zastygł w bezruchu. Nie, to nie było złudzenie. Trzeba się spieszyć. Ofiara na ołtarzu Mistrza musi zostać złożona. Zanim nastąpi Armagedon. Wtedy już obraz nie będzie nikomu potrzebny. Stanie się nic nieznaczącym symbolem. Wizja urzeczywistni się. Stanie się ciałem.

Czarownica poruszyła się, zamrugała powiekami, tak jakby dźwięk syreny dotarł i do niej. To możliwe - pulsowały nim już nawet grube mury dookoła.

Do dzieła!

Ponownie zacisnął palce na szyi grzesznicy. Ubranie zedrze z niej na końcu. W myślach ujrzał już obnażone ciało czarownicy, upozowane pod samym obrazem... A potem... Pyk!

Czarownica poruszyła się. Poczuł nagle jej paznokcie na swojej twarzy. Czując piekący ból, odruchowo rozluźnił uścisk. O, ty nierządniczo! Coś ciepłego spłynęło po jego policzkach. Piekący ból. Ostry, metaliczny zapach krwi.

Wściekłość i furia narastały w nim, aż zaczęły przelewać się jak bulgoczący wrzątek z garnka. Miał wrażenie, że krew zalała mu oczy i mózg. Chwycił oburącz głowę grzesznicy i zaczął uderzać nią o ścianę.

Nie dostrzegł nawet, że dookoła rozbłysły światła, nie dosłyszał tupotu nóg na lustrzanej tafli posadzki.

Dopiero okrzyki: „Marta!” i „Ręce do góry!” wystrzeliły tysiącem fajerwerków w jego głowie, rozsadzając ją od środka niczym pocisk.

Wyruszyli do muzeum na sygnale natychmiast po tym, jak Emil próbował

rozpaczliwie dodzwonić się do Marty, lecz połączenie zostało przerwane, jakby ktoś nagle wyłączył lub uszkodził telefon. Po drodze Zebra próbował połączyć się z telefonem muzealnym, jednak również bezskutecznie. Cały budynek był ciemny i wyglądał na wymarły. Na walenie w drzwi także nikt nie odpowiadał. Trzeba je było wyważać. Od razu zorientowali się, że coś jest nie tak, gdy ujrzeli opustoszałe stanowisko strażników, a na kontuarze przewróconą w pośpiechu szklankę z resztkami wyciekającej kawy. Ujrzeli jakiś ruch na monitorach, z daleka dobiegły ich stłumione krzyki. Rozbiegli się po budynku. Emil pobiegł najpierw do pracowni Marty. Była pusta, lecz na podłodze leżała roztrzaskana komórka i zbite okulary, a na korytarzu, nieopodal drzwi - rozerwany wisiorek w kształcie zwiniętego węża. Naszyjnik Marty. Odruchowo przycisnął go do policzka i schował do kieszeni.

Gdzieś z głębi budynku rozległ się przeraźliwy, ochrypły wrzask - ni to ludzki, ni zwierzęcy. Potem głosy zamilkły. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe, gdy biegł za policjantami w stronę tryptyku Hansa Memlinga. Po drodze minęli trzy martwe ciała, leżące w kałuży krwi. Żadne z nich nie było trupem Marty. Po drelichach rozpoznał ochroniarzy.

Zewsząd napierały na nich cienie i dziwne, zwielokrotnione w ciemnościach i błyskach latarek kształty. Nagle dojrzał jakiś ruch w mroku obok wejścia do salki z tryptykiem, a w tym samym momencie dobiegł go cichy jęk. Ktoś rzucił w to miejsce snop światła.

- Marta! - krzyknął Emil, widząc, jak szaleniec, klęcząc nad nią, uderza jej głową o ścianę.

Zanim rzucił się ku niej, poczuł silne szarpnięcie za ramię i usłyszał ostry jak brzytwa, donośny i zimny jak stal głos Zebry:

- Ręce do góry!

Mężczyzna znieruchomiał, zastygł, wodząc tylko nieprzytomnym wzrokiem dookoła.

- Nie ruszaj się! Zostań tam! Czy ktoś mógłby, do cholery, zapalić jakieś światło?! - zawołał Zebra.

Jednocześnie dwaj funkcjonariusze w cywilu, ci sami, którzy wcześniej byli w hotelu - rzucili się na mordercę, by go obezwładnić. Ten jednak był czujny. Zerwał się o ułamek sekundy wcześniej i dopadł neseserek stojący pod ścianą. Policjanci zaczęli się z nim szarpać. Emil - nie bacząc na protesty Zebry - pobiegł im z pomocą. Wariat był silny, zdeterminowany, walczył zaciekle. Jeden z policjantów odepchnął butem walizeczkę. Morderca zaatakował go z furią. Nogą zamierzył się na drugiego policjanta. Znów rozległ się dźwięk syreny. Z tyłu, jak we śnie, Emil usłyszał tupot, nadbiegli kolejni funkcjonariusze, tym razem mundurowi. Emil zawahał się, nie wiedząc, czy pomóc walczącym, czy biec do

Marty, jednak zanim podjął decyzję, ktoś podbiegł do niej, pochylił się...

- Żyje! - usłyszał tryumfalny okrzyk, a w tym momencie zalała go równocześnie fala ulgi oraz wściekłości: rzucił się na szaleńca i jednym pełnym furii uderzeniem pięści w twarz powalił go na podłogę.

Dopiero teraz zalała ich fala światła, zmrużyli oczy oślepienie nagłą jasnością - widocznie ktoś wreszcie znalazł wyłącznik. Morderca, korzystając z chwili nieuwagi, zerwał się i popędził w stronę okna.

Emil oglądał wszystko jak na zwolnionym filmie, ułamki sekund rozplynęły się, zastygając w ułamkach wieczności, jakby krople wody na jego oczach zamieniały się w sople lodu albo kawałki kryształu. Odwieczna zagadka czasu.

Mężczyzna zbliżył się do okna. Był coraz bliżej... Zebra wycelował w niego, krzycząc swoje „Stój, bo strzelam!”. Mężczyzna, pomagając sobie ochryplym, nieartykułowanym rykiem, wdrapał się na parapet, całym ciałem wybił szybę i rzucił się w dół. Przerażliwy dźwięk rozbijanego szkła. Krzyk stopniowo oddalał się, aż w końcu urwał wraz z głuchym plaśnięciem ciała zderzającego się z twardym podłożem. Towarzyszył mu odgłos uruchomionego automatycznie alarmu.

Policjanci podbiegli do okna. A Emil dopiero teraz rzucił się ku Marcie. Była opuchnięta, zakrwawiona - lecz przytomna. Uśmiechała się do niego. Emil przytulił ją ostrożnie, mając łzy w oczach. Marta delikatnie wyswobodziła się, by wytłumaczyć Markowi, jak wyłączyć alarm. Przenikliwy dźwięk w końcu umilkł, zapadła równie przeraźliwa cisza.

- fuż po wszystkim - wyszeptał Emil.

Marta zamknęła oczy i położyła mu głowę na ramieniu.

- To był... biedny człowiek - powiedziała z trudem. Rozdzwonił się telefon Zebry. Podkomisarz podniósł go do ucha, odchodząc na bok.

- Hej! - rozległ się naraz podekscytowany, pełen napięcia głos jednego z funkcjonariuszy, pochylonego nad otwartym neseserem szaleńca. - Patrzcie, co on tutaj ma!

Ostrożnie wyciągnęli z walizeczki dwie peruki, przybory do makijażu, dokumenty (jak się okazało później - wystawione na różne nazwiska: Baumann, Lingmem oraz Jeschke), gotówkę, a także - telefon komórkowy.

- Ma tu zakodowane różne numery w książce adresowej, ale żadnych nazwisk. - Policjant pstryknął guziczkiem aparatu. - Może facet miał współników? Można by zadzwonić pod któryś z tych numerów.

- Stój! - wrzasnął w tym samym momencie Zebra, odrywając od ucha własny telefon.  
- Zostawcie to, natychmiast! Daj mi to gównno!

Funkcjonariusz podał mu komórkę, jakby ta nagle zaczęła go parzyć. Oslupiali policjanci spojrzeli na podkomisarza z konsternacją.

- Słuchajcie - odezwał się już nieco spokojniej. - To jeszcze nie koniec. Właśnie otrzymałem informację. To przypuszczalnie jest detonator. Szajbus podłożył bomby w całym Gdańsku. Zostawił w samochodzie wiadomość dla nas. Trzeba wezwać pirotechników, natychmiast! Cholera wie, co on za świństwo spreparował.

FRAGMENTY ARTYKUŁU EMILA ŻĄDŁO ZAMIESZCZONEGO W PIŚMIE „ROZGWIAZDA”:

W nocy z 21 na 22 października zakończyła się uwieńczona sukcesem, brawurowa akcja policyjna, powiązana z serią tajemniczych zabójstw, dokonywanych na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy na terenie naszego miasta.

Zamachowiec - cudzoziemiec polskiego pochodzenia - rozmieścił ładunki wybuchowe w dziesięciu najbardziej uczęszczanych punktach Gdańska. Akcja nie miała charakteru politycznego. Sprawca okazał się po prostu osobą niezrównoważoną psychicznie.

Policji udało się odszukać i zneutralizować wszystkie ładunki, a tym samym zapobiec ewentualnej katastrofie. Z niektórych miejsc trzeba było ewakuować mieszkańców oraz przechodniów. Sprawna akcja policji zapobiegła powstaniu paniki w mieście.

Zamachowiec - wielokrotny zabójca - został zidentyfikowany i zginął śmiercią samobójczą w czasie trwania akcji.

Dokładna relacja ze śledztwa zostanie zamieszczona już niebawem w specjalnym reportażu na łamach naszego pisma.

Emil zaśmiał się pod nosem, czytając własny wygładzony tekst. Nikt, kto nie uczestniczył w tych dramatycznych wydarzeniach, nie ma i nie może mieć pojęcia o zagrożeniu, napięciu i zwątpieniach tej koszmarnej nocy.

Morderca zginął, lecz pozostawił im parszywy prezent. W samochodzie szaleńca policjanci dokonujący przeszukania znaleźli list zaadresowany do Emila Żądło oraz do policji. List był krótki i zwięzły:

Anioły śmierci rozmieściłem w dniu sądu w dziesięciu najbardziej uczęszczanych punktach w Danzigu. Zapalnik mam przy sobie i ożywię anioły o godzinie zero. Będzie to dokładnie północ - godzina wieczności. Wtedy nastąpi armagedon.

Nikt już nie może zapobiec wyrokom sądu bożego. A ci, co się ostaną, niech odprawiają pokutę za grzechy własne i swoich pobratymców, jako że i ich nie ominie Boska sprawiedliwość.

Podpisano: Hans Memling

Na szczęście w pokoju hotelowym mordercy znaleziono jego notatnik, w którym planował rozmieszczenie ładunków wybuchowych. Przy każdym obiekcie widniał zapisany numer telefonu, uruchamiający poszczególne ładunki. Widocznie, uciekając w pośpiechu, zapomniał o notesie. A może uznał, że sprawy potoczą się zupełnie inaczej i nikt nie zdąży przejrzeć go na czas? Tak czy inaczej - popełnił błąd. Na podstawie tych zapisków udało się w porę zidentyfikować obiekty, w których umieścił bomby. Nie rozwiązywało to jednak sprawy, gdyż wciąż nieznanymi były dokładne miejsca ich ukrycia. Obiekty były duże. Centra handlowe, lotnisko, dworzec, kościoły - z Bazyliką Mariacką na czele.

To Emil - chyba w przypiływie olśnienia - zasugerował, że Baumann mógł ulokować je w instalacjach klimatyzacyjnych, którymi handlował. Okazało się, że trafił w dziesiątkę. Lista kontaktów handlowych Baumanna potwierdziła, że we wszystkich tych obiektach znajdowała się klimatyzacja pochodząca z jego firmy, a pirotechnicy szybko odnaleźli ładunki wybuchowe, które w pośpiechu wywieziono na najbliższy poligon, by tam je zabezpieczyć, a następnie odpalić.

Ładunek znaleziono także w samym muzeum, tuż po tym, jak pogotowie zabrało protestującą Martę do szpitala.

Paniki oczywiście nie udało się całkiem uniknąć. Mimo oficjalnych tłumaczeń - w każdym kolejno penetrowanym miejscu - że akcja ma na celu wyłącznie rutynową kontrolę, wskutek kolejnego, prawdopodobnie jak zwykle fałszywego, alarmu telefonicznego. Jednak w tej sytuacji nie to było najważniejsze. Lepszy umiarkowany wybuch paniki niż kataklizm na skalę całego miasta.

O północy zamknęli oczy i zacisnęli kciuki w dłoniach. Z bijącym sercem liczyli kolejne uderzenia zegara. Gdy umilkły, jeszcze przez dłuższą chwilę nie otwierali oczu, w oczekiwaniu na Armagedon.

Nic się nie wydarzyło.

Dookoła panował spokój. Nie otrzymali znikąd żadnego niepokojącego sygnału. Udało się. Tym razem się udało.

Mimo to patrole policji, wojska i straży miejskiej nie opuszczały ulic Gdańska oraz wyznaczonych stanowisk aż do świtu.

Gdy o świcie rozstawali się - miasto trwało ciche, wymarłe, niemal dostojne. Bezpieczne.

Przede wszystkim - bezpieczne.

Emil pojechał nakarmić zaniepokojonego Bolera, po czym - po wypiciu filiżanki mocnej kawy - udał się prosto do szpitala.

Do Marty...

Czuł, że tak naprawdę dopiero teraz zaczyna się nowy, pierwszy rozdział ich wspólnego życia.

## EPILOG

Dwa tygodnie później

Zebra zaprosił ich w sobotni wieczór na kolację. Dość nieśmiało poprosił o przygotowanie jakiejś przystawki.

- No dobra, a co będzie na kolację? - zapytał Emil niewinnie.

- No... nie wiem - odparł Marek wymijająco. - Może pizza?

- Sam ją zrobisz?

- Przestań się go czepiać! - rzuciła Marta z rozbawieniem. - Powiedz, że zrobimy jakąś sałatkę.

- Zrobimy sałatkę. Słyszałeś.

- To świetnie - ucieszył się Zebra. - Bądźcie o ósmej. Uczymy zakończenie naszego śledztwa.

- Stroje wieczorowe?

- Nie obowiązują. Tylko się raczej nie spóźniajcie!

Gdy z butelką wina i salaterką sałatki frutti di mare w dłoniach zastukali do drzwi mieszkania Zebry, Marek otworzył im z dziwnie zmieszaną miną.

- Co jest? - Emil obrzucił go uważnym spojrzeniem. - Pizza się nie udała?

- Cicho!

Po wejściu do pokoju zrozumieli przedziwną ekscytację przyjaciela. Zza nakrytego pięknie stołu uniosła się ze smutnym uśmiechem - ten uśmiech już zapewne zawsze miał nosić w sobie cień smutku - Maria Braniecka.

- Witam.

- Pani Mario! - zawołał uradowany Emil. - Tak się cieszę! Proszę pozwolić, to jest moja... Moja przyszła żona, mam nadzieję.

- Marta. - Kobiety podały sobie ręce.

- Maja - szepnęła Maria Braniecka. - Tak mówią do mnie przyjaciele.

Maria wyglądała dziś wyjątkowo pięknie. Błada, lecz opanowana - jak zawsze. Ubrana była w granatową welurową sukienkę, a cudowne blond włosy spięła w węzeł na karku. Emil zauważył, z jakim zachwytem w oczach Zebra śledzi ją wzrokiem.

Sam zaś spojrzął z czułością na zajmującą właśnie miejsce przy stole Martę. Ona również wyglądała wciąż blado i mizernie, na twarzy widać jeszcze było ślady zadrapań, a posiniaczoną szyję zasłaniała jedwabną chusteczką - lecz z rozpuszczonymi na ramiona

kasztanowymi fałami włosów sprawiała wrażenie ożywionego wizerunku gotyckiej Madonny. Miała na sobie hinduską tunikę z zielonej bawełny, a w wycięciu jej dekoltu połyskiwał naszyjnik w kształcie zwiniętego węża, z zielonkawym oczkiem, zawieszony na stylowym srebrnym łańcuszku, który sam Emil wybrał w antykwariacie ze starą biżuterią.

- Ale to jeszcze nie koniec niespodzianek - oznajmił Marek i zerknął na zegar. - Będzie więcej gości.

- To był mój pomysł - zaczęła tłumaczyć się Maria Braniewska. - Poprosiłam Marka, żeby ich także zaprosił.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

- Już są! - Zebra pobiegł do przedpokoju, a za moment w progu pokoju ukazał się Szymon Mader z lekko onieśmiałą Ewą.

- Pan Emil? - Na jego widok odetchnęła z ulgą.

- No proszę - roześmiał się. - Moi pracodawcy!

- Ewunia jest dla mnie jak druga córka - uśmiechnęła się Maria. - A że byliśmy już wcześniej umówieni, gdy zadzwonił Marek ze swoją propozycją, zaprosił także i moich gości.

- Zwłaszcza że siłą rzeczy oni także byli zamieszani w to śledztwo - dodał Zebra, mrugając do pary młodych ludzi. - Siadajcie wszyscy, gdzie komu wygodnie, bo zaraz wjeżdżają pizza i szampan!

- Zrobiłeś pizzę? Naprawdę? - zapytał z uznaniem Emil.

- Niezupełnie. Zamówiłem. Za to z najlepszej pizzerii! Podgrzewam ją tylko.

- Czekał, pomogę ci. - Maria wstała od stołu i oboje udali się do kuchni, skąd dochodził aromat pizzy.

Na stole stały już różne pięknie wyglądające sałatki i inne przekąski, w postaci grzybków marynowanych, ogórków, oliwek i innych podobnych przysmaków. Ewa z Szymonem przynieśli sałatkę jarzynową oraz roladki z sera. Marta nałożyła sobie trochę na talerz.

- Pyszne - oceniła.

Gdy parujące kawałki pizzy znalazły się już na stole, Marek otworzył szampana. Korek wystrzelił pod sam sufit, a Ewa zerwała się i schowała go do torebki na szczęście. Unieśli kieliszki.

- Dla mnie tylko woda mineralna - poprosił Emil.

- Żartujesz?

- Nie piję. - Pokiwał głową z krzywym uśmiechem. - Prowadzę.

- Może jeszcze powiesz, że nie palisz? - Zebra uniósł brwi z niedowierzaniem.



- Palę - odparł z udanym oburzeniem. - Po jedzeniu. Jak będzie wam to przeszkadzać, wyjdę do kuchni.

- Nie będzie takiej potrzeby! - Machnęła dłonią Maria Braniecka. - Jakoś to chyba przeżyjemy.

- Papierosy to druga natura Emila. - Marta uśmiechnęła się wyrozumiale. - Bez nich nie potrafi jasno myśleć.

- Cóż, każdy ma jakąś drugą naturę. - Zebra rozlał szampana do kieliszków. - Za Emila! I za nas wszystkich.

Wzniesli toast.

- No więc Baumann był poważnie chory - opowiadał Marek. - Miał raka. Być może to przyspieszyło tę jego... misję. Bo tak ją nazywał. Ale nie było powodem jego... Jak to nazwać? Wynaturzenia. Od wczesnej młodości, a może nawet od dziecka cierpiał na schizofrenię. Osiem lat temu przestał się leczyć. Z jego zapisków wynika, że uważał się za wcielenie Memlinga. W jego chorej wyobraźni tryptyk nie przypadkiem znalazł się w Gdańsku, skąd pochodziła jego rodzina, a także nie przez przypadek jego babka nosiła panięskie nazwisko Lingmem, będące anagramem nazwiska Memling. Od wczesnego dzieciństwa wychowywany był w kulcie historii Gdańska i w nienawiści do Polaków, których obwiniał za tragedię swojej rodziny. Miałaś rację - Zebra zwrócił się do Marty. - To był nieszczęśliwy, chory człowiek. Smutne jest to, że mamy tu wielu podobnych do niego, choć może na szczęście nie każdy cierpi na chorobę psychiczną.

- Potwory rodzą się wszędzie - odezwała się Ewa. - To cecha nie narodowa, ale gatunkowa. Możemy sobie marzyć o wspólnej Europie, ale pewnie dopiero w następnych pokoleniach!

- To się nigdy nie skończy - dodała Maria Braniecka.

- Ludzie zawsze znajdą sobie powód do nienawiści.

- Ale co się właściwie wtedy stało? - zapytał Szymon.

- Z jego rodziną?

- Nikt tego tak naprawdę nie wie - odparł Zebra. - Matka Alfreda była wtedy dzieckiem. Opowiadała nam potworne rzeczy, które jej także chyba zatruwały umysł. Ale czyny syna przeraziły ją chyba jeszcze bardziej. Rozmawialiśmy z nią. To była trudna rozmowa. Może dopiero teraz zrozumiała swój błąd wychowawczy. W dzieciństwie była podobno świadkiem, jak grupa zwyrodnialców - jej zdaniem polskich zwyrodnialców - mordowała Niemców, plądrując ich domy, tuż po wkroczeniu wojsk radzieckich do Gdańska. Trwał tu wtedy koszmar. Miasto płonęło, pijane i żądne zemsty mieszane watahy dobijały

wrogów. Na jej oczach zabito dziadka oraz zgwałcono i zamordowano młodszą siostrę. Tamta dziewczynka miała wtedy najwyżej dwanaście lat. Rzeczywiście, makabra, o ile istotnie tak było. Teraz już się raczej prawdy nie dojdzie. Jej samej udało się schronić, wraz z grupą innych Niemców, a następnie została wywieziona do Niemiec którymś kolejnym transportem. Smutna rzeczywistość, ale taka była historia. Wojna to straszny żywioł. A jeszcze wcześniej pani Baumann straciła na froncie ojca, matka natomiast z pozostałym rodzeństwem zatonięła na morzu, podczas ucieczki z Gdańska. Dziewczynka została sierotą, a swymi traumatycznymi przeżyciami obciążyla następnie syna...

- No dobrze, na pewno sobie tego wszystkiego nie zmyśliła, nie wierzę w to, w końcu była tylko dzieckiem. Ale czy to rzeczywiście Polacy zrobili? Zamordowaliby jej małą siostrzyczkę?! - zapytała Marta ze zgrozą.

- A cholera wie! - Emil zapalił papierosa. - To też możliwe. Panowała kompletna degrengolada. Raj dla wszelkiej hołoty. Najgorsze męty wypełzły wtedy na żer. Jak wspomniała Ewa, bydło znajdzie się w każdym narodzie. To byty po prostu bandziory, nieważne jakiej narodowości! Równie dobrze mogli to być Ruscy. A może i jedni, i drudzy? To bez znaczenia. Najgłupsze, co można zrobić, to mierzyć wszystkich jedną miarą i pielęgnować nienawiść, przekazując ją w spadku kolejnym pokoleniom.

- Fakt pozostaje faktem - ciągnął Zebra - że pani Baumann i Alfred nienawidzili właśnie Polaków. Obciążali winą szczególnie polskich mieszkańców Gdańska, ówczesnych, ale także tych dzisiejszych, którzy w ich przekonaniu wciąż żerują na tragedii. Żyli opętani tą nienawiścią. U Baumanna żądza zemsty przerodziła się w chorobliwą wizję. Zamierzał zniszczyć Gdańsk. Dokonać sprawiedliwej, jego zdaniem, pomsty. To miał być prawdziwy Sąd Ostateczny, jak z obrazu Memlinga. Uznał, że w poprzednim wcieleniu, jako Mistrz, przewidział wydarzenia i jego obecnym zadaniem jest wprowadzić wizję w czyn. Całe życie przygotowywał się do tego aktu. Studiował życie i dzieło Memlinga, nauczył się świetnie polskiego. Trenował sztuki walki. Od lat prowadził swój biznes w Polsce, a właściwie w Trójmieście. Wyposażył w klimatyzację hotele, centra handlowe, instytucje; miał więc tu chody. W wojsku służył w saperach, a potem gromadził wiedzę o konstrukcji bomb przez Internet. Mimo swojej choroby był bardzo inteligentny. Przewidział to nawet nasz portret psychologiczny.

- Zebra spojrzał porozumiewawczo na Emila. - Potrafił też świetnie manipulować ludźmi. Gdy chciał, potrafił być podobno ujmujący.

- Tak. Niestety... - westchnęła Maria.

Zebra ścisnął jej dłoń, widząc, jak łzy napelniają jej oczy.

- Był także szaleńczo odważny, cyniczny, wręcz zuchwały taką zuchwałością wariata.

A przy tym miał szczęście.

- Do czasu - dodał Szymon Mader.

- Tak. - Marek pokiwał głową. - Do czasu, gdy nadepnął na odcisk Emilowi.

Zakłopotany Emil zapalił kolejnego papierosa.

- Nie przesadzaj - mruknął. - Bez ciebie nic bym nie zrobił. Pewnie już gryzłbym ziemię.

- Wszyscy byśmy gryźli. - Uśmiechnął się Zebra ponuro.

- Też mieliśmy trochę szczęścia. No i Martę. Dzielna dziewczyna! Popsułaś mu szyki.

Marta spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Po prostu nie dałam się zabić jak jagnię prowadzone na rzeź! - zaprotestowała. - Działałam czysto instynktownie.

- Instynkt Marty nie pozwala jej się poddawać - oznajmił Emil z dumą. - To kompletnie nie byłoby w jej stylu.

Marta zmierzwiła mu żartobliwie przydługą czuprynę.

- Dobra, dobra, lizusie! - roześmiała się. - Jedno mnie nurtuje. Czego on chciał od mojego naszyjnika?

- A, właśnie, ten naszyjnik... - kontynuował Zebra. - Rodzina Baumanna miała w Gdańsku kilka sklepów i pracownię jubilerską na Mariackiej. Od jego matki wiemy, że taki sam naszyjnik jak ten twój, sądząc z opisu, miała ta mała, jej zamordowana siostra. Podobno oprawca zerwał go z jej szyi, zanim ją zabił. Historia i opis tego naszyjnika zachowały się w pamięci rodziny, stały się częścią jej tradycji. Alfred słyszał o tym od dziecka. Naszyjnik jest dość nietypowy. Ponoć wykonano serię z bursztynem, a tylko nieliczne egzemplarze były z jadeitu, zakupionego od marynarzy. Twój jest właśnie z jadeitem. Baumann, widząc go na tobie, prawdopodobnie uznał to za kolejny znak.

- Sądził, że to ten sam naszyjnik?!

- Zapewne tak.

- Ale na rynku jest całkiem sporo egzemplarzy, właśnie z jadeitem! - Zdenerwowana Marta nalala sobie czerwone wino do kieliszka. - Nie mogło ich być więc aż tak mało! Skoro mówisz, że matka Baumanna była wtedy dzieckiem, to niekoniecznie orientowała się w takich szczegółach. Wiem, bo moja przyjaciółka ze studiów prowadzi antykwariat ze starą biżuterią. Interesowało mnie to.

- I pewnie masz rację - pocieszył ją natychmiast Marek.

- Ale chory umysł wszystko widzi inaczej.

- To ten wisiołek? - zainteresowała się Maria Braniecka.

- Jest przepiękny.

- I co teraz zrobisz? Będziesz go dalej nosić? Czy może sprzedasz? - zapytała ciekawie Ewa.

Marta wzruszyła ramionami.

- Mnie on akurat przyniósł szczęście - odparła, dotykając lekko dłonią zwiniętego srebrnego węża. - Zresztą nie jestem przesądna. Może to głupio zabrzmie, co powiem, ale... Nawet jeśli naszyjnik należał do tej biednej dziewczynki, to może właśnie dlatego mnie chroni? Jestem w końcu po jej stronie.

- Jasne - przyznała Ewa. - To świetny materiał na reportaż!

- A tak a propos - odezwał się Zebra do Emila. - Co teraz planujesz? Napiszesz ten reportaż? W końcu nikt nie zna sprawy od podszewki. Warto, żeby ludzie poznali... część prawdy. W razie czego służę konsultacjami.

Emil z uśmiechem zerknął na Szymona i Ewę, po czym zwrócił się do przyjaciela:

- Jestem w trakcie pracy nad nim. Jak skończę, dam ci do przeczytania, będziesz mógł nanieść swoje poprawki.

- Gdzie go wydrukujesz?

- Piszę go dla „Rozgwiadzy”. Związałem się z tym pismem, przynajmniej na pewien czas. Kleczko proponował mi etat u siebie, ale odrzuciłem tę ofertę. Wiesz, że cenię sobie niezależność. A oni - żartobliwie wskazał palcem poprzez stół - uroczyście mi ją zagwarantowali.

Emil skromnie zataił fakt, że jest ostatnio rozchwytywany.

- Dzięki Emilowi nasze pismo będzie wkrótce prawdziwym hitem! - oświadczył zarumieniony z radości Szymon. - Po ostatnim artykule zwiększyła się liczba chętnych na reklamę. Wzrosło zainteresowanie gazetą, dostajemy mnóstwo listów od czytelników. Obiecano nam nawet wsparcie i patronat miasta.

- Poza tym Emil będzie pisał teksty dla naszych wydawnictw muzealnych - dodała Marta. - To znaczy, przynajmniej opracowywał je pod kątem redakcyjnym.

- Dopóki znowu nie trafi mu się jakieś śledztwo - zauważył ironicznie Zebra. - Ten człowiek nigdy nie przestanie być w głębi duszy gliniarzem! Nie łudź się.

- No, trudno - skrzywiła się zabawnie Marta. - Co ma być, to będzie. Biorę go takim, jakim jest. Ale, Marek, zapomniałabym... Prawdziwym bohaterem jest przecież mój Bolero! Sprawdźcie, czy materiał genetyczny z jego pazurków faktycznie pasuje do tego Baumanna?

- Tak! - ożywił się Zebra. - To okazało się ostatecznym dowodem w sprawie. Zamknęło ją. Udowodniło czarno na białym związek Baumanna z całą resztą.

- Proszę! Mój cudowny, dzielny kotek - wzruszyła się Marta.

- A drugim bohaterem jest Memling - dodał Emil. - Ten prawdziwy. Jedno mnie jeszcze szokuje: nasz fanatyk chciał zniszczyć tryptyk?

- Uznał pewnie, że go ożywi - wyjaśniła Marta. - To miało być chyba największe dzieło jego życia. Wizja, która stała się rzeczywistością?

Zamilkli na moment.

Emil ponownie podchwycił rozanielony wzrok, jaki Zebra zawiesił na zamyślonej twarzy Marii Braniewskiej. Pomyślał z sympatią, że jego przyjaciel żegna się dziś chyba ze swoją niewzruszoną dotąd postawą starego kawalera. Dłoń Ewy spoczywała już od dłuższego czasu w dłoni Szymona. Wiedział, że dziewczyna obroniła dyplom, lecz pozostanie w redakcji razem z Szymonem. Stanowili zgrany zespół, jednak łączyła ich nie tylko gazeta.

Emil objął ramieniem Martę. Dla nich wszystkich zaczyna się właśnie nowy rozdział.

- Ale pozostają zasadnicze pytania - odchrząknął, by sprowadzić atmosferę do właściwej temperatury. - Gdzie w tym wszystkim jest sprawiedliwość? Gdzie są i czy w ogóle są granice, normy miłe Stwórcy? W jakim momencie je przekraczamy? Dlaczego ten świat od początku cywilizacji pogrąża się w otchłań szaleństwa?

Pięć par oczu wpatrzyło się w niego z niebotycznym zdumieniem. Wiedział, że podrażni takim gadaniem przede wszystkim zdrowy rozsądek gospodarza.

- Emil - mruknęła ostrożnie Marta. - Ty przecież nic nie piłeś?

- No i właśnie dlatego zrobił się taki upierdliwy - zdenerwował się, zgodnie z jego oczekiwaniami, Zebra, sięgając pośpiesznie po nową butelkę wina. - Ty przestań już filozofować, Żądło, bo cię aresztuję. No dobra, twoje zdrowie! Zdrowie wielkiego detektywa i kiepskiego filozofa Emila Żądło, proszę państwa!

Czerwona jak krew struga wina połała się do podstawionych pośpiesznie pięciu pustych kieliszków. Za oknem listopadowy deszcz obmywał śpiące miasto. Emil, uśmiechając się tajemniczo pod nosem, dolał sobie nieco soku i ostentacyjnie zapalił kolejnego papierosa.

Ponieważ - proszę Państwa - Emil wcale tak do końca nie żartował. Te pytania nurtowały go naprawdę, i to już od bardzo dawna. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że wolimy nie znać na nie odpowiedzi...

KONIEC